

Robbins Harold

Sztylet

Historia człowieka, któremu żadna kobieta nie mogła się oprzeć, a żaden mężczyzna nie mógł dorównać... który równie dobrze czuł się w pałacach europejskiej arystokracji, jak w apartamentach amerykańskiej finansjery czy pośród mafijnych bossów... człowieka nietykalnego, którego zniszczyć mogła tylko jedna, jedyna kobieta....

Rozdział 1

Było już po dziesiątej, a zaledwie trzech mężczyzn siedziało przy barze i jeden przy stoliku. Weszła mewka. Wraz z nią do środka wtargnął podmuch zimnego wieczoru.

Kiedy wspięła się na wysoki stołek, mizerny zimowy płaszczyk zsunął się z jej ramion.

- Nalej piwa - rzuciła.

Milczący barman postawił przed nią pełną szklanekę. Skasował ćwierćdolarówkę podzwaniając kasą.

- Żadnego ruchu dziś wieczór, Jimmy? - zapytała, taksując wzrokiem mężczyzn przy barze, jak gdyby chciała znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Barman potrząsnął głową.

- Dziś nie, Mario. W niedzielę wieczorem wszyscy *touristas* wylegują się we własnych betach. -

Odszedł w drugi koniec baru i zajął się polerowaniem stojących na półce szklanek. Obserwował ją, gdy sączyła piwo. Maria. Wszystkie nazywał w ten sposób - te filigranowe portorykańskie dziewczęta o błyszczących czarnych oczach, małych piersiątkach i drobnych tyłeczkach. Przez chwilę zastanawiał się, kiedy też miała ostatni numer.

Mewka dała sobie spokój z gośćmi przy barze i przeniosła spojrzenie na mężczyznę siedzącego przy stoliku. Widziała jedynie jego plecy, ale po kroju ubrania poznała, że nie jest miejscowy. Spojrzała pytająco na barmana, ten jednak wzruszył tylko ramionami. Zsunęła się więc ze stołka i podeszła do gościa.

Kiedy stanęła przed stolikiem, mężczyzna wpatrywał się w szklanekę whisky.

- Sefior samotny? - zapytała.

Gdy tylko podniósł na nią wzrok, wiedziała, jaka będzie jego odpowiedź. Miał ciemnoniebieskie zimne oczy, śniadą twarz i pożądlive usta. Tacy mężczyźni nigdy nie płacą za rozkosz. Oni ją sobie po prostu biorą.

- Nie, dziękuję - rzekł uprzejmie Cesare.

Mewka uśmiechnęła się blado, skinęła głową i wróciła do baru. Znow wspięła się na stołek i wyjęła papierosa. Niski, krępy barman podsunął jej ogień.

- Mówiłem - szepnął z uśmiechem. - To ten niedzielny wieczór.

Dziewczyna zaciągnęła się głęboko i powoli wypuściła dym.

- Wiem - powiedziała bezbarwnie, a na jej twarzy pojawiły się pierwsze oznaki zaniepokojenia. - Ale ja nie mogę mieć przerw w pracy. Nie stać mnie na to.

W kabinie obok baru zadzwieczył telefon, więc barman pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi. Potem podszedł do stolika, przy którym siedział Cesare.

- *Para usted*, senor.

- *Mil gracias* - odrzekł Cesare, zmierzając do kabiny. - Słucham - powiedział i zamknął drzwi.

W słuchawce zabrzmiał ściszony niemal do szeptu damski głos. Kobieta mówiła po włosku.

- To ma się mu przydarzyć jutro rano - usłyszał. - Zanim stanie przed sądem.

Cesare odpowiedział w tym samym języku.

- Inne miejsce nie wchodzi w grę?

- Nie - odparła, a jej głos, mimo że tak miękki, zabrzmiał w słuchawce bardzo wyraźnie. - Nie udało nam się ustalić, gdzie go trzymają. Wiadomo tylko, że w sądzie pojawi się o jedenastej rano.

- A co z innymi? - zapytał Cesare. - Są ciągle tam, gdzie przedtem?

- Tak - potwierdziła. - W Las Vegas i Miami. U ciebie wszystko zgodnie z planem?

- Tak, jestem przygotowany - oznajmił. Głos kobiety stał się szorstki.

- Ten człowiek musi umrzeć, zanim usiądzie na fotelu dla świadków. Pozostali także.

Cesare zaśmiał się krótko.

- Przekaż Don Emilio, żeby się nie niepokoił. Już teraz wszyscy trzej są trupami.

Odłożył słuchawkę i wyszedł w ciemną noc hiszpańskiego Harlemu. Chroniąc się przed chłodem, postawił kołnierz płaszcza i ruszył pieszo przed siebie. Dwie przecznice dalej, przy Park Avenue, złapał krążącą samotnie taksówkę. Wsiadając, rzucił kierowcy - „El Morocco”.

Zapał głęboko w fotel i zapalił papierosa, czując, że po raz pierwszy od czasów wojny narasta w nim autentyczne podniecenie. Pamiętał, jak to było za pierwszym razem. Pierwsza dziewczyna, pierwsza śmierć. Dziwne, jak te dwie rzeczy zawsze zdają się iść w parze. Realność życia odczuwa się najbardziej wtedy, gdy jest się bezwzględnym szafarzem śmierci.

Wydaje się, że to już tak odległa przeszłość. Był rok 1935, a on miał piętnaście lat. W leżącej u podnóża góry małej sycylijskiej wiosce odbywała się tego dnia parada. Faszyci uwielbiali urządzać parady. Wszędzie było mnóstwo sztandarów i wizerunków Duce - tej jego ponurej twarzy, groźnie zaciśniętej pięści i świńskich wyłupiastych oczu. *Stawić czoło niebezpieczeństwu. Być Włochem. Włochy - znaczy Siła.*

Zapadł już wieczór, kiedy Cesare wracając do domu znalazł się u stóp góry. Zadarł głowę. Wysoko, na skalnym występie tuż pod szczytem widać było zamek, budowlę, która od sześciu stuleci straszyla swą przeładowaną ornamentyką; od czasu, kiedy pewien zamierzchły przodek, pierwszy książę Cardinali, wziął sobie żonę z rodziny Borgiów.

Minąwszy winnicę Gandolfów przesiąkniętą silną wonią czarnych winogron, Cesare ruszył pod górę. Wciąż jeszcze miał w uszach huk werbli i czuł podniecenie, jakie wzbudziła w nim ta noc. W pamięci tkwiły mu liczne sprośne historie, które stary sierżant z biura werbunkowego opowiadał na temat orgii, jakie odbywają się w pałacu Duce.

- *Collones!* * - rechotał stary wiarus. - W całej historii Włoch nie było podobnych *collones!* Pięć różnych dziewcząt w ciągu jednej nocy. Wiem, bo sam musiałem mu je dostarczać. A każda wychodziła od niego rozkraczona, jakby ją pokrył byk. Za to on, silny i wyświeżony, już o szóstej rano był na nogach, żeby nam dać dwugodzinną szkołę musztry. - Z kącików ust pociekła mu ślina. - Wiercie mi, młodziaki, jak wam trzeba bab, to je wam

* *Collones* - jądra tu: jaja (wh).

da mundur włoskiej armii. Każda dziewczucha będzie sobie wyobrażała, że trafił jej się kawałek Duce! Widok tej dziewczyny przerwał rozmyślenia Cesarego. Wyszła z tylnych drzwi domu Gandolfa. Widywał ją już wcześniej, nigdy jednak jego zmysły nie były tak rozbudzone jak teraz. Córka właściciela winnicy była wysoką, mocno zbudowaną samicą o obfitym biuście; wynosiła właśnie bukłak z winem z chłodni przy strumieniu. Ujrawszy go przystanęła. Cesare zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę. Czuł jeszcze w sobie upał dnia i wierzchem dłoni otarł z twarzy krople potu.

W jej łagodnym głosie pobrzmiwał szacunek.

- Może signor zechce się napić trochę chłodnego wina? Bez słowa skinął głową i ruszył w jej kierunku. Uniósł

wysoko bukłak, a czerwone wino spłynęło mu do gardła, rozlewając się po brodzie. Czuł, jak winny owoc jednocześnie go chłodzi i rozgrzewa od wewnątrz. Oddał jej bukłak i stali tak przez pewien czas, patrząc na siebie.

Dziewczyna z wolna zaczęła oblewać się rumieńcem, który najpierw pokrył jej piersi i szyję, a potem ogarnął również twarz. Opuściła wzrok. Pod cienką tkaniną wiejskiej bluzki Cesare widział sutki kipiących z dekoltu piersi.

Odwrócił się i poszedł w kierunku lasu. Odziedziczona po minionych pokoleniach podświadomość podyktowała mu nie znoszący sprzeciwu rozkaz, który nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do swej istoty.

- Chodź!

Posłusznie, niemal jak automat, dziewczyna podążyła jego śladem. W głębi lasu drzewa rosły tak gęsto, że ich korony prawie całkowicie zasłaniały niebo. Ciągle milcząc,

osunęła się na ziemię obok, podczas gdy Cesare zdierał z niej ubranie.

Przez chwilę klęczał, chłonąc wzrokiem jej mocno zbudowane, silne ciało; pełne piersi z sutkami barwy śliwek, płaski, umięśniony brzuch, który unosił się i opadał, ciężkie, mocne nogi. Cesare poczuł, jak rośnie w nim rwący strumień, i rzucił się na dziewczynę.

Dla niego był to pierwszy raz, dla niej - nie. Cesare dwukrotnie zajęczał w udreće, gdy dziewczyna zamknęła go w kurczowym uścisku, a potem, wyczerpany, ciężko dysząc stoczył się z niej i legł obok na wilgotnej ziemi.

Odwróciła się ku niemu w milczeniu; jej usta i dłonie szukały jego ciała. W pierwszej chwili odtrącił te pieszczoty, później jednak dotknął ręką jej piersi i zamarł w bezruchu. Bezwiednie zacisnął palce, a ona krzyknęła z bólu.

Dopiero teraz spojrzał jej w twarz. Szeroko otwarte oczy dziewczyny były wilgotne. Ponowił uścisk, znów dobywając z niej krzyk. Teraz jednak zamknęła powieki, a choć w kącikach jej oczu pojawiły się łzy, to otwarte usta dyszały w ekstazie, usiłując zaczerpnąć powietrza.

Na Cesarego spłynęło poczucie siły, jakiego nie zaznał nigdy dotąd. Już zupełnie brutalnie zacisnął palce. Tym razem okrzyk bólu dziewczyny spłoszył siedzące na gałęziach drzew ptaki, które umknęły z panicznym świergotem. Otworzyła oczy i wpatrywała się w niego nieruchomo, by po chwili w pełnym pokory geście pochylić głowę nad jego nagle na nowo rozbudzonym ciałem.

Było już ciemno, gdy ją zostawił i ruszył do domu. Czuł w sobie siłę i spełnienie, a trawa słała się pod jego stopami niczym dywan. Był już prawie na skraju małej przesieki, gdy zatrzymał go głos dziewczyny.

- Signor!

Odwrócił się. Bielejące w ciemności nagie ciało dziewczyny zdawało się wyrastać z leśnego poszycia. Jej oczy połyskiwały niczym małe jeziora. Uśmiechnęła się do siebie pełna dumy i zadowolenia. Jakże zazdrosne będą inne dziewczyny, kiedy im o tym opowie. Nie jakiś tam robotnik czy sezonowy najemnik przy zbiorach winogron, ale arystokrata, prawdziwy arystokrata - przysły księżę Cardinali.

- *Gracia* - zawołała w odruchu szczerej wdzięczności. Skinął lekko głową, zagłębił się w las i zniknął jej z oczu,

zanim zdążyła schylić się po ubranie.

Ponownie usłyszał o dziewczynie dopiero sześć tygodni później podczas treningu w wiejskiej szkole szermierki. Trener od dawna przestał udzielać mu rad, ponieważ Cesare znacznie już przewyższył umiejętnościami starzejącego się mistrza i w zajęciach uczestniczył jedynie dla podtrzymania swej sprawności.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich młody żołnierz. Wszedł do niewielkiej sali gimnastycznej i rozejrzał się dokoła; jego współczesny mundur gwardzisty Duce stanowił dysonans w panującej tu historycznej atmosferze tradycji związanej z fechtunkiem. W jego głosie wyczuwało się napięcie.

- Który z was nosi nazwisko Cesare Cardinali?

W pomieszczeniu zapadła nagła cisza. Dwaj młodzieńcy, którzy właśnie toczyli pojedynek, opuścili florety i odwrócili się ku przybyszowi. Cesare odszedł z wolna od ściany, przy której ćwiczył ciężarkami.

Zatrzymał się przed żołnierzem.

- To ja - powiedział.

Tamten popatrzył na niego uważnie.

- Jestem zaręczony z moją kuzynką Rosą - oznajmił krótko.

Cesare spojrzał na niego. Nie znał nikogo o tym imieniu.

- A kim ona jest? - zapytał uprzejmie.

- To Rosa Gandolfo! - z ust żołnierza padło wściekłe wyjaśnienie. - Zostałem wezwany z posterunku w Rzymie, aby się z nią ożenić, bo ty zrobiłeś jej dzieciaka!

Cesare patrzył jeszcze przez chwilę na przybysza, zanim zrozumiał, o co chodzi. Odprężył się.

- I to wszystko? - zapytał, a jednocześnie zaczęło go przepelniać nie znane mu dotychczas poczucie dumy. - Porozmawiam z księciem, moim ojcem, żeby wam dał trochę pieniędzy.

Odwrócił się z zamiarem odejścia. Żołnierz jednak złapał go i przyciągnął do siebie.

- Pieniądzy? - wrzasnął. - Myślisz, że przyszedłem tu po pieniądze? Nie!

Cesare spojrzał na niego chłodno.

- Jak chcesz. Nie będę więc rozmawiał z ojcem. Żołnierz wymierzył mu policzek.

- Żądam satysfakcji!

Na nagle pobladłej twarzy Cesarego wyraźnie zarysował się odcisk jego dłoni. Patrzył na żołnierza bez lęku.

- Żaden Cardinali nie poniża się do walki z prostytutką. Gwardzista wypluł z siebie pełne jadu słowa:

- Wszyscy Cardinali to tchórze, alfonsy i gwałciciele! A ty, bękarcie, jesteś jeszcze gorszy niż oni wszyscy! Duce miał rację, kiedy powiedział, że włoska arystokracja jest chora i bezsilna, i że musi ustąpić przed potęgą chłopstwa!

Ręka Cesarego okazała się naprawdę szybka i choć żołnierz był od niego o dobre dziesięć kilogramów cięższy, runął rozplaszczony na podłogę. Cesare popatrzył na

niego z góry. Jego twarz nabrała dziwnego wyrazu, oczy pociemniały mu tak silnie, że aż zatraciły swój błękitny odcień. Spojrzał na trenera. Od bardzo dawna nikt nie ośmielił się napomknąć o jego nieprawym pochodzeniu.

- Podaj mu ostrą szpadę - rzekł spokojnie. - Będę z nim walczył.

- Nie, signor Cesare, nie! - Trener był przerażony. - Książę, pański ojciec, nigdy by nie...

Cesare przerwał mu. Jego głos był spokojny, ale pełen mocy.

- Podaj mu szpadę. Mój ojciec nigdy nie zniósłby tego, żeby poniżenie naszego nazwiska pozostało bez odpowiedzi!

Żołnierz już się podniósł. Spojrzał z uśmiechem na Cesarego.

- My we włoskiej armii jesteśmy szkoleni w tradycji. Szpada w prawej ręce, sztylet - w lewej.

Cesare kiwnął głową.

- Zgoda.

Żołnierz zaczął ściągać kurtkę munduru, odsłaniając umięśnione ręce i barki. Popatrzył z wyższością na Cesarego.

- Poślij po księdza - powiedział - bo jesteś już trupem. Cesare pozostawił to bez odpowiedzi; jedynie w oczach

zamigotało mu złowróżbne rozbawienie. Rzucił koszulę na podłogę.

- Gotów?

Żołnierz skinął głową. Trener wezwał ich do przyjęcia pozycji wyjściowej. Biała sylwetka Cesarego wyglądała mizernie w zestawieniu z silnym i śniadym ciałem przeciwnika.

- *En garde!*

Nad ich głowami załśniły skrzyżowane szpady. Trener dał znak do rozpoczęcia walki i ostrze żołnierza zabłysło w strasliwym pchnięciu.

Cesare sparował i szpada przeciwnika minęła go z boku. Zaśmiał się głośno. Żołnierz zaklął i ciął potężnie. Cesare lekko zneutralizował cios i sam sprężył się do ataku. Wykonał kółeczko, ostrza zamarły w zwarciu i Cesare wydarł z ręki żołnierza szpadę, która z brzękiem upadła na podłogę.

Cesare przytknął czubek ostrza do piersi żołnierza. - I cóż pan na to, sir?

Żołnierz zaklął i odepchnął jego klingę sztyletem. Starał się zakosem zbliżyć do szpady leżącej na podłodze, ale Cesare zagroził mu drogę.

Tamten wbił w niego spojrzenie i nadal żuł przekleństwa Cesare znów się zaśmiał. Promieniał teraz radością, jakiej dotychczas nikt jeszcze u niego nie widział. Odrzucił swoją szpadę w kąt, gdzie upadła obok broni przeciwnika.

Zanim ucichł jej brzęk, żołnierz skoczył do przodu. Jego sztylet błysnął przed twarzą Cesarego. Ten jednak wykonał lekki ruch i cios przeciął powietrze.

Cesare przyczaił się ze sztyletem skierowanym ostrzem ku górze. Żołnierz również lekko przykucnął. Wykonał ostrożne pchnięcie. Cesare z łatwością je sparował i poszedł do przodu. Żołnierz się cofnął i widząc, że Cesare jest odkryty - skoczył ku niemu. Tym razem ciała walczących połączył grzteskowy uścisk. Cesare wpadł w ciasne objęcia żołnierza i wydawało się, że jest zgubiony. Stali w ten sposób przez chwilę, kołysząc się to w przód, to w tył, jak w jakimś obscenicznym pląsie, aż wreszcie ręce żołnierza zaczęły się zsuwać.

Sztylet wyleciał mu z pozbawionych czucia palców,

a on sam opadł na kolana, chwytając się po drodze bioder Cesarego, który odstąpił krok do tyłu.

Dopiero wówczas wszyscy dostrzegli sztylet w jego ręce.

Żołnierz upadł twarzą do podłogi. Trener gwałtownie rzucił się ku niemu.

- Wezwijcie lekarza! - zawołał z trwogą w głosie, klękając obok leżącego.

Cesare, który sięgał po koszulę, odwrócił się.

- Daj spokój - rzekł spokojnie i ruszył w kierunku drzwi. - On nie żyje.

Za drzwiami bezwiednie wsunął sztylet do marynarki i wyszedł w objęcia nocy.

Dziewczyna czekała na niego na wzgórzu, tam gdzie droga po raz ostatni skręcała w kierunku zamku.

Ujrawszy ją, przystanął. Patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie Cesare odwrócił się, zszedł z drogi i ruszył w las. Dziewczyna posłusznie podążyła jego śladem.

Gdy byli już dostatecznie daleko od drogi, Cesare odwrócił się. Szła ku niemu z szeroko otwartymi i błyszczącymi oczami. Zdarł z niej bluzkę i obiema rękami brutalnie uchwycił nagie piersi.

- Aaaaj! - krzyknęła na wpół omdlała.

W tej chwili poczuł przeszywający ból - od napęczniałych jąder aż po mózg. Kiedy w szaleńczym pośpiechu zrywał z siebie ubranie, jego nasienie tryskało już gwałtownie na ziemię.

Jasny sycylijski księżyc znajdował się wysoko nad ich głowami, kiedy Cesare usiadł i sięgnął w ciemności po ubranie.

- Signor - dobiegł go szept dziewczyny.

Nie odpowiedział. Odnalazł spodnie i zaczął je wciągać.

- Signor. Chcę pana ostrzec. Mój kuzyn...
 - Wiem - przerwał spoglądając na nią z góry. W jej głosie czaił się lęk.
 - Ale on powiedział, że ma zamiar pana zabić. Cesare uśmiechnął się bezgłośnie.
 - Przecież to ja tu jestem.
 - Ale on może pana znaleźć w każdej chwili. Nawet tutaj. On jest bardzo zazdrosny i dumny.
 - Już nie - rzekł apatycznie. - Nie żyje.
 - Nie żyje? - Jej głos urósł niemal do krzyku. Skoczyła na równe nogi. - To ty go zabiłeś!?
- Cesare zapinał koszulę. - *Si* - potwierdził krótko.

Dopadła go niczym tygrysićą- biła i drapała, na wpół krzycząc i płacząc.

- Ty szatanie! Leżysz tu ze mną, a na twoich rękach nie ostygła jeszcze jego krew? Jesteś gorszy niż zwierzę! Kto się teraz ze mną ożeni? Co mam zrobić z tym maleństwem, które przez ciebie noszę w brzuchu?

Złapał ją mocno za ręce i w tej chwili doznał nagłego olśnienia.

- Nie byłoby go, gdybyś sama tego nie chciała - powiedział.

Spojrzawszy mu prosto w oczy, uświadomiła sobie, że on wiedział. Odchyliła głowę i splunęła mu w twarz.

- Ale teraz go nie chcę! - krzyknęła. - Bo to będzie jakiś potwór, taki sam bękart jak jego ojciec!

Cesare ostro wraził kolano w miękkość jej brzucha. Upadła na ziemię wijąc się z dławiącego bólu.

Targnęły ją wymioty.

Kiedy spoglądał na nią z góry, bezwiednie natrafił ręką na sztylet tkwiący w kieszeni marynarki.

Wyjął go.

Podniosła na niego oczy, w których pojawił się rosnący strach.

Usta Cesarego rozciągnęły się w lodowatym uśmiechu.

- No więc jeśli nie chcesz, to go sobie tym wyskrob. - Rzucił sztylet na ziemię obok niej. - To cię oczyści. Jest jeszcze na nim jego krew.

Odwrócił się i odszedł.

Rano znaleziono dziewczynę martwą. Leżała tam z obiema rękami zaciśniętymi na sztylecie, a jej uda pokrywała zakrzepła już skorupa krwi, która wsiąkła w ziemię pod jej ciałem.

Dwa dni później Cesare wyjechał do szkoły w Anglii. Do Włoch wrócił dopiero po prawie pięciu latach, już po wybuchu wojny.

Tymczasem rodzina Gandolfo założyła nową winnicę kosztem dziesięciu tysięcy lirów, które dostała od księcia Cardinali.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem „*El Morocco*” i potężny portier otworzył drzwi samochodu.

Ujrawszy Cesarego, uśmiechnął się.

- Ach, książę Cardinali - rzekł przyjaźnie. - Moje uszanowanie. Już myślałem, że tego wieczora nie będziemy mieli szczęścia pana gościć.

Cesare zapłacił taksówkarzowi i wysiadł spoglądając na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Uśmiechnął się do siebie. Myśl o czekającej na niego w restauracji kobiecie stanowiła jeden z czynników rosnącego podniecenia. Jej cudowne, pełne temperamentu ciało również dawało mu poczucie realności życia.

Rozdział 2

Agent specjalny George Baker zaczął gasić światła w swoim biurze. Kiedy dotarł do drzwi, zawahał się przez chwilę, wrócił do telefonu i podniósł słuchawkę. Było to bezpośrednie połączenie z kapitanem Strangiem w Głównej Kwaterze Policji.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał Baker.

W przewodzie zahuczał tubalny głos Stranga.

- To ty jeszcze nie w domu? Już po jedenastej.

- Wiem - odrzekł Baker. - Ale musiałem uporządkować pewne sprawy. Pomyślałem sobie, że przed wyjściem sprawdzę, co u ciebie.

- Nie ma powodów do obaw - stwierdził policjant głosem tchnącym pewnością siebie. - Obiekt jest obstawiony, a teren wokół sądu czysty; w każdym budynku i na każdym skrzyżowaniu rozstawiłem swoich ludzi. Pozostaną tam przez całą noc i rano aż do chwili, kiedy doprowadzimy świadka do sądu. Możesz mi wierzyć, że dopóki nie wejdzie do gmachu, nikt się do niego nie zbliży na odległość trzech metrów.

- Dobra - powiedział Baker. - Rano jadę prosto na lotnisko i poczekam na przylot samolotu. Zobaczymy się o jedenastej w sądzie.

- W porządku. A teraz przestań panikować i prześpij się trochę - poradził mu Strang. - Mamy tu pełną kontrolę nad sytuacją.

Jednakże po powrocie do hotelowego pokoju Baker nie mógł zasnąć. Usiadł na łóżku, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do żony, ale porzucił ten zamiar. Telefon w środku nocy mógłby ją tylko zdenerwować. Przesiadł się z łóżka na fotel.

Z przewieszzonego przez poręcz olstra wyciągnął nieśpiesznie rewolwer i poddał go oględzinom.

Zawirował bębenkiem i wsunął broń z powrotem do pochwy.

Puszczają mi nerwy, pomyślał. Już za długo się w tym grzebię.

Od sześciu lat zajmował się wyłącznie tą sprawą. Przesłaniała mu cały świat

- Przetrać kręgosłup Mafii, Rodzinie, Syndykatowi, czy jak się tam zwie organizacja, która trzyma w garści amerykańskie podziemie - brzmiały skierowane do niego słowa szefa.

Był wówczas młodym człowiekiem; tak mu się przynajmniej wydawało, teraz bowiem czuł się starcem. Kiedy zaczynał rozgryzać tę sprawę, jego syn był początkującym licealistą, a teraz kończył uniwersytet.

Czas uciekał. Lata mijały zatrważająco szybko. Co i rusz okazywało się, że kolejny trop palił na panewce. Nie było mowy o dotarciu na sam szczyt. Do bonzów. Owszem, w zarzucane przez policję sieci w regularnych odstępach czasu wpadały jakieś płotki, ale grube ryby trzymały się poza zasięgiem stróżów prawa.

I w końcu nastąpił przełom. Pewien człowiek złożył zeznanie na temat zabójstwa dwóch agentów federalnych z wydziału narkotyków, popełnionego na pokładzie małego statku, który niedawno zacumował w nowojorskim porcie.

Skwapliwie ruszono tym tropem i oto po raz pierwszy w historii zorganizowanej przestępczości przed sądem stanęło czterech czołowych przywódców świata zbrodni. Zarzucono im spiskowanie i popełnienie morderstwa.

Oczami wyobraźni ujrzał kartoteki wszystkich czterech podsądnych. George „Wielki Holender” Wehrman, lat 57, aresztowany 21 razy, bez wyroków, obecnie działacz związkowy; Allie „Monter” Fargo, lat 56, raz aresztowany, raz skazany, jeden wyrok w zawieszeniu, aktualnie przedsiębiorca budowlany; Nicholas „Nick Elegant” Pappas, lat 54, 32 aresztowania, dziewięć oskarżeń o morderstwa, dwa wyroki, dwadzieścia dni spędzonych w więzieniu, bez zajęcia, znany jako hazardzista; Emilio „Sędzia” Matteo, lat 61, 11 razy aresztowany, jeden wyrok, pięć lat w więzieniu, deportowany, obecnie - w stanie spoczynku.

Na myśl o ostatnim z nich Baker uśmiechnął się z goryczą. W stanie spoczynku. Czyżby zaprzestał morderstw, handlu narkotykami, wszelkiego rodzaju działalności przestępczej, jaką wymyślił człowiek? Każdy, tylko nie on - Sędzia, Don Emilio, jak go czasem nazywali związani z nim ludzie. Jego wydalenie do Włoch wraz z Luciano i Adonisem tuż po wojnie było równoznaczne z przyznaniem mu licencji na przestępczą działalność. Niezależnie od tego, jak bardzo Matteo przysłużył się amerykańskim władzom w planowaniu lądowania we Włoszech, nie powinny się one były godzić na wypuszczenie go z więzienia. Jeśli taki człowiek jak on raz znalazł się za zamkniętymi drzwiami, jedyną rozsądną rzeczą, którą należało uczynić, było zgubienie od nich klucza.

Baker przypomniał sobie, ile to razy wskutek pogłosek o powrocie Mattea przemierzał kraj wzdłuż i wszerz, nigdy go jednak nie znajdując, choć na to, że Don Emilio wrócił, wskazywały nieme dowody: narkotyki i trupy.

Tym razem było jednak inaczej. Teraz mieli dowody, które przemówią, jeśli tylko uda się je utrzymać przy życiu. I to właśnie było powodem sprowadzenia Mattea z powrotem z Włoch.

Zajęło to wiele czasu, ale oto wreszcie ich mają. Trzech świadków, których zeznania wzajemnie do siebie pasują, a dla oskarżonych oznaczają pewny stryczek. Pozostało już tylko jedno zmartwienie: doprowadzić ich wszystkich żywych do stojącego na sali rozpraw fotela dla świadków.

Zaniepokojony wstał z krzesła, podszedł do okna i zapatrzył się na pogrążone w mroku miasto. Znając doskonale Mattea, wiedział na pewno, że gdzieś tam na zewnątrz, gdzieś w tym mieście, zabójca lub zabójcy czekają na swój ruch.

W powietrzu wisiało kilka wielkich znaków zapytania: JAK, KIEDY, GDZIE i KTO?

Maitre dtotel z małym wąsikiem zgiął się przed nią w uniżonym skłonie.

- Moje uszanowanie, panno Lang - wymamrotał. - Księżę Cardinali już pani oczekuje. Pozwoli pani za mną.

Poszedł przodem, ona zaś podążyła za nim swym nieśpiesznym, pełnym wdzięku krokiem modelki; jej długie, rude włosy w lśniących splotach spływały na ramiona. Szła powoli, delektując się pełnymi aprobaty spojrzeniami, jakie przyciągała. Dosłyszała szept jednej z podstarzałych bogatych dam.

- To jest Barbara Lang, ta dziewczyna z „Płomienia i Dymu”, no wiesz, moja droga, z tych reklam kosmetyków.

Mistrz ceremonii prowadził ją po dywanie w czarno-białe pasy w kierunku stolika Cesarego, który na jej widok

uniósł się z krzesła. Z uśmiechem pocałował ją w rękę, podczas gdy matre dTiotel manewrował krzesłem. Gdy usiadła, jej wierzchnie okrycie opadło na dywan.

- Szampana? - zaproponował Cesare.

Skinęła głową i rozejrzała się po sali restauracyjnej. W dyskretnym oświetleniu siedziały ozdobione wyrefinowaną biżuterią kobiety, którym towarzyszyli przysadziści, dobrze odżywieni mężczyźni o wygłodniałych twarzach. Sama śmietanka. Wszak to „El Morocco”. Ona zaś siedzi u boku autentycznego księcia, a nie jakiegoś zaślinionego pseudosponsora, który jedną ręką ściska swą małą, tłustą kuśkę, a drugą, pod osłoną stołu, stara się jej wsunąć pod sukienkę.

Popatrzyła na Cesarego, podnosząc do ust lampkę szampana. Oto księżę Cardinali, którego rodowód sięga sześciu stuleci wstecz, do czasów Borgiów; uczestnik samochodowych wyścigów na całym świecie, człowiek o nazwisku nieustannie goszczącym w kronikach towarzyskich prasy codziennej.

- Czy będziesz gotowa na jutro rano? - zapytał pogodnie.

Odwzajemniła uśmiech.

- Jestem bardzo szybka - odparła. - Mój bagaż czeka spakowany.

- Doskonale. - Kiwnął głową unosząc kieliszek. - Za twoje zdrowie.

- Za nasze wakacje. - Uśmiechnęła się. Sączyła wino w zamyśleniu. Nie zawsze było tak jak teraz.

Jeszcze całkiem niedawno jedynym znanym jej napojem z bąbelkami było piwo. Zdawało się, że zaledwie przedwczoraj zadzwonił do niej telefon ze szkoły modelek, do której uczęszczała, pracując jednocześnie jako urzędniczka w do-

mu towarowym w swoim rodzinnym Buffalo. Trafiła się okazja otrzymania pracy i zdobycia doświadczenia przy promocji filmu, który czekał na swą lokalną premierę.

Na to popołudnie wzięła z pracy wolne i pojechała do hotelu na rozmowę, Roztrzęsiona zatrzymała się na korytarzu przed drzwiami największego apartamentu, z którego dobiegały ochryple wrzaski i śmiech. Bliska nerwowego załamania nacisnęła dzwonek. Drzwi otworzyły się i stanął w nich młody, wysoki mężczyzna.

Wzięła głęboki wdech i rzuciła:

- Jestem Barbara Lang. Skierowała mnie tu agencja. Powiedziano mi, że potrzebna jest dziewczyna do akcji promocyjnej.

Młody człowiek patrzył na nią przez chwilę i wreszcie uśmiechnął się. Był to miły uśmiech, który nadał jego nieco bladej twarzy przyjemny, łagodny wyraz. Cofnął się, otwierając szeroko drzwi.

- Jestem Jed Goliath - przedstawił się. - Promocja to moja działka. Proszę do środka. Poznam panią ze wszystkimi.

Weszła do apartamentu, starając się nie zdradzać swego zdenerwowania. Czowała, że jak zwykle w takich sytuacjach nad jej górną wargą występują krople potu; zakłęła w duchu. W pokoju siedziało jeszcze trzech innych mężczyzn. W rogu zauważyła stolik służący za bar koktajlowy.

Goliath skierował ją do mężczyzny siedzącego w fotelu przy otwartym oknie. Ten uśmiechnął się, choć z jego twarzy nie zniknął wyraz udreki i niepokoju. Był to Mendel Bayliss, scenarzysta i producent filmu, a jego niepokój

wynikał z faktu, że w ten obraz zainwestował własne pieniądze.

- Cześć - powiedział. - Ale żar. Może drinka? Innego z mężczyzn rozpoznała od razu. Był drugim konferansjerem prowadzącym cotygodniowy telewizyjny show. Nazywano go Swawolnym Dyziem. Wpadł właśnie z wizytą do producenta, z którym przed laty wspólnie pracował przy jakimś nieudanym widowisku.

Trzeci z nich, Johnny Gleason, dyrektor tutejszego oddziału spółki filmowej, był wysokim mężczyzną o czerwonej twarzy. Mocno pijany, podczas prezentacji wstał z zamiarem złożenia ukłonu i omal nie runął na stojący przed nim stolik z kawą.

Jed uśmiechnął się do Barbary uspokajająco i pchnął dyrektora z powrotem na kanapę.

- Pijemy tu dzisiaj już od ósmej rano - wyjaśnił. Zdołała się uśmiechnąć, dając do zrozumienia, że wydaje

jej się to zupełnie naturalne.

- Agencja poinformowała mnie o możliwości pracy przy promocji filmu - zaczęła, starając się przywrócić całej sytuacji charakter bardziej oficjalny.

- Zgadza się - odparł Jed. - Potrzeba nam dziewczyny „Nie z tej ziemi”.

- Co takiego? - Zatkęło ją.

- Dziewczyny „Nie z tej ziemi” - wyjaśnił. - Taki jest tytuł naszego filmu: „Nie z tej ziemi”.

- Jesteś wysoka - zauważył Bayliss.

- Metr siedemdziesiąt pięć.

- Zdejmij no buty - polecił wstając z krzesła. Zsunęła szpilki i stała, trzymając je w ręku, podczas gdy on podszedł i przymierzył się do niej.

- Ja mam metr osiemdziesiąt - rzekł z odcieniem

dumy w głosie. - Nie mogę na wszystkich zdjęciach prasowych występować z dziewczyną wyższą ode mnie. Będziesz musiała wkładać niższe obcasy.

- Tak, proszę pana - zgodziła się.

Usiadł z powrotem w fotelu i zaczął taksująco przyglądać się jej sylwetce.

- Masz ze sobą kostium kąpielowy? - zapytał. Skinęła głową. Był to przecież stały składnik bagażu modelki.

- Załóż go - rzekł krótko. - Zobaczymy, co tam masz. Swawolny Dyzio natychmiast to podchwycił. Podszedł

do Barbary zakosami i zajrzał jej w twarz. Zachwycony łypnął pożądliwie okiem.

- Nie mamy też nic przeciwko temu, żebyś się nam pokazała bez kostiumu, laleczko - rzekł scenicznym szeptem

Czuła zalewający ją rumieniec i bezradnie spojrzała na Jeda. Dodał jej otuchy uśmiechem i wskazał drogę do łazienki.

- Tam się możesz przebrać - powiedział zamykając za nią drzwi.

Uwinięła się z tym szybko; ledwie zerknęła do lustra. Przynajmniej raz przydała się złocista opalenizna, która się jeszcze trzyma od zeszłego lata, pomyślała zadowolona. Jednorazową chusteczką otarła pot znad górnej wargi i wróciła do salonu.

Kiedy stanęła w drzwiach, wszystkie spojrzenia zwróciły się w jej stronę. W jednej chwili nabrała pewności siebie i krokiem modelki popłynęła na środek pokoju, gdzie wykonała nieśpieszny obrót.

- Bardzo zgrabna - ocenił producent.

- Przydałyby się większe zderzaki - zachichotał Swawolny Dyzio. - Ja jestem pies na cycki.

Producent nadal obserwował Barbarę.

- A czego się spodziewasz po modelkach z wielkich salonów mody? Wszystko na nich lepiej leży, kiedy nie mają cycków. Ona i tak ma tego więcej niż inne. - Spojrzał jej w oczy. - Dziewięćdziesiątka? Potwierdziła.

Producent podniósł się z uśmiechem.

- Mam najlepsze oko w Hollywood. - Zwrócił się do Jeda. - Może być.

Swawolny Dyzio podszedł i oblesnie gapił się na jej biust

- Grunt to mleczarnia - zanucił fałszywie. Bayliss roześmiał się.

- Przestań błaznować - powiedział. - No, pora już coś przekąsić - stwierdził i ruszył w stronę drzwi.

Swawolny Dyzio i dyrektor spółki, zataczając się, poszli za nim. W progu Bayliss przystanął i rzekł do Jeda:

- Wyjaśnij jej, co ma robić, i przyprowadź na konferencję prasową o piątej.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Barbara i Jed spojrzeli na siebie. Uśmiechnął się do niej.

- Usiądź na chwilę i odsapnij.

Poczuła nagłą słabość w nogach. Spojrzała na niego z wdzięcznością i zagłębiła się w zwolnionym przez producenta, jeszcze ciepłym fotelu.

Jed wrzucił do szklanki kostki lodu i zalał je coca-colą. Podał napój dziewczynie.

- Dzięki - rzekła odbierając szklankę. Powoli zaczęła saczyć chłodną colę.

- Oni są szurnięci - powiedział ciągle się uśmiechając; patrzył na jej biały kostium i długie opalone nogi.

- Czy oni tak zawsze? - zapytała.

Mimo że uśmiech nie zniknął z jego twarzy, Barbarze wydało się, że wyczuwa w głosie Jeda nutę goryczy.

- Zawsze - odpowiedział. - To faceci z nazwiskami. Ciągłe muszą sobie coś udowadniać.

W ciągu następnego tygodnia stała się najbardziej znaną dziewczyną w Buffalo. Nie było dnia bez jej zdjęcia w gazetach. Dwukrotnie jej podobizna ukazała się w dzienniku w Niagara Falls. Występowała we wszystkich lokalnych telewizyjnych showach i radiowych reklamówkach, poznała całą dziennikarską czołówkę i inne wybitne osobistości tego regionu.

Jed zawsze był w pobliżu. Sam pozostając w cieniu, ustawiał Barbarę i producenta do zdjęć, razem i osobno. W zdjęciach tych zawsze znajdowała się jakaś aluzja do filmu. Pierwszego dnia wróciła do domu o trzeciej nad ranem. Następnej nocy nie wróciła w ogóle. Spędziła ją w pokoju Jeda.

Kiedy ten zawrotny, przeładowany zajęciami tydzień dobiegł wreszcie końca, wszystko stało się nieciekawe i bez znaczenia. Wydawało się, że ludzie, których poznała w ciągu tego tygodnia, nagle o niej zapomnieli, nawet te matrony uczęszczające regularnie na cotygodniowe pokazy mody w domu towarowym, w którym Barbara pracowała.

Zapamiętała sobie słowa Jeda, który ostatniej nocy powiedział do niej:

- Tej wiochy już ci wystarczy, Barbaro. Jedź do Nowego Jorku. To jest miejsce dla dziewczyny takiej jak ty.

Wręczył jej swoją wizytówkę, a także bilecik pewnego znajomego fotografa. Sześć miesięcy później wyjechała do Nowego Jorku. Zarządca willi Jeda poinformował ją, że właściciel przeniósł się do Kalifornii, ale ów fotograf wciąż jeszcze był na miejscu. Stwierdziła też ze zdziwie-

niem, że Jed miał rację. Nowy Jork był dla niej stworzony. Po dwóch tygodniach trafiła na okładkę „Vogue”, a w ciągu roku stała się najbardziej wziętą modelką ekskluzywnych salonów mody w Nowym Jorku.

Pracowała bardzo ciężko i nie udzielała się towarzysko. Kamera jest brutalna i bezlitosna dla kogoś, kto sobie skąpi wypoczynku. Na weekendy leciała do rodzinnego Buffalo, gdzie włączyła się w pobliżu nowego domu, który kupiła matce.

Pewnego popołudnia prezentowała nowe stroje przed hotelem „Plaža”. Jednym z użytych do pokazu rekwizytów było czerwone sportowe Alfa-Romeo. Kiedy pozowała w otwartych drzwiach samochodu, podszedł do niej urzędnik agencji, któremu towarzyszył wysoki, szczupły mężczyzna o wyglądzie obcokrajowca. Jego przystojna twarz miała w sobie coś brutalnego, a uśmiech odsłonił białe, mocne zęby.

- Cześć, Barbaro - powiedział agent. - Chcę, żebyś poznała księcia Cardinali. To właśnie on był uprzejmy wypożyczyć nam do zdjęć ten wóz.

Barbara spojrzała na mężczyznę. Księżę Cardinali. Znała to nazwisko. Ciągłe przewijało się przez prasowe łamy. Było niemal tak legendarne, jak De Portago czy Pignatari, nazwiska ludzi, co do których nawet się nie ma pewności, czy rzeczywiście istnieją.

Cesare ujął jej dłoń i pocałował.

- Bardzo mi miło panią poznać - powiedział pogodnie. Odpowiedziała uśmiechem i skinieniem głowy. Cesare

odszedł na bok, a ona wróciła do swej pracy. Kiedy wieczorem tego samego dnia wylegiwała się w dżinsach, oglądając telewizję, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Słucham.

- Barbara? - Przez telefon w jego akcencie wyczuwało się obcą naleciałość. - Mówi Cesare Cardinali. Co pani powie na propozycję wspólnej kolacji dziś wieczorem?

- Noo... nie wiem - odpowiedziała niespodziewanie podniecona. - Właśnie odpoczywam.

Jego głos zabrzmiał zdecydowanie.

- W porządku. Zabiorę więc panią dopiero o jedenastej. Pojedziemy do „El Morocco”.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Weszła do łazienki i zaczęła napełniać wannę. Dopiero gdy się znalazła w parującej wodzie, uświadomiła sobie, że rzeczywiście zamierza pójść z nim na tę kolację.

Kiedy później siedzieli przy restauracyjnym stoliku, uniósł kieliszek z szampanem i powiedział poważnym głosem:

- Słuchaj, Barbaro, ludzie mówią, że zamierzasz zostać kobietą łatwą. To mi się podoba. A spodobałoby mi się jeszcze bardziej, gdybym ci mógł być w tym pomocny.

- Co takiego? - wykrztusiła oszołomiona.

Cesare jednak uśmiechnął się do niej i zrozumiała, że był to tylko żart. Rozpogodziła się i uniosła kieliszek. Musiał się jeszcze wiele nauczyć na temat amerykańskich dziewcząt

Z zadumy wyrwał ją głos Cesar ego.

- Zabieram cię jutro rano o wpół do dziesiątej - mówił. - Tak żeby przed dotarciem na lotnisko zdążył odebrać z sądu moje dokumenty.

- Świetnie - odpowiedziała. - Będę gotowa.

Rozdział 3

Cesare zatrzymał czerwone Alfa-Romeo przed budynkiem na parkingu przeznaczonym tylko dla samochodów personelu. Uśmiechnął się szeroko do Barbary.

- Poczekasz tu kilka minut? Tylko skoczę do środka i zabiorę dokumenty.

Kiwnęła głową. Jednak czując charakterystyczny dla klasy średniej respekt przed wszelkimi urzędowymi zakazami, powiedziała:

- Pośpiesz się. Nie chcę, żeby mnie stąd przepędzono.

- Nie zrobią tego - odparł z przekonaniem Cesare, wysiadając z samochodu. Poszedł w kierunku budynku. Na jego głowie zawadiacko tkwił filcowy kapelusz z podwiniętym po bokach rondem.

Patrzyła za nim, gdy wchodził i zniknął w drzwiach wejściowych, nad którymi widniał napis:

Ministerstwo do Spraw Imigracji i Naturalizacji Stanów Zjednoczonych. Czasem zachowywał się jak mały chłopiec.

Na przykład wtedy, gdy zatelefonował do niej w zeszłym tygodniu. Powiedział, że wrócił właśnie z Europy, gdzie odwiedził swój rodzinny dom, i że podjął pewną decyzję. Otóż zamierza przyjąć amerykańskie obywatelstwo. Czy

zatem ona zechce uczyć wraz z nim fakt odebrania dokumentów i zgodzi się na wspólne tygodniowe wakacje gdzieś tam, gdzie świeci słońce?

Przystąpiła na to bez chwili namysłu. Kiedy jednak odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się do siebie. Czyżby była pierwszą dziewczyną, którą Cesare traktuje poważnie? Oczywiście słyszała o jego innych romansach, ale na cały tydzień? W ciągu tego czasu może się wiele wydarzyć.

Zza rogu ulicy dobiegł do niej jakiś hałas. Podniosła wzrok. Gromadził się tam tłum. Nadszedł policjant, stanął obok i spojrzał na Barbarę.

- Jak długo zamierza pani tu parkować? - zapytał.

- Niedługo, panie władzo - odparła szybko. - Mój przyjaciel wszedł do środka, żeby odebrać dokumenty naturalizacyjne.

Policjant kiwnął głową i ruszył dalej. Zza rogu słychać było krzyki.

- Co się tam dzieje, panie władzo? - zawołała za oddalającym się stróżem prawa.

Rzucił okiem w tamtym kierunku, a potem spojrzał na nią.

- To na Foley Square, proszę pani. Dziś rano zaczyna się wielki proces gangsterów. Wygląda na to, że cały Nowy Jork chce się dostać na salę sądową.

Cesare wszedł do pokoju przyjęć. Urzędnik spojrzał na niego zza kontuaru.

- Jestem Cesare Cardinali. Przyszedłem odebrać dokumenty.

Urzędnik skinął głową.

- Dokumenty naturalizacyjne?

- Tak - potwierdził Cesare.

Tamten zajrzał do stojącej na kontuarze kartoteki z fiszkami. Wyjął z niej mały kartonik i zerknął na Cesarego.

- Zechce pan usiąść, panie Cardinali. Dokumenty będą gotowe za jakieś dziesięć minut
Cesare uśmiechnął się.

- To znakomicie. - Zawahał się przez chwilę, a następnie zapytał: - Czy jest tu gdzieś toaleta?
Urzędnik z uśmiechem wskazał mu drzwi.

- Dalej w korytarzu po lewej stronie - poinformował.

- Dziękuję - powiedział Cesare kierując się ku drzwiom. - Wrócę za chwilę.

Poszedł wzdłuż korytarza. Zatrzymał się przed męską toaletą i rozejrzał dokoła. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Minał więc szybko te drzwi i otworzył inne z napisem „Schody”. Wszedł, zamknął je za sobą i ruszył biegiem na górę, przesadzając po dwa stopnie naraz.

Przed gmachem sądu zahamowała czarna limuzyna, którą natychmiast otoczył tłum ludzi. Siedzący obok świadka Baker wyjrzał przez okno i powiedział:

- Jesteś wielką atrakcją.

Świadek Dinky Adams, człowiek o długiej, końskiej twarzy, wcisnął się w swój fotel i nasunął na twarz kapelusz.

- Też coś - parsknął wesoło. - Jak się dowiedzą, kim jestem, moje życie nie będzie warte funta kłaków.

- Nikt cię tu nie będzie nękał - powiedział uspokajająco Baker. - Mówiliśmy ci, że będziesz miał ochronę, i do tej pory wszystko gra.

Lotny patrol policji oczyścił przestrzeń wokół samochodu. W oknie pojawiła się głowa kapitana Stranga.

- W porządku, idziemy.

Pierwszy wysiadł Baker; za nim podążyli trzej pozostali agenci. Przez chwilę wszyscy stali rozglądając się dookoła; wreszcie Baker kiwnął głową i świadek zaczął wysiadać.

W tłumie rozległy się okrzyki osób, które go rozpoznały. Kiedy ruszyli poprzez stłoczoną ciżbę, agenci i policjanci otaczali go ciasnym wianuszkim. Fotoreporterzy i dziennikarze wyrzaskiwali swoje pytania, oni jednak zdecydowanie parli ku stopniom wiodącym ku wejściu do sądu, weszli do gmachu i ruszyli wzdłuż korytarza.

- Tędy - wskazał Strang. - Winda już czeka.

Poszli w ślad za kapitanem i weszli do pustej windy. Zamknięto dokładnie drzwi i kabina ruszyła.

Napięcie zdawało się ustępować. Baker spojrzał na Stranga.

- Udało się - powiedział z uśmiechem. Policjant przytaknął i odwzajemnił uśmiech.

- Najgorsze za nami. Jeszcze tylko ci dziennikarze na górze.

Dinky popatrzył na nich. Na jego bladej twarzy wciąż czaił się strach.

- Do końca życia będę wam tego gratulował, chłopcy. O ile pożyję wystarczająco długo.

Uśmiech zniknął z twarzy Bakera. Detektywi z powagą popatrzyli po sobie, po czym przenieśli wzrok na drzwi, które właśnie zaczęły się rozsuwać.

Cesare wyszedł z klatki schodowej na trzecim piętrze, skręcił i ruszył biegiem w kierunku wind.

Poprzez tłum widział drzwi prowadzące do sali rozpraw. Stali przy nich

dwaj policjanci. Wsunął prawą rękę do rękawa pikowanej samochodowej kurtki i poczuł w palcach mrowienie wywołane przez zimny metal ostrza sztyletu. Na jego ustach pojawił się dziwny uśmiech. W klatce piersiowej czuł wzmożony rytm serca, podobny do tego, który odczuwał zawsze, kiedy wprowadzał samochód w ostry zakręt, nie mając pewności, czy mu wystarczy ciągu dla dokończenia manewru. Zaczerpnął głęboko powietrza, a uśmiech zastygł mu na twarzy.

Tłum naparł na otwierające się drzwi windy. Cesare ani drgnął. Wiedział, że w tej kabinie jeszcze ich nie będzie. Jego informacje były ścisłe. Wielka szkoda, że nie miał więcej czasu na przygotowania.

Oparł się o ścianę między drugą a trzecią windą.

Drzwi obok otworzyły się i z kabiny wyszła ciasno otaczająca świadka grupa detektywów. Cesare szybko ruszył za nimi, dając się nieść tłumowi. Sytuacja była teraz niekorzystna, gdyż od świadka oddzielał go jeden z detektywów. Dziennikarze wykrzykiwali pozostawiane bez odpowiedzi pytania. Błyskały lampy fotoreporterów, którzy z wysokoku próbowali uchwycić kadrem świadka. Cesare mógł liczyć tylko na jakąś lukę. Z chwilą, kiedy ten człowiek przekroczy próg sali rozpraw, będzie już za późno.

Drzwi sali były coraz bliżej, a sztylet wciąż pozostawał zimny w jego dłoni. Cesare już dawno wstrzymał oddech. Jego płuca niemal pękały od nadmiaru tlenu. W uszach czuł straszliwe ciśnienie, a wszystko zdawało się poruszać w zwolnionym tempie.

Przed zamkniętymi drzwiami sali grupa na chwilę przystanąła. Detektyw idący za świadkiem lekko się przesunął. Cesare z sykiem wypuścił powietrze z płuc. Tłum znów

naparł na niego, popychając go do przodu. Teraz! Tylko teraz!

Cesare nawet nie poczuł ruchu swej ręki, niemal tak, jakby nie stanowiła części jego ciała. Sztylet wśliznął się w serce świadka niczym rozgrzany nóż w masło. Cesare poczuł, jak w chwili, gdy rozluźnił uchwyt, sztylet wskoczył mu z powrotem do rękawa wciągnięty tam przez przytwierdzoną do rękolejki sprężynę.

Świadek lekko się zachwiał, w chwili gdy dwaj policjanci wyciągnęli ręce, by otworzyć przed nim drzwi do sali. Cesare ruszył w kierunku klatki schodowej. Tuż przed jego twarzą rozbłysła lampa fotoreportera, oślepiając go na chwilę, ale zaraz odzyskał zdolność widzenia i posuwał się dalej.

Na sali sądowej panowała cisza. Obecni w niej ludzie słyszeli rosnący na korytarzu hałas. Dobiegające głosy stawały się coraz silniejsze.

Matteo spojrział na pozostałych oskarżonych. Wielki Holender bawił się nerwowo spinką krawata, Allie Fargo dłubał przy paznokciach, nawet Nick Elegant bezmyślnie bazgrał w leżącym przed nim żółtym brulionie. Hałas narastał.

Wielki Holender pochylił się ku nim.

- Ciekawe, kogo prowadzą - powiedział.

Nick Elegant wyszczerzył zęby w uśmiechu, który był raczej grymasem przerażenia.

- Zaraz się dowiesz.

Matteo uciszył ich ruchem ręki i wlepił wzrok w drzwi wejściowe. Pozostali uczynili to samo.

Najpierw w progu pojawili się dwaj detektywi, a potem świadek, który się

zachwiał, tak że policjant wyciągnął rękę i przywrócił mu równowagę.

Wielki Holender skoczył na równe nogi z okrzykiem wściekłości.

- To ten sukinsyn Dinky Adams!

Młotek sędziego zadudnił o pulpit Świadek postąpił jeszcze kilka kroków w głąb sali. W jego oczach zabłyśło przerażenie. Zachwiał się ponownie. Spojrzał w kierunku ławy oskarżonych. Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale nie dobył z siebie głosu. Jedynie z kącika ust wypłynęła mu strużka krwi. W jego wzroku pojawiła się udreka; zrobił kolejny krok i zaczął się osuwać na ziemię. Chwycił ręką za marynarkę Bakera. Nie mógł już jednak zacisnąć na niej dłoni i ześliznął się na podłogę.

W sali rozpętało się istne piekło, nad którym młotek sędziego nie mógł zapanować.

- Zamknąć drzwi! - ryknął Strang.

Wielki Holender rzucił się w stronę Matteo, chcąc mu coś powiedzieć.

- Zamknij się - warknął Matteo, a jego ciemne oczy lśniły zimnym blaskiem.

Urzędnik podniósł wzrok i uśmiechnął na widok Cesarego.

- Dokumenty są gotowe, panie Cardinal! Pozostaje panu tylko złożyć podpis.

Cesare ujął w palce pióro, pośpiesznie nagryzmolił swoje nazwisko na dokumentach i oddał pióro urzędnikowi.

- Dziękuję - rzekł. Zabrał papiery i wyszedł.

Kiedy znalazł się w jaskrawych promieniach słońca,

wciąż jeszcze czuł ucisk w klatce piersiowej. Zamrugął. Barbara pomachała mu z samochodu.

Uśmiechnął się, powiewając ku niej trzymanymi w ręku papierami.

Kiedy zszedł z krawężnika i zbliżał się do niej, zaśmiała się figlarnie.

- Proszę przyjąć moje gratulacje, księżę Cardinali. Przyłączył się do jej wesołości, obszedł wóz dookoła

i wsiadł do środka.

- Nie czytałaś jeszcze tych dokumentów, moja droga. Nie ma tam już żadnego księcia. Jest zwyczajny pan Cesare Cardinali.

Kiedy zapalał silnik, Barbara wybuchnęła śmiechem.

- Zwyczajny pan Cesare Cardinali. To mi się podoba. Jest w tym jakaś przyjemna siermiężność.

Cesare rzucił na nią okiem, włączając samochód w strumień pojazdów.

- Coś mi się wydaje, że sobie ze mnie podkpiwasz.

- Ani trochę - odparła pośpiesznie. - Jestem z ciebie naprawdę dumna.

Napięcie ściskające mu żołądek ustąpiło z chwilą, gdy skręcili za róg, oddalając się od budynku sądu.

- Mogłabyś mi zapalić papierosa, kochanie? - poprosił. Czuł, że jego lędźwie ogarnia podniecenie, a uda pulsują wzmożonym tętnem.

Wsunęła mu między wargi zapalony papieros.

- Jestem ciekawa, co by na to wszystko powiedziała moja matka - rozważała beztróska. - Tygodniowa eskapada z obcym mężczyzną, z którym nawet nie jestem po słowie.

Kątem oka dostrzegł jej uśmiech.

- Jeśli się o tym nie dowie, nie będzie miała powodu do niepokoju.

Barbara ciągle się śmiała.

- Oczywiście, łatwiej by jej się było z tym pogodzić, gdyby wiedziała, że podróżuję w towarzystwie księcia, czyli Europejczyka szczególnego rodzaju. Ale ze zwyczajnym panem...

Cesare przerwał jej.

- Wiesz, co o tym myślę?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie, a co?

Ból w lędźwiach stał się nie do zniesienia. Sięgnął po jej rękę i położył ją sobie na naprężonych mięśniach uda. Kiedy Barbara wyczuła dręczące go napięcie, uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Odwrócił się ku niej, a ona przez moment widziała w jego wzroku otchłań minionych stuleci, na którą natychmiast opadła zasłona.

- Myślę, że twoja matka jest snobką - powiedział. Barbara roześmiała się i dalej jechali w milczeniu, podczas gdy Cesare skręcił do tunelu pod miastem, a potem w aleję wiodącą do lotniska. Prowadził automatycznie, zdając się tylko na instynkt. Myślami był na Sycylii, przy domu rodzinnym. Odwiedził go zaledwie przed kilku tygodniami, a zdało mu się, że od tej chwili minęły lata.

Jak to kiedyś Don Emilio nazwał jego stryja? Shy-lockiem. Uśmiechnął się w duchu na myśl, jak Matteo określiliby teraz jego samego.

Człowiek, który padł na sali sądowej, to tylko spłata kwoty nominalnej długu, który Cesare niegdyś zaciągnął. Dwaj następni to będą odsetki, które narosły przez dwanaście lat Trzy istnienia za jedno.

Każdy buchalter uznałby taką spłatę kredytu.

Cesare dobrze pamiętał ów wieczór, kiedy Don Emilio wystawił mu ten rachunek.

Rozdział 4

Cesare zahamował przed głównym wejściem zupełnie pustego dziedzińca zamku Cardinalich. Kiedy wyłączył silnik, drzwi otworzyły się i wyjrzał z nich stary mężczyzna. Widok Cesarego wywołał na jego twarzy szeroki, radosny uśmiech. Zbiegł niezdarnie po schodach.

- Don Cesare, Don Cesare! - zawołał starczym głosem. Cesare zwrócił się ku niemu z uśmiechem.

- Gio! - wykrzyknął.

Starzec miotał się przed nim w podskokach.

- Powinien pan nas uprzedzić o swoim przyjeździe, Don Cesare - powiedział. - Przygotowalibyśmy dla pana dom.

Cesare uśmiechnął się kwaśno.

- To jest niespodziewana wizyta, mój Gio. Tylko przenocuję. Jutro muszę wracać do domu.

Stary spochmurniał.

- Do domu? Don Cesare! Przecież tu jest pana dom. Cesare ruszył po schodach.

- Słusznie - rzekł uprzejmie. - Ciągle o tym zapominam. Ale teraz mieszkam w Ameryce.

Gio wyciągnął walizkę z tylnego siedzenia i pośpieszył za Cesarem.

- Jak się panu powiodło w ostatnim wyścigu, Don Cesare? Zwyciężył pan?

Cesare potrząsnął głową.

- Nie, Gio. Spalił mi się generator i stanąłem. Dzięki temu znalazłem trochę czasu, żeby tu przyjechać. Przeszedł przez wielki, chłodny hol i przystanął przed portretem ojca. Wpatrywał się przez chwilę w szczupłą patrycjuszowską twarz, która odwzajemniała to spojrzenie. Wojna przyniosła ojcu załamanie. Psychiczne i fizyczne. Opowiedział się przeciw sojuszowi z Niemcami i Duce zarządził konfiskatę jego dóbr. Wkrótce potem starszy pan zmarł

- Przykro mi z powodu pańskiego samochodu, Don Cesare - usłyszał za sobą głos Gio.

- Samochodu? Ach, tak... - Cesare odstąpił od portretu i poszedł do biblioteki. Nie myślał w tej chwili o samochodzie ani nawet o swym ojcu. Uświadamiał sobie właśnie, jak dalece wszystko się zmieniło. Kiedy po wojnie wrócił do domu, zastał zupełnie nową sytuację. Właścicielem majątku stał się jego stryj. Przejął bank i dobra ziemskie; wszystko z wyjątkiem zamku i książęcego tytułu. Stryj nigdy nie wybaczył bratu, że pozbawił go prawa do sukcesji, uznając Cesarego za swego legalnego syna.

Nigdy nie padło na ten temat jedno choćby słowo, ale wszyscy wiedzieli, jakie uczucia targały tym małym, skąpym właścicielem banku dewizowego. Cesare z goryczą wspominał spotkanie ze stryjem.

- Signor Raimondi - powiedział hardo. - Dowiedziałem

się, że mój ojciec zdeponował u pana jakieś pieniądze przeznaczone dla mnie.

Raimondi zerknął na niego przenikliwie zza brudnego czarnego biurka.

- Twoje informacje nie są ścisłe, mój bratanku - odparł słabym, piskliwym głosem. - W pewnym sensie to prawda. Kiedy mój drogi brat, książę Cardinali, zmarł, był mi winien dużą sumę pieniędzy. Mam tu w biurku dokument na dług hipoteczny obciążający zamek i cały teren wokół niego.

Mówił prawdę. Wszystko było zgodne z prawem i przekazane do egzekucji Raimondiemu. Przez trzy powojenne lata Cesare musiał żyć pod uciążliwą kuratelą starego. Całkowite uzależnienie materialne od stryja sprawiło, że Cesare znienawidził go. Nawet gdy chciał pojechać autobusem na swoje ulubione zawody szermiercze, musiał iść do biura i prosić go o pieniądze.

Wtedy właśnie pewnego popołudnia Cesare po raz pierwszy zetknął się z Emiliem Matteo. Znajdował się akurat w kantorze stryja, kiedy na zewnątrz powstało duże poruszenie. Cesare spojrzął poprzez oszklone drzwi.

W ich kierunku zmierzał elegancko ubrany siwowłosy mężczyzna. Po drodze witano go z wiernopoddańczą uniżonością.

- Kto to jest? - zapytał Cesare.

- Emilio Matteo - wyjaśnił Raimondi, który już powstał, by powitać gościa.

Cesare uniósł pytająco brwi. Nigdy nie słyszał o tym człowieku.

- Matteo - powtórzył zniecierpliwiony stryj. - Jedna z grubych ryb Rodziny. Właśnie przyjechał z Ameryki.

Cesare uśmiechnął się. Nazywają to Rodziną. Mafia. Dorośli mężczyźni, którzy bawią się niczym mali chłopcy,

HAROLD ROBBINS

szafując własną krwią i nazywając się wzajemnie Wujami, Bratankami i Kuzynami.

- Nie śmieć się - warknął stryj. - W Ameryce Rodzina ma wielkie znaczenie. Matteo to najbogatszy człowiek na Sycylii.

Otworzyły się drzwi i wszedł Matteo.

- *Bon giorno*, signor Cardinali - powiedział z wyraźnym amerykańskim akcentem.

- Jestem zaszczycony pańską wizytą, signor Matteo. - Raimondi zgiął się w ukłonie. - Czym mogę panu dzisiaj służyć?

Matteo spojrzał pytająco na Cesarego. Raimondi przysunął się pośpiesznie.

- Pozwoli pan przedstawić sobie mojego bratanka, księcia Cardinali. - Tu zwrócił się do Cesarego. - Signor Matteo z Ameryki.

Matteo spojrzał na niego z namysłem.

- Major Cardinali? Cesare potwierdził.

- Tak, z czasu wojny.

- Słyszałem o panu - powiedział Matteo.

Tym razem Cesare przyjrzał się gościowi. Niewiele osób słyszało o nim w czasie wojny. Jedyne ci, którzy mieli dostęp do specjalnego rodzaju informacji. Ciekawe, skąd ten człowiek mógł się o nim dowiedzieć.

- Czuję się zaszczycony, sir - odparł.

Raimondi zamierzał przejść do interesów. Bez pardonowo odprawił więc Cesarego.

- Przyjdź jutro - rzekł tonem świadczącym o poczuciu własnej godności. - Może coś wysupłamy na ten twój mecz.

Cesare zacisnął usta; oczy mu pociemniały i zabłyśły

lodowato. Na chwilę sprężył się wewnątrz. Pewnego dnia przebierze się miarka. Stary już teraz pozwala sobie na zbyt wiele. Kiedy wychodził z biura, czuł na swych plecach wzrok Mattea.

Zamykając drzwi słyszał jeszcze głos Raimondiego.

- Przyjemny chłopak, ale dużo mnie kosztuje. To relikwiarz przeszłości. Żadnego przygotowania; nie jest w stanie podjąć jakiegokolwiek pracy... - Zamknięcie drzwi ucięło wypowiedź opiekuna.

Gio rozpałał ogień w kominku w bibliotece, a Cesare stał obok z kieliszkiem brandy w ręce.

- Obiad będzie gotowy za pół godziny - oznajmił stary. Cesare skinął głową. Przeszedł przez pokój i zbliżył się do

biurka, na którym wciąż stała fotografia matki. Wziął zdjęcie do ręki. Pamiętał jej oczy. Były niebieskie, tak jak u niego, ale jednocześnie łagodne, ciepłe i życzliwe. Pamiętał ten dzień, kiedy go zaskoczyła w ogrodzie. Miał wtedy osiem lat

Obserwował właśnie, jak wielka zielona mucha, którą przyszpilił do drzewa, stara się rozpaczliwie uwolnić z opresji.

- Cesare! Co ty tam na Boga wyprawiasz? Odwrócił się i ujrzał stojącą nad nim matkę. Zaśmiał się uradowany i wskazał palcem. Spojrzała tam i najpierw pobladła, a potem zawrzała gniewem.

- Masz natychmiast z tym skończyć, Cesare! Uwolnij ją. To barbarzyństwo.

Cesare wyciągnął szpilkę, ale mucha tkwiła tam nadal. Spojrzał ze zdziwieniem na matkę, a potem ponownie na owada. Szybko wyrwał mu skrzydełka, rzucił go na ziemię i rozdeptał.

Matka patrzyła na niego z gniewem.

- Dlaczego to zrobiłeś, Cesare?

Spowaźniał, namyślając się przez chwilę nad odpowiedzią. A potem zmarszczył twarz w triumfalnym uśmiechu.

- Bo lubię zabijać - odpowiedział.

Matka patrzyła na niego jeszcze przez moment, wreszcie odwróciła się i poszła do domu. Rok później zmarła na malarię, a książe zabrał go do siebie do zamku, gdzie Cesare przeszedł przez ręce kolejnych gubernatorów i nauczycieli; i nikomu nigdy nie uszło na sucho wspomnienie księcia o tej sprawie.

Cesare odłożył fotografię. Czuł, że ogarnia go zmęczenie. Za wiele tu wspomnień. Zamek zalegały opary minionych czasów. Powinien go po prostu sprzedać i przyjąć obywatelstwo amerykańskie. To jedyny sposób na uporanie się z przeszłością. Odciać się od niej całkowicie jak nożem, tak aby w człowieku nie pozostał najmniejszy jej ślad.

Pomyślał o telegramie, który był powodem jego przyjazdu na Sycylię, a jednocześnie wyeliminował go z wyścigu i uniemożliwił spotkanie na Riwierze z Ileaną. Na myśl o niej uśmiechnął się do siebie. Trzeba przyznać, że Rumunki mają w sobie coś, a już zwłaszcza te z półświatką z arystokratycznymi tytułami. Teraz jednak Ileana prawdopodobnie zmierzała do Kalifornii w towarzystwie tego bogatego Teksaszczyka.

W drzwiach biblioteki stanął Gio.

- Wasza Ekscelencjo, obiad podany - oznajmił.

Rozdział 5

Bielizna stołowa była biała i delikatna; złote świeczniki jarzyły się światłem, a wypolerowane srebra odbijały jego blask. Usługiwał sam Gio. Podano pokrojonego w plasterki i mieniącego się okruchami lodu węgorza oraz gorące *scampi*, które buchało parą ze stojącego na pomocniku podgrzewacza.

Gio, ubrany w swoją purpurowo-zieloną liberię majordoma, stał pełen godności, trzymając ręce na oparciu krzesła w szczycie długiego i pustego, przygotowanego tylko dla księcia stołu.

Cesare usiadł i sięgnął po serwetkę.

- Moje gratulacje, Gio. Jesteś doprawdy geniuszem. Rozpierany dumą Gio pochylił głowę.

- Staram się, Wasza Ekscelencjo. - Przystąpił do otwierania butelki białego Orvieto. - Nie jest już tak jak za dawnych czasów, gdy każdego wieczoru do kolacji zasiadał tłum ludzi. To stare dzieje.

Cesare spróbował wina i pokiwał głową. Tak, to stare dzieje. Świat jednak idzie naprzód. Czas nie stoi w miejscu, nawet dla samego Gio. Spojrzał na stół przed sobą.

Nie tak on wyglądał zaraz po wojnie. Wówczas znacznie bardziej niż nakrycie radowało ich samo pojawiające się na nim jedzenie. Cesare pamiętał wieczór, kiedy odwiedził go Matteo. Było to w dniu, w którym poznali się w biurze stryja. Siedział wówczas i jadł ser, chleb i jabłka, leżące na gołym drewnie tego samego stołu.

Z zewnątrz doleciał odgłos samochodu i Gio poszedł otworzyć drzwi. Po chwili był już z powrotem.

- Signor Matteo do Waszej Eksceleencji - zapowiedział. Cesare polecił służącemu, by wprowadził gościa. Matteo

wszedł do pokoju, błyskawicznie omiatając go taksującym spojrzeniem. Nagi stół, skromne jedzenie, żelazne sztuce. Cesare jednak nie mógł niczego wyczytać z jego twarzy.

Wskazał gościowi miejsce za stołem i zaprosił do wspólnego posiłku. Matteo usiadł; podziękował. Był już po kolacji. Cesare nie czuł się bynajmniej zażenowany. Reprezentował klasę, dla której ubóstwo nie miało żadnego znaczenia. Było może czymś uciążliwym, ale nie stanowiło powodu do wstydu.

Jego pozycja społeczna była niczym nie zagrożona.

Po tej wymianie grzeczności Gio sprzątnął ze stołu, a Cesare usiadł wygodniej na krześle i wbił białe zęby w jabłko.

Matteo przyglądał mu się. Miał przed sobą młodzieńca o szczupłej, zuchwałej twarzy, ciemnoniebieskich, wpadających niemal w czerń, zimnych jak lód oczach i silnie zarysowanej szczęce. Dostrzegł również siłę emanującą z nadgarstka i dłoni trzymającej jabłko.

- Czy pan mówi po angielsku, majorze? - zapytał Matteo w tym właśnie języku.

Cesare kiwnął głową.

- Przed wojną kształciłem się w Anglii - odparł po angielsku.

- To dobrze - rzekł Matteo. - Jeśli pan pozwoli, rozmawiajmy w tym języku. Mój włoski... no cóż... wyjechałem stąd jako trzyletnie dziecko.
- Proszę bardzo - zgodził się Cesare.
- Sądzę, że jest pan ciekaw powodu mojej wizyty. Cesare w milczeniu kiwnął głową. Matteo szerokim ruchem ręki wskazał na zamek, w którym się znajdowali.
- Mój ojciec często mi opowiadał o wspaniałościach Castolo Cardinali. O tym, jak wpatrywali się ze swej wioski w jego wesołe, rozjarzone światła.
- Cesare odłożył ogryzek jabłka na stół i wzruszył ramionami.
- To wszystko wojenne łupy. Matteo szybko podchwycił.
- Albo raczej łup twojego stryja.
- Tego lichwiarza - powiedział Cesare z pogardą w głosie. - Teraz wszystko należy do niego.
- Matteo spojrzał mu prosto w oczy.
- Dopóki żyje - stwierdził.
- Takim jak on skąpstwo nie pozwala umrzeć - odparł Cesare.
- Matteo uśmiechnął się.
- W Ameryce nazywamy takiego człowieka Shylo-ckiem. Od tego lichwiarza w sztuce teatralnej.
- Cesare odpowiedział mu uśmiechem.
- Wy, Amerykanie, lubicie nazywać rzeczy po imieniu. Shylock. Doskonale.
- Matteo zignorował tę małą dygresję i mówił dalej:
- Pański stryj jest samotny, nie ma żadnej rodziny poza panem. I jest właścicielem banku z kapitałem dwustu milionów lirów.

Cesare spojrział na niego. W tym starszym mężczyźnie rozpoznał siebie samego.

- Myślałem o tym wielokrotnie. Świnie nie zasługują na to, by żyć. Ale zgładzenie go nie przyniosłoby mi niczego dobrego.

Matteo potrząsnął z powagą głową.

- To prawda. Ale gdyby on umarł w chwili, gdy pan będzie uczestniczył w zawodach szermierczych w wiosce leżącej o sto pięćdziesiąt metrów dalej, stałby się pan znów bogatym człowiekiem.

Cesare patrzył na niego przez chwilę; potem wstał.

- Gio! - zawołał. - Przynieś nam butelkę Napoleona. Przenosimy się do biblioteki.

Kiedy za Giem zamknęły się drzwi i pozostali sami, siedząc przed żywo buchającym na kominku ogniem, Cesare zwrócił się do Matteo.

- Jaki jest cel pańskiej wizyty? - zapytał wprost Matteo z uśmiechem uniósł swoją brandy.

- Słyszałem o panu, majorze.

- Co takiego pan słyszał?

- Pan oczywiście pamięta okres wojny poprzedzający bezpośrednio lądowanie aliantów we Włoszech? - Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej. - Otóż ja i pewien mój znajomy mieszkający obecnie w Neapolu przekazaliśmy amerykańskim władzom listę osób, które miały służyć pomocą w przygotowaniach do tej operacji. Ci ludzie należeli do podziemia, które istniało na długo przed wojną, a nawet jeszcze przed pierwszą wojną światową. To byli mafiosi.

Cesare słuchał w milczeniu.

- Dowiedziałem się, że był pan jednym z włoskich oficerów oddelegowanych przez włoski Sztab Generalny

do współpracy z OSS*. Polecono panu nawiązać kontakt z dziewięcioma ludźmi i zapewnić ich współpracę. Pięciu z nich pan zamordował.

- Oni odmówili współpracy - szybko wtrącił Cesare.

- Wyjaśniłem to w moim sprawozdaniu. Matteo roześmiał się.

- Nie interesują mnie wersje urzędowe. Sam zbyt wiele ich spreparowałem, by wierzyć w ich rzetelność. Prawdę natomiast znamy my dwaj. Pan rozumie, ci urzędnicy nigdy nie oglądali zwłok ludzi, których pan zabił. Widzieli je zaś moi przyjaciele. - Matteo opuścił pucharek z brandy i spojrzał prosto w oczy Cesarego. - Dlatego właśnie nie rozumiem sprawy twojego stryja, mój przyjacielu. Skoro tak lekko i radośnie przychodzi ci szafować śmiercią, dlaczego pozwalasz mu żyć?

Cesare przyjrzał mu się.

- To było co innego. Toczyła się wojna. Matteo zareagował śmiechem.

- Wojna stanowiła dla ciebie tylko pretekst Ale mamy też i innych. Tego żołnierza w wiosce, kiedy jeszcze byłeś chłopcem, młodego Anglika, którego zepchnąłeś z szosy w ostatnim roku szkoły w Anglii, niemiecką kochankę twojego dowódcy, kiedy zagroziła że mu o tobie opowie.

- Spojrzał mu w twarz. - Jak widzisz, mam lepsze źródła informacji niż czynniki oficjalne.

Cesare zagłębił się w fotelu naprzeciwko Mattea. Pociągnął łyk brandy i uśmiechnął się.

- No więc, co ma pan zamiar zrobić z tymi bezużytecznymi informacjami?

Matteo wzruszył ramionami.

*** Office of Strategic Services - amerykańskie Biuro Służb Strategicznych.**

- Nie zamierzam nic z tym robić. Chciałem tylko wykazać, jak się tobą interesuję. Sądzę, że my dwaj możemy być sobie wzajemnie bardzo potrzebni.

- Tak?

Matteo kiwnął głową.

- Okoliczności zmusiły mnie do powrotu do ojczyzny, ale tak naprawdę czuję się Amerykaninem, nie Włochem, duchowo i fizycznie. Niestety, przez pewien czas nie wolno mi tam wrócić. To znaczy legalnie. Oczywiście wpadam tam na krótko, ale to się wiąże z dużym ryzykiem. Myślę, że kiedyś mogę potrzebować w Stanach swojego człowieka, z którym by mnie nikt nie kojarzył, kogoś takiego jak ty. Człowieka do pomocy w nagłych wypadkach.

Cesare patrzył na niego intensywnie.

- A co z pańskimi wspólnikami? Przyjaciółmi z Rodziny? Z pewnością ma pan tam wielu sprzymierzeńców?

Matteo przytaknął.

- To prawda, ale oni wszyscy są tam znani. Znają się między sobą, są też znani policji. Prędzej czy później wszelkie tajemnice stają się ich wspólną własnością.

Matteo wstał i podszedł do płonącego kominka. Odwrócił się plecami do ognia i popatrzył na Cesarego.

- Masz już chyba dość tej wegetacji u boku stryja. To nudne, obskurne życie jest sprzeczne z twoją naturą. Co byś zaczął robić, gdybyś się od tego wszystkiego uwolnił?

Cesare popatrzył na Mattea.

- Nie wiem. Może bym podróżował. A może kupował samochody i brał udział w wyścigach? Le Mans, Turyn, Sebring. Tam są wielkie emocje.

Słyszac to, Matteo roześmiał się.

- Chodzi mi o to, jak byś zarabiał na życie? Wiesz przecież, że pieniądze zawsze się kiedyś kończą.

Cesare potrząsnął przecząco głową.

- Nigdy o tym nie myślałem. Miałem zawsze wstręt do interesów.

Matteo wyjął cygaro i zapalił.

- Ech, ta młodość, bezmyślna młodość - rzekł pobłaźliwie. - Mam trochę udziałów w spółce handlu samochodami; zdobyłem je poprzez legalnych wspólników, którzy za kilka lat planują wejść na rynek amerykański. Gdybyś sobie do tego czasu zdobył pozycję w branży wyścigowej, mógłbyś ewentualnie stanąć na czele amerykańskiej filii tej spółki. Co ty na to?

- Kto by tego nie chciał? - odparł Cesare. - Czego się pan jednak spodziewa w zamian?

Matteo spojrział na niego uważnie.

- Jakiejś przysługi od czasu do czasu.

- Jakiej przysługi? Nie mam ochoty włączać się w wasze nudne interesy, drobny hazard czy narkotyki...

Matteo wpadł mu w słowo.

- Nawet gdyby cię to uczyniło niewyobrażalnie bogatym?

Cesare parsknął śmiechem.

- Bogatym? A komu to potrzebne? Jedyne, czego pragnę, to móc robić to, na co mam ochotę.

Matteo ucieszył się z jego rozbawienia.

- Doskonale. To znaczy, że nie ponosi cię ambicja. Masz kolejny punkt. Nikt nie będzie się musiał ciebie obawiać.

Cesare ponownie sięgnął po brandy.

- Ciągle jeszcze nie wiem, jakiego rodzaju przysługi pan ode mnie oczekuje.

Matteo utkwiał w nim wzrok. Ich spojrzenia zwały się ze sobą i zastygły w bezruchu.

- Chodzi tylko o przysługę w rewanżu za tę, którą ja wyświadczę tobie jutro wieczorem, kiedy twój stryj umrze, podczas gdy będziesz na zawodach.

Dopiero po długiej chwili na twarzy Cesarego pojawił się uśmiech.

- Zgoda. Załatwione. Umowa stoi. Matteo spoważniał.

- Jesteś gotów złożyć przysięgę?

- Tak.

- Masz przy sobie nóż?

Cesare błyskawicznie wyciągnął sztylet. Matteo spojrzał zdumiony. Cesare uśmiechnął się, ujął nóż za ostrze i podał mu go rękojeścią do przodu.

- To mój rodzony brat - powiedział. - Nigdy się ze sobą nie rozstajemy.

Matteo wziął sztylet do ręki.

- Podaj mi dłoń - poprosił.

Cesare wyciągnął rękę, a Matteo płasko przyłożył do jego dłoni swoją. Szybkim ruchem nakłuł sztyletem oba wskazujące palce. Wytoczona w ten sposób krew zmieszała się ze sobą i spłynęła do wnętrza ich dłoni.

Matteo spojrzał na Cesarego.

- Nasza krew połączyła się. Jesteśmy teraz jedną rodziną.

Cesare skinął głową.

- Jestem gotów oddać za ciebie życie - powiedział Matteo.

- Jestem gotów oddać za ciebie życie - powtórzył Cesare.

Matteo opuścił rękę i zwrócił sztylet. Zajrzał w twarz Cesaremu. Wsunął palec do ust i possał, żeby zatamować krwawienie.

- Od tej chwili jesteś moim siostrzeńcem - oznajmił. - Będziemy się spotykać wyłącznie na moje życzenie.

Cesare przyjął to do wiadomości.

- Tak, wuju.

- A jeśli kiedyś uznasz za konieczne nawiązanie ze mną kontaktu, wyślij wiadomość do naczelnika poczty w tej wiosce. Odezwę się do ciebie.

- Rozumiem, wuju.

Wszystko to zdarzyło się przed dwunastu laty. Tak jak zapowiedział Matteo, Raimondi zmarł następnej nocy, w czasie gdy Cesare uczestniczył w zawodach szermierczych. Szybko minęło następne pięciolecie. Wyścigi i samochody. Wielkie bale i miłostki. A potem, w 1953 roku, tak jak planował Emilio, Cesare otrzymał propozycję objęcia amerykańskiej filii spółki handlu samochodami. Ogromną rolę w jego awansie odegrała prasa. Jego szalony styl życia, niebezpieczna jazda samochodami sprawiły, że stał się barwną międzynarodową postacią. Dwukrotnie stawał do pojedynków, których powodem były kobiety. W oczach Ameryki był istotą z innego świata. W ciągu tych dwunastu lat Cesare tylko raz spotkał się z Emiliem. W zeszłym roku otrzymał telefoniczne wezwanie i stawił się w pokoju pensjonatu nad barem w hiszpańskim Harleemie, gdzie po prostu wymienili serdeczności, a Matteo wyraził swą radość z powodu sukcesu Cesarego. Spotkanie było krótkie, gdyż na Mattea czekał samolot, który miał go zabrać na Kubę, skąd jego szlak wiódł na Sycylię. Rozstali się wówczas i Cesare przypomniał sobie o Emiliu dopiero tuż przed startem do

kolejnego wyścigu, kiedy wetknięto mu karteczkę z wiadomością, że ma się natychmiast stawić w swym zamku na Sycylii.

Kurczę po myśliwsku było delikatne i wyśmienite w smaku, homar *fra diawolo* - aromatyczny i pikantny, a kiedy Cesare odkładał serwetkę, na dziedzińcu zahamował samochód.

Pozostawało mu tylko czekać na Gia, który poszedł do drzwi wejściowych. Po chwili służący był z powrotem. W ręku trzymał kopertę.

- To naczelnik poczty z wioski. Powiedział, że ma dla pana przesyłkę poleconą.

Cesare odebrał list i rozerwał kopertę. Znalazł w niej instrukcję, dwie strony gęstego maszynopisu.

Przeczytał je szybko raz i drugi; potem powoli odłożył list na stół i sięgnął po kawę.

Minęło dwanaście lat i oto Don Emilio wystawił mu rachunek. Wraz z odsetkami.

Rozdział 6

Las Vegas to miasto nocy. Na zewnątrz hoteli są baseny z czystą, przefiltrowaną błękitną wodą, jednak okupują je tylko turyści i hotelowe mewki, które podtrzymują swą opaleniznę - rodzaj ich zawodowego makijażu. Wewnątrz tych przybytków panuje wieczna noc.

Ktoś kiedyś powiedział, że nie należy ich oglądać w blasku dnia. W ostrym, białym świetle dziennym jest coś, co zakłóca graczom poczucie rzeczywistości - rzeczywistości wirującego koła ruletki, głuchego stukotu kości na twardej filcowej powierzchni stołów; rzeczywistości gorączki wygranych i ruchomych piasków pustyni, na której wybudowano to miasto.

Tu czeka wygrana, wielka przygoda, ciągła obietnica jutra. Pieniądze do wzięcia. Wszystko poza tym schodzi na dalszy plan. Seks, interesy, śmiech. Fortuna w zasięgu ręki. Pociągnij za rączkę automatu. Może pula czeka akurat na ciebie...

Wyszli z rewiowej restauracji, wciąż jeszcze śmiejąc się z obejrzanej właśnie farsy, której obsada była naszpikowana nazwiskami światowej sławy. Przystanęli na chwilę, spoglądając w perspektywę korytarza, w kierunku kasyna.

Była dziesiąta i wokół stołów na sali gier hotelu „Maharadza” tłoczyła się niedawna publiczność widowiska w restauracji. Cesare przebiegł wzrokiem po kasynie.

- Nie dosłyszałeś mojego pytania - powiedziała Barbara. Odwrócił się i spojrzał na nią z góry. Jego oczy błyszczały dziwnym podnieceniem.

- Nie, moja droga, nie dosłyszałem. A o co pytałaś? Popatrzyła na niego. Inny mężczyzna przeprosiłby ją

albo się upierał, że to nieprawda, a on po prostu przyznał jej rację.

- Pytałam, co wybieramy: kości czy ruletkę. * Cesare uśmiechnął się nagle.

- Ruletkę. Mam dość tych zwariowanych sześcianików z kości słoniowej. Nigdy się w nich nie połapię. - Ruszyli w stronę stołów z ruletką. - Wielka szkoda, że tu nie ma bakarata. To jest gra dla istot rozumnych. Trzeba się w niej wykazać jakąś wiedzą, samo szczęście nie wystarczy.

Barbara skrzyła do jednego ze stołów, ale Cesare przytrzymał ją za ramię.

- Nie, nie, tu jest zbyt tłoczno. Chodźmy do tamtego. Skierował się do stołu naprzeciwko i rzeczywiście było

tu luźniej. Odsunął krzesło i Barbara usiadła. Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Czy dzisiaj będzie ci sprzyjać szczęście? Potwierdził kiwnięciem głowy i również się uśmiechnął.

- Będę miał ogromne szczęście - odparł, kładąc przed nią stosik żetonów.

Na biurku Bakera w Nowym Jorku zadzwonił telefon. Baker odstawił kubek z kawą i podniósł słuchawkę. - Jordan z Las Vegas - zapowiedział operator.

- Dawaj go - odparł Baker.

W słuchawce zabrzmiał głos Jordana.

- Cześć, George. Jak nam leci?

- Kiepsko-odrzekł Baker zmęczonym głosem.-Mamy

problem. Do tej pory nie możemy zrozumieć, w jaki sposób zabito Dinkyego Adamsa. A jak się miewa twój chłopak? Jordan roześmiał się.

- Pierwszorządnie. Siedzi teraz przy ruletce i obstawia tak, jakby słońce już nigdy nie miało wzejść.

- Ale czy jest obstawiony? - zapytał z niepokojem Baker.

- Po obu bokach i z tyłu ma moich ludzi. Nikt go nie sięgnie.

- To mnie jednak nie uspokaja. Nam się też wydawało, że Adams jest bezpieczny, i wiesz, co się stało.

- Skoro tak się martwisz, George - powiedział Jordan - to dlaczego faceta po prostu nie zamkniemy? Moglibyśmy go w ten sposób trzymać w zupełnej izolacji.

- Przecież znasz umowę - orzekł Baker. - Gdybyśmy tak zrobili, obrona dowiedziałaby się, kto jest świadkiem, zanim by stanął przed sądem. A jeśli się dowiedzą, świadek nie będzie mówił. I w tym cała rzecz.

- Matteo musi się teraz śmiać do rozpuku - powiedział Jordan.

- Przestanie, jak się znów spotkamy w sądzie - zapewnił Baker.

- Mój chłopak stawia dwadzieścia do jednego, że nigdy się nie znajdzie na sali sądowej - powiedział Jordan.

W głosie Bakera zabrzmiało niedowierzenie.

- A więc on jest rzeczywiście przekonany, że zostanie zabity? I mimo to idzie do kasyna?

- Tak - odparł krótko Jordan. - Powiada, że nikt nie

jest w stanie temu zaradzić, więc, póki czas, chce sobie użyć, ile się da.

Baker odłożył słuchawkę i ponownie sięgnął po kawę. Jednego nigdy nie potrafił w nich zrozumieć. Choć to byli sami sutenerzy, tchórze i mordercy, to jednak wszystkich ich charakteryzował jednakowy, fatalistyczny stosunek do życia. Albo do śmierci... Baker nie był w stanie tego rozstrzygnąć.

Krętacz siedział przy ruletce ze wzrokiem utkwionym w kole, które się właśnie zatrzymało, a kulka wskoczyła na czerwoną dwudziestkę. Po raz kolejny zapisał coś na świstku papieru. Szybko podsumował kolumny cyfr. Nie mylił się. Dzisiejszej nocy koło zmierzało ku czarnym. Pora na jego ruch. Pchnął niewielki stosik żetonów na czarne pole.

Usłyszał za sobą Jordana, lecz nie odwrócił się. Stojący z tyłu ochroniarz zapytał szefa.

- Ted, możesz mnie na chwilę zluzować? Potrzebuję skoczyć do kibla, bo pęknę.

Krętacz nie dosłyszał odpowiedzi. Kulka wskoczyła na czerwone. Sięgnął po kolejną kupkę żetonów i pchnął ją na czarne.

Cesare odwrócił głowę i patrzył na Krętacza, podczas gdy Barbara całą uwagę skupiła na kole.

Instrukcje Mattea były bardzo precyzyjne. Cesare już od trzech dni obserwował Krętacza.

Był bez najmniejszej przerwy otoczony ochroniarzami. Dwaj siedzieli po jego bokach, trzeci stał za krzesłem. Ich

wzrok był pełen czujności. Facet z tyłu opuścił swój posterunek, ale natychmiast zastąpił go inny i od razu zaczął bacznie rozglądać się po sali. Kiedy jego wzrok się przybliżył, Cesare odwrócił się plecami. Wystarczyło mu to, co zdążył zobaczyć. Przy odrobinie szczęścia- Uśmiechnął się do siebie. Było to ulubione wyrażenie wszystkich obecnych na tej sali. Przy odrobinie szczęścia zdoła zakończyć swoje zadanie dziś wieczorem.

Klepnął Barbarę po ramieniu.

- Przyniosę ci drinka - powiedział.

Spojrzała na niego z uśmiechem i pełna przejęcia wróciła do gry. Cesare ruszył w kierunku baru.

Okrzyknął stół Krętacza i obejrzał się. Mógł teraz dojrzeć wyraz koncentracji na twarzy świadka.

Naprzeciwko niego siedziała duża blondyna. Cesare na chwilę zamarł. Dziewczyna pochyliła się do przodu, tak że cienkie ramiączka sukni naprężyły się pod ciężarem jej pełnych piersi. Cesare uśmiechnął się nagle. Już wiedział, jak to zrobi. Wpadł na to dzięki staremu dowcipowi, który musi usłyszeć każdy, kto przybywa do Las Vegas.

Jordan rozejrzał się znużony. Marzył, żeby już było po wszystkim. Kiedy zaraz po ukończeniu szkoły przyszedł do FBI, nafaszerowany propagandową frazeologią, pracę w policji wyobrażał sobie jako ciąg emocjonujących pościgów za zbrodniarzami i szpiegami. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał kiedyś przez trzy miesiące odgrywać rolę przełożonej pielęgniarzek niańczących pośledniego gangstera.

Popatrzył na stół naprzeciwko. Znow siedziała przy nim ta sama elegancka para. Jordan zauważył ją już pierwszego

wieczoru. Oboje wydali mu się znajomi. Tak jakby już ich kiedyś widział. Wrodzona skrupulatność kazała mu ich sprawdzić.

Okazało się, że dziewczyna to Barbara Lang, jedna z najpopularniejszych amerykańskich modelek, reklamująca kosmetyki „Płomień i Dym”. Jej twarz Jordan widywał w tysiącach różnych reklam. A mężczyzna to Cesare Cardinali. Księżę Cardinali. Kierowca wyścigowy z wyższych sfer.

Zauważył, że Cesare powiedział coś do dziewczyny i opuścił ją. Jordan przypomniał sobie okruchy informacji na temat tego człowieka. Był to gość, który żył na wysokich obrotach. To specjalność tych bogatych Europejczyków. Ci mają wszystkich za nic. Gdziekolwiek się znajdą, zawsze są przy piłce. Ten tutaj ma przy sobie jedną z najpiękniejszych dam Ameryki, a zachowuje się, jak gdyby nigdy nic. Jordan jeszcze raz przyjrzał się dziewczynie. Obietnice kryjące się w reklamach znalazły pełne potwierdzenie w rzeczywistości. Niektórzy faceci to mają szczęście.

Cesare wyczekał chwili, kiedy blondyna ponownie usiadła wyprostowana na krześle. Okazując rozdrażnienie, zwróciła się do towarzyszącego jej małego tłuściocha. Ten podał jej kilka banknotów, które wyłuskał z grubego zwitka. Blondyna znów zajęła się grą. Trzymając w lewej ręce drinka, Cesare ruszył w drogę powrotną z baru.

Idąc przejściem za siedzącą do niego tyłem blondynką, zawahał się przez chwilę. Krupier zakręcił kołem i rzucił kulkę. Cesare wykonał błyskawiczny ruch za plecami kobiety i zaczął okręzać jej stół, by dotrzeć do swojego.

Czuł rosnące pulsowanie i ból w skroniach. Tak było za każdym razem. Ból rodził się w głowie, by następnie stopniowo schodzić w dół i wypełniać całe ciało. Cesare od dawna już przywykł do tego uczucia i przestał się nim niepokoić. Był to bowiem ból wywołany napięciem, zagrożeniem, rozwierającą się nagle przed nim otchłanią czasu i piekłem zapomnienia.

Znalazł się teraz tuż za Krętaczem, który siedział z brodą spoczywającą na rękach opartych łokciami na stole. Ochroniarz miał właśnie skierować spojrzenie na Cesarego, gdy rozległ się krzyk.

Policjant gwałtownie okręcił się wokół siebie, a jego ręka śmignęła do olstra pod pachą. Akcja Cesarego była błyskawiczna. Po drugiej stronie stołu blondynka czyniła rozpaczliwe wysiłki, by osłonić biust, przytrzymując opadającą z niej suknię. Nie miała większych szans. Jej kształty były zbyt obfite.

Cesare wypuścił z ręki rękojeść sztyletu i poczuł, że nóż wsuwa mu się z powrotem do rękawa.

Krętacz nadal siedział bez ruchu na swoim miejscu. Podając Barbarze drinka, Cesare zauważył, że ubawiony ochroniarz odwrócił się ponownie.

Blondynka mijała właśnie ich stół, a za nią podążał gruby człowieczek. Usłyszeli jej piskliwy głos.

- Mówię ci, że ramiączka nie pękły same! Ktoś je musiał przeciąć!

- Ależ uspokój się, dzidziu! Wszyscy patrzą! - błagał tłuscioszek.

- Mam to gdzieś! - odwarknęła blondynka, kierując się do wyjścia.

Cesare i Barbara roześmieli się i wrócili do ruletki, obstawiając na nowo.

Jordan spojrział z góry na Krętacza. Ten siedział nieruchomo z brodą wspartą na rękach. Koło zatrzymało się. Czarne. Krupier pchnął stos żetonów i dołączył je do poprzednich. Krętacz ani drgnął. Koło ponownie poszło w ruch. Jordan popatrzył na jednego z ochroniarzy. Ten wzruszył ramionami.

- Proszę obstawiać, panie i panowie - monotonnym cichym głosem zachęcał krupier. Gdy kilka osób to uczyniło, wrzucił kulkę w wirujące koło. Przed Krętaczem rósł stos żetonów. Znow wypadły czarne, a on nadal siedział bez ruchu.

Ból owładnął teraz jego klatką piersiową, utrudniając mu oddychanie. Spojrział na siedzącą Barbarę.

- To nie jest dobry pomysł na spędzenie naszego ostatniego wieczoru w Las Vegas - powiedział. - W tak zatłoczonym miejscu i z gromadą tych głupców.

Podniosła na niego wzrok. Kąciki jej ust zadrżały w nikłym uśmiechu.

- A co byś sugerował? - zapytała. Cesare z trudem zdobył się na uśmiech.

- Po prostu jakieś całkowite sam na sam.

Jej oczy zalśniły rodzącym się podnieceniem. Poczute, że od Cesarego emanuje elektryzujący fluid.

Nie mogła jednak sobie odmówić odrobiny przekory.

- To dzięki tej blondynie. Żaden mężczyzna by tego nie wytrzymał.

- Mylisz się - odparł szybko i wyciągnął do niej rękę. Jego dłoń była gorąca i wilgotna, jakby trawiona gorączką. Spojrzała na niego odruchowo.

- Nic ci nie jest?

- Czuję się świetnie - odrzekł. - Po prostu mam już tego powyżej uszu. Tych wszystkich ludzi, którzy myślą wyłącznie o pieniądzach. Chcę być z tobą. Chcę się z tobą kochać.

Poczuła nagłą suchość w ustach i zalewające ją gorąco. Oczami wyobraźni ujrzała jego muskularne, agresywne ciało. Ścisnęła silnie dłoń Cesarego i popatrzyła mu w oczy.

Ujrzała w nich nieobecne jeszcze przed chwilą napięcie.

- Napijemy się zimnego szampana przedtem - powiedział - a ciepłej brandy potem.

Wstała oszołomiona, czując w nogach dziwną słabość. Spróbowała się do niego uśmiechnąć.

- A potem znów zimnego szampana - wyszeptała.

Jordan patrzył na Krętacza. Czarne wygrywały już po raz czwarty. Przed Krętaczem urósł stos żetonów wartości dziewięciu tysięcy dolarów.

- Nie nadużywaj dobrej passy, Jake. - Zaśmiał się i poklepał świadka po ramieniu.

Świadek osunął się groteskowo do przodu, rozrzucając rękami część żetonów i padając twarzą na pozostałe.

Jakaś kobieta krzyknęła. Jordan uniósł głowę Krętacza. Jego oczy były otwarte i pozbawione wyrazu.

Jordan opuścił rękę.

- Pomóżcie mi go stąd zabrać - warknął. Ochroniarze uwijali się. Ujęli fachowo Krętacza i ponieśli go do biura zastępcy dyrektora. Nastąpiła krótka chwila hysterii, ale natychmiast wszystko wróciło do normy.

Spokojne monotonne głosy porządkowych wpływały na graczy kojąco.

- Wszystko w porządku, drodzy państwo. Ten człowiek po prostu zemdłał. Wszystko jest w największym porządku.

Las Vegas to jedna wielka obietnica łatwych pieniędzy i wspaniałego jutra, z chwilą więc, gdy koło znów poszło w ruch, wszyscy sąsiedzi Krętacza przy stole natychmiast o nim zapomnieli.

A właściwie wszyscy oprócz krupiera, który następnego dnia wyleciał z pracy za kradzież pięciu tysięcy dolarów ze stosu żetonów leżących przed Krętaczem.

Odwrócili głowy, by popatrzeć na przechodzących obok ludzi, którzy pośpiesznie transportowali bezwładnego mężczyznę. Barbara podniosła wzrok i spojrzała na Cesarego.

Jego oczy były zimne i połyskliwe, a usta lekko rozchylone w jakimś krzywym uśmiechu. Popatrzył w ślad za tym korowodem, po czym przeniósł spojrzenie na Barbarę. Przeniknął ją dreszcz.

- Czemu patrzysz w ten sposób?

Rysy twarzy Cesarego nagle złagodniały, a na jego ustach pojawił się naturalny uśmiech.

- Pomyślałem sobie właśnie, że oni tu mają wszystko doskonale wyliczone. Możesz stanąć na głowie, a nie wygrasz.

Odetchnął głęboko. Ból dotarł do genitaliów. Z największym trudem stłumił cisnący mu się na usta krzyk.

- Chodź - powiedział. - Nic tu po nas.

Kiedy Baker opuszczał biuro, jego telefon zadzwieczał ponownie. Zawrócił i podniósł słuchawkę. To był Jordan. Głos łamał mu się z emocji.

- Zabili Krętacza!

Baker z wolna opadł na krzesło.

- Zabili? Jak?

- Tak jak Adamsa. Sztyłem! - Głos Jordana niemal zupełnie się załamał. - Przepraszam cię, George. Nie spuszczaaliśmy go z oka. Nie wiem, jak oni to zrobili. Tego wieczoru w kasynie było ponad tysiąc osób.

Baker nagle oprzytomniał.

- Posłuchaj - powiedział. - Zadzwoń do mnie za godzinę. Muszę się połączyć z Miami i sprawdzić, czy z Vanicolą wszystko w porządku.

Nacisnął widełki i ponownie je puścił. Zgłosił się operator.

- Daj mi specjalnego agenta Stanleya w Miami Beach - poprosił.

Wiedzą, kim są świadkowie, pomyślał czekając na połączenie. Wiedzą. Wszystkie przygotowania, cały wysiłek, by utrzymać tajemnicę - diabli wzięli.

Rozdział 7

W pograżonym w ciszy pokoju słycać było jedynie delikatny oddech śpiącej Barbary. Cesare gapił się w sufit szeroko otwartymi oczami. Było to tak dawno, że niemal już tego nie pamiętał.

Wojna. Nic później nie mogło dorównać związanym z nią przeżyciom. Wszystko było tylko marnym substytutem. Substytutem śmierci; wielkiego zagrożenia, wspaniałego napięcia, poczucia mocy, które przenika całe twoje ciało uświadamiając ci, że drzemiąca w tobie śmiertcionośna siła chce się wydrzeć na zewnątrz, pchając cię coraz bardziej ku przeznaczeniu.

Uśmiechnął się leniwie w mroku, smakując ogarniające go uczucie błogości. Sięgnął do nocnego stolika po papierosy, ale paczka była już pusta.

Wysunął się bezszelestnie z łóżka, przeszedł przez pokój do serwantki i wyjął papierosa z leżącego tam pudełka. Zapalił. Przez drzwi tarasu przenikały pierwsze sine smugi rodzącego się na horyzoncie brzasku.

- Cesare - przywołała go z łóżka Barbara.

Odwrócił się w stronę dziewczyny ukrytej w ciemnościach.

- Słucham?
- Otwórz drugiego szampana - poprosiła schrypniętym od snu głosem.
- Już to zrobiliśmy - odparł.
- Ale mnie się ciągle chce pić - powiedziała kapryśnie jak mała dziewczynka.

Cesare uśmiechnął się niemal bezgłośnie.

- Jesteś kobietą nienasyconą.

Dobiegł go szelest prześcieradeł. Barbara usiadła na łóżku.

- Cóż mogę na to poradzić, że wciąż czuję pragnienie? Zaśmiał się ponownie.
- Myślę, że nic - odpowiedział i wyszedł na taras. Była jeszcze noc, a z daleka dobiegało granie świerszczy

i słaby, suchy poświst pustynnego wiatru. Granatowy nieboskłon zaczynał się rozjaśniać, ustępując przed napierającym świtem. Cesare oparł się o balustradę i patrzył w kierunku pustyni.

Wyszła za nim na taras. Nie odwrócił się. Podeszła bliżej i oplótła go z tyłu rękami, przytulając głowę do jego nagich pleców.

- Wkrótce będzie ranek - zauważyła.
- Tak - potwierdził.

Przywarła ustami do jego ramienia.

- Masz tak gładką, nieskazitelną i delikatną skórę. Zastanawiam się czasem, skąd się w tobie bierze ta niepohamowana, gwałtowna siła. Nigdy nie przypuszczałam, że mężczyzna może wyglądać tak jak ty. Roześmiał się i odwrócił ku niej.
- To pewnie z tego wina, które piłem jako chłopiec. Podobno sycylijskie wina korzystnie wpływają na krew i skórę.

Spojrzała mu w oczy. Było w nim coś, czego nigdy nie potrafiła zrozumieć.

- Dlaczego zawsze, kiedy się Kochamy, mówisz, że umierasz? - zapytała w zadumie. - To dziwne słowa w takim momencie.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Bo tak właśnie ten moment nazywają Włosi: małą śmiercią.

- Dlaczego? - zapytała. - Po co mówić o umieraniu, jeśli akurat wszystko się w tobie gwałtownie otwiera i rodzi?

Uśmiech zniknął z twarzy Cesarego.

- A czyż to nie jest umieranie? Czy każde narodziny nie są początkiem śmierci? Czy świadomość tego nie jest dla ciebie bolesna?

Potrząsnęła przecząco głową. - - Nie. Ja odczuwam tylko wzmagającą się rozkosz. Może właśnie tym się różnimy. Może właśnie dlatego nawet w chwili najbardziej intymnego zbliżenia jakaś część ciebie przebywa w dalekim, obcym dla mnie świecie?

- To niemądre - rzekł Cesare.

- Nieprawda - odparowała szybko. - Na przykład twój wzrok, kiedy przynosili obok nas tego człowieka. Chwilę wcześniej patrzyłeś na mnie tak, że czułam ciebie w moim wnętrzu, tam na sali, w obecności tych wszystkich ludzi. A zaraz potem, gdy nas mijali tamci ludzie, stałeś się nieobecny. On już nie żył, prawda?

Spojrzał na nią z góry.

- Z czego to wnioskujesz?

- On był martwy - szepnęła. - Poznałam to po twojej minie. Wiedziałeś o tym. Tylko ty jeden.

- Co ty za głupstwa wygadujesz? - rzekł lekceważąco. - Jak mógłbym o tym wiedzieć?

Potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia. Ale taką samą minę miałeś po wyjściu z tamtego gmachu w dniu naszego wyjazdu. Później w samolocie przeczytaliśmy w gazetach o człowieku zamordowanym w sądzie za najbliższym rogiem.

Złożyła mu głowę na piersi, tak że nie dostrzegła tężejących rysów jego twarzy.

- Nie muszę czytać porannych gazet, żeby się dowiedzieć o śmierci tego człowieka na dole. Po prostu to czuję. Ciekawa jestem, jak będzie w Miami?

Zastanawiał się, czy Brabara wyczuwa wzmożone bicie serca w jego nagim ciele. Z trudem nadał swym słowom beztroskie brzmienie.

- No, cóż. Tak jak zawsze: słonecznie i ciepło.

- Nie to miałam na myśli, kochany. Chodzi mi o to, czy i tam ktoś umrze - powiedziała.

Przysłaniająca mu oczy mgła zniknęła i Barbara mogła zanurzyć się w ich otchłani.

- Ludzie umierają codziennie i wszędzie - powiedział. Poczuli się niemal jak w hipnotycznym transie.

- Nie jesteś przecież Aniołem Śmierci, prawda, kochany?

Zaśmiał się gwałtownie, a jego oczy ponownie zasnuł woal mgły.

- No, teraz to już jest czyste szaleństwo.

- Ani trochę - powiedziała z wolna. - Czytałam kiedyś historię o dziewczynie, która się zakochała w Aniele Śmierci.

Ujął jej dłoń i przycisnął sobie mocno do piersi.

- i co się z nią stało? - zapytał.

Czuł na sobie jej usta - wodziła nimi po jego obnażonym torsie.

- Umarła. Z chwilą, kiedy się dowiedziała, kim on jest, musiał ją ze sobą zabrać. - Spojrzała na niego w nagłym odruchu. - Czy zabierzesz mnie ze sobą, Cesare?

Uchwycił ręką długie, spływające na ramiona włosy dziewczyny i odciągnął jej głowę do tyłu, tak że jej twarz zwróciła się w górę ku niemu.

- Tak, zabiorę cię ze sobą - powiedział i brutalnie przycisnął usta do jej warg. .

Usłyszał ciężki oddech Barbary spowodowany bólem, kiedy drugą dłoń zacisnął na jej piersi.

Odchyliła się gwałtownie i zawołała.

- Cesare! Sprawiasz mi ból!

Przycisnął twarz Barbary do swej nagiej piersi, wykonując jej głową powolne i coraz szersze okrężne ruchy. Jednocześnie nie przestawał ugniatać piersi dziewczyny. Usłyszał jej omdlały jęk i poczuł w sobie narastający strumień. Okręgi, po których poruszał głową Barbary, stały się jeszcze szersze, jej zawodzenie przeszło w monotony skowyt, aż wreszcie dziewczyna osunęła się na kolana.

Jego rosnąca brutalność wyzwoliła z niej rozpaczliwy krzyk.

- Cesare, przestań, proszę cię, przestań! To boli! Nie mogę znieść tego bólu!

Uśmiechnął się. Czuł wypełniającą go teraz moc. Czuł życie. Czuł śmierć. Jego głos zdawał się dochodzić gdzieś z oddali.

- Najwyższy już czas, moja droga, żebyś zrozumiała, jak niewypowiedzianej rozkoszy może dostarczyć ból.

- Nie, Cesare, nie! - Jej ciałem zaczęło wstrząsać nie kontrolowane drżenie. - Już dłużej nie wytrzymam! Umieram!

Spojrzał na nią z góry i nagle ją puścił. Barbara omal nie upadła na ziemię. Przytrzymała się jego bioder i przywarła do niego twarzą, łkając.

- Kocham cię, Cesare, kocham cię!

Rozdział 8

Miami Beach jest miastem słońca wybudowanym na sterylnej czystym skrawku piasku biegnącym wzdłuż wybrzeża Florydy. Każdego roku dzięki sztucznemu zastrzykowi kapitału powstaje tam nowy hotel. W tym sezonie jest nim „StTropez”.

Usytuowany w pobliżu „Fontainbleau” i „Eden Roc” - „StTropez” strzela w ocean nieba swymi jedenastoma piętrami o architekturze będącej mglistą picassowską reminiscencją pałacu w Monte Carlo. Mieszkańcy Florydy, dla których miernikiem piękna jest wysokość ceny pokoju w sezonie, uważają ten hotel za najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek wybudowano. Doba hotelowa kosztuje tam osiemdziesiąt dolarów.

Do hotelu należy otwarta na ocean, dziesięciometrowej szerokości plaża, z której bez względu na porę roku korzystają wyłącznie turyści. W „StTropez” znajduje się również basen w kształcie listka koniczyny, okrzyknięty największym tego rodzaju obiektem na świecie. Basen otoczony jest ściśle czterema rzędami kabin plażowych, ustawionych na cofających się w górę stopniach, dzięki czemu te budki nie zasłaniają słońca, a całość przywodzi na myśl widownię okalającą piłkarskie boisko.

Wszystkie

kabiny mają indywidualne łazienki, własne telefony, stoliki do kart krzesła i niewielkie lodówki. Około trzeciej po południu w każdym takim przybytku rozgrywki w remika były w pełnym toku - gracze, ubrani w szorty i kostiumy kąpielowe, bezpieczni od słońca, marnotrawili czas w monotonnej rutynie dnia. Wokół basenu rozlokowali się na drewnianych leżakach miłośnicy słonecznej kąpieli; ich ciała lśniły od kremów i olejków, a oni sami starali się maksymalnie wykorzystać wszystko to, co opłacili zawartością swych pękatych portfeli.

Sam Vanicola stał przy oknie apartamentu „StTropez” i patrzył z góry na basen. Był okazałym mężczyzną. Już jako pośledni chłopak na posyłki u Lepkego w Brooklynie wyróżniał się posturą - ważył wówczas ponad dziewięćdziesiąt kilogramów; teraz doszedł do stu dziesięciu przy ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Parsknął z oburzeniem i cofnął się do pokoju, w którym trzech mężczyzn grało w karty. Spojrzał na nich z góry.

- To jedna wielka zaf ajdana bzdura - oznajmił. Agent specjalny Stanley podniósł na niego wzrok.

- Mamy swoje rozkazy, Sam - rzekł łagodnie.

- Rpkazy, zakazy! - prychnął Vanicola. - Posłuchaj no. One znaczyły tyle co nic, kiedy policja trzymała Abe Relesa pod kluczem w pokoju w „Half Moon” w Brooklynie. I tak go dopadli.

Stanley znów się uśmiechnął.

- Skąd ty to wiesz, Sam? On wyskoczył przez okno; podobno popełnił samobójstwo.

- Koń by się uśmieł! - odparł Vanicola. - Znałem Relesa Tego chłopaka wypchnięto. Sam nigdy by nie wyskoczył.

- Poza tym - upierał się Stanley - to było dwadzieścia lat temu. Teraz już nie jest tak jak kiedyś.

Vanicola roześmiał się.

- A jakże - rzekł szyderczo. - Dinky Adams dostaje nożem w drodze do sądu, Jake Krętacz w sali, gdzie jest tysiąc osób, a ty mi opowiadasz, że teraz jest inaczej.

Stanley zamilkł. Wymienił spojrzenia z pozostałymi agentami, którzy także milczeli.

Vanicola wyjął z kieszeni cygaro, przemierzył pokój i usiadł na kanapie. Odgryzł koniec i wypluł go na dywan. Zapalił, oparł się wygodnie i obserwował agentów. Jego głos zabrzmiał teraz mniej szorstko.

- Posłuchajcie, chłopcy. Ja też płacę podatki. Rząd codziennie wydaje dwie stówy z moich uczciwie zarobionych pieniędzy, żeby mnie trzymać w spelunie takiej jak ta. Po co wydają tyle szmalu, jeżeli nie można z tego skorzystać?

Stanley wstał z krzesła.

- Wolałbyś siedzieć w pierdlu? - zapytał. Vanicola wlepił w niego wzrok.

- Nie rozśmieszaj mnie, Stanley. Ty się zgodzisz, a ja milczę jak grób. Nie będę już miał wiele okazji.

- Co się z tobą dzieje, Sam? - wykrzyknął Stanley w przypiływie zniechęcenia. - Masz coś przeciwko temu, żeby pozostać wśród żywych?

Vanicola nagle spoważniał.

- Tak jak ja to widzę, to jestem trupem, od kiedyście mnie zwinęli. Jakbym nie sypnął, dupnęlibyście mnie za mordestwo, a ponieważ śpiewam - dla chłopców to tylko sprawa czasu, żeby mnie dorwać.

Teraz mój czas ucieka coraz szybciej. Weź i zadzwoń do szefa. Powiedz mu, że mam chętkę spędzić ze dwie godziny na basenie po południu. Będę robił wszystko, co mi każecie.

Stanley podszedł do okna i spojrzał w dół w stronę

basenu. Było tam tyle ludzi co zawyczaj. Z kanapy dobiegł go głos Vanicoli.

- Nikt mnie tam nie dopadnie. Obstawcie wszystkie wejścia. Są tylko dwa.

Stanley odwrócił się, wyszedł do sąsiedniego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Vanicola patrzył na dwóch agentów siedzących przy stole do kart. Powrócili do przerwane go remika. Vanicola w milczeniu pykał ze swego cygara.

Stanley wrócił po kilku minutach. Przeszedł przez pokój i stanął naprzeciwko Vanicoli.

- W porządku, Sam. Dostaniesz to, czego chcesz. Ale pamiętaj, jeśli zobaczysz coś, co my przeoczmy, albo jeśli kogoś rozpoznasz, masz nam natychmiast dać znać. Nie chcemy, żeby ci się cokolwiek przytrafiło.

Vanicola wstał i podszedł do okna. Popatrzył w dół.

- Jasne, jasne - zgodził się skwapliwie. - Nie śpieszno mi do piachu.

Stanley wrócił do grających i usiadł. Vanicola popatrzył na nich i uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było rozbawienia

- Przynajmniej jednego będę pewien - powiedział Jeden z agentów rzucił na niego okiem.

- Co takiego, Sam?

- Że się ładnie opalę - odparł. - Nikt, kto mnie będzie ubierał do trumny, nie zgadnie, gdzie spędziłem zimę.

Barbara stała właśnie na balkonie, patrząc na ocean, kiedy z wnętrza pokoju dobiegł ją dźwięk telefonu. Weszła do środka i podniosła słuchawkę.

- Nowy Jork prosi księcia Cardinali - oznajmił telefonista.

Zakryła dłonią słuchawkę.

- To do ciebie, Cesare - zawołała w kierunku sypialni. Wszedł do pokoju. Głęboka opalenizna, której już

w ciągu tych kilku dni zdążył nabyć, kontrastowała z białymi kąpielówkami. Odebrał od Barbary słuchawkę.

- Słucham, Cardinali.

W telefonie zatrzeszczał głos telefonisty.

- W porządku - powiedział Cardinali. - Proszę mnie z nią połączyć. - Zerknął na Barbarę. - To panna Martin, moja sekretarka.

Barbara skinęła głową i znów wyszła na balkon. Dolatywały tam do niej strzepy prowadzonej przez niego rozmowy. Chodziło o jakiś samochód, który znajdował się w Palm Beach. Po kilku minutach Cardinali odłożył słuchawkę. Nie wyszedł do niej na balkon. Kiedy się odwróciła, siedział przy biurku i zapisywał coś w brulionie. Weszła do pokoju.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Wybacz"- powiedział. - Interesy.

Przyglądając mu się, z wolna pokiwała głową. Był to ostatni dzień ich wspólnych tygodniowych wakacji.

- Chciałabym, żeby to był dopiero początek tego tygodnia - powiedziała.

- Ja także - odparł.

- Cierpnę na myśl, że jutro znajdziemy się z powrotem w zimnym i ponurym Nowym Jorku, gdzie na taką pogodę trzeba będzie czekać aż do lata. Chciałabym, żebyśmy tu mogli zostać na zawsze.

Uśmiechnął się.

- W tym cały kłopot, że wakacje muszą się kończyć.

- Również nasze? - zapytała, choć nie chodziło jej bynajmniej o wakacje.

Zrozumiał, co miała na myśli.

- Tak, również nasze - odparł spokojnie. - Mnie wzywają interesy, a ty masz swoją pracę.

Zrobiło się jej trochę smutno. Zrozumiała, że była naiwna godząc się na ten wspólny tydzień. To, co między nimi zaszło, nie wykroczyło poza ramy wakacyjnej przygody.

- Czy jest ktoś, kto cię naprawdę poznał, Cesare? W jego oczach zaigrało zdziwienie.

- To zabawne pytanie - odparł.

Ogarnęła ją nagła ochota, by go dotknąć, by mu uzmysłowić własne istnienie. Odstąpiła od niego, tak by się znalazł poza zasięgiem jej ramion.

- To wcale nie jest zabawne - rzekła. - Większość ludzi uważa cię za playboya, ale ja wiem, że to nieprawda.

Cesare obszedł dookoła biurko i zbliżył się do niej.

- Mam wiele szczęścia. Moje interesy zyskują na tym, że robię to, co lubię robić.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Czy na tym właśnie polega rola takich dziewczyn jak ja? Że budują twoją reputację podobnie jak szybkie samochody? A wszystko dlatego, że to korzystnie wpływa na twoje interesy?

Ujął ją za rękę.

- Nie ma więcej takich dziewczyn jak ty.

- Doprawdy? - zapytała, czując rosnący i niepohamowany gniew. - A na przykład ta baronessa? De Broncescu czy jakoś tak? Przed miesiącem gazety trąbiły o tym, jak ją ścigałeś po całej Europie.

- Ileana? - Parsknął śmiechem. - Znam ją od dziecka. Nasze rodziny żyją w przyjaźni od niepamiętnych czasów. Poza tym ona się teraz nie liczy. Siedzi w Kalifornii

z jakimś bogatym Teksaszczykiem. Ona ma szczególny apetyt na dzianych południowców. Spuściła wzrok.

- Przepraszam - powiedziała. Ujął ją pod brodę.

- Mam pomysł - rzekł. - Moje biuro chce, żebym obejrzał pewien samochód, który parkuje w Palm Beach. Zamiast lecieć jutro do Nowego Jorku, odbierzemy ten wóz i wrócimy nim do domu. Mam już powyżej uszu samolotów, no i w ten sposób przedłużymy nasze wakacje.

Na jej twarzy zaczął rozkwitać uśmiech. Może myliła się w jego ocenie. Może to nie tylko zwykłe wakacje.

- To będzie cudowne!

Spojrzał na zegarek.

- Już prawie trzecia - zauważył. - Pora na ostatnią kąpiel. Obiad możemy zjeść w Palm Beach, a w Jacksonville będziemy nad ranem.

Vanicola wyszedł z kabinowej łazienki. Miał na sobie kąpielówki w żywy hawajski deseń. Przystanął w cieniu kabiny i popatrzył na tych z FBI.

- No to mogę teraz złapać swój przydział słońca? Agenci wymienili spojrzenia, a Stanley odwrócił się i sprawdził swych ludzi przy wyjściach. Kiwnęli mu z daleka głowami. Wstał.

- Myślę, że wszystko gra - powiedział bez entuzjazmu. Dwaj pozostali agenci podnieśli się z krzeseł.

Vanicola

ruszył w kierunku basenu, lawirując ostrożnie między plażowiczami porozciąganyymi na leżakach. Agenci asystowali mu, gdy brał ze stojaka gumową tratwę i rzucił ją na wodę. Następnie Vanicola zszedł po schodkach do

basenu i nie bez trudu ułożył się na tym chybotliwym obiekcie.

Stanley uważnie przyglądał się otaczającym ich ludziom. Młodszy z agentów spojrział na niego.

- Widzi pan coś, szefie? Stanley potrząsnął głową.

- Nie, chyba jest całkiem bezpiecznie. Oni wszyscy są tak skąpo ubrani, że nie mają gdzie ukryć jakiegokolwiek broni.

Młodzieniec uśmiechnął się, popatrując w kierunku grupki dziewcząt leżących nad brzegiem basenu.

- A niektóre laleczki nie mają nawet czym przykryć swojej własnej broni.

Stanleyowi było nie do śmiechu. W tej chwili nic go nie bawiło. Vanicola, leżąc na plecach, odezwał się ze swej tratwy:

- Mówiłem wam, chłopaki, że nie ma się czym martwić. - Okrasił to uśmiechem. - Przychodzimy tu już trzeci dzień i nic się nie stało. Powiedzcie mi, jak minie dziesięć minut. Przewrócę się wtedy na brzuch. Nie chcę się tu usmażyć.

- W porządku - odpowiedział Stanley. Usiadł na krześle nad skrajem basenu. Byłby szczęśliwy, gdyby się to już wszystko wreszcie skończyło.

Vanicola oddryfował. Agenci leniwie obserwowali kąpiących się i ten widok stopniowo ich uspokajał. Cesare widział ich z przeciwległej strony basenu. Zerknął na Barbarę. Leżała na brzuchu, plecami do słońca; oczy miała zamknięte. Cardinali czuł, jak serce zaczyna mu łomotać. Jeszcze raz spojrział na drugi brzeg.

Vanicola dryfował w kierunku środka koniczynki, gdzie dokazywała grupka dzieciaków. Ich głosy dobiegały do brzegu. Cesare odruchowo sięgnął do talii i wyczuł tam sztylet spoczywający w ukrytej w kąpielówkach pochwie. Szybko cofnął rękę.

Jeden z ochroniarzy znów wstał i zagadał do Vanicoli. Ten usiadł niezgrabnie, omal nie spadając do wody, po czym położył się na brzuchu. Ochroniarz wrócił na swoje miejsce.

Cesare rzucił okiem na Barbarę. Wciąż leżała bez ruchu. Podniósł się szybko, wziął głęboki wdech i zanurkował. Zszedł na dużą głębokość, wyężając wzrok, kiedy płynął ku środkowi basenu.

Na odgłos rozpryskującej się wody Barbara usiadła i zawołała

- Cesare!

Ale było już za późno; został po nim tylko ślad w postaci pęcherzyków powietrza na wodzie. Barbara zmrużyła oczy i uśmiechnęła się. Jest w nim coś z małego chłopca Oto od trzech dn^ćwiczy przepływanie pod wodą w poprzek basenu i z powrotem. Spojrzała na zegar wiszący na ścianie kabiny. Za dwadzieścia czwarta. Zaczęła zbierać rzeczy. Robiło się późno, więc wkrótce trzeba będzie ruszać.

Właśnie kończyła się malować, kiedy nad krawędzią basenu pojawiła się głowa Cesarego. Otwarte usta wykrzywił mu dziwny grymas, gdy pełną piersią chwycił powietrze. Spoglądał na nią jak z wielkiego oddalenia

- Udało ci się tym razem? - zapytała z uśmiechem.

- Tak - odparł, podciągając się na brzeg basenu.

- Cesare! - zawołała wstrząśnięta.

W jego oczach zamigotał strach. Sprawdził ręką sztylet.

Był z powrotem na swoim miejscu - w pochwie. Popatrzył na Barbarę, a potem, podążając za jej wzrokiem, spojrział w dół na swoje ciało. Pochwycił rzucony przez nią szlafrok i owinał się nim. Śmiała się, kiedy ruszył w jej kierunku.

- U ciebie, Cesare, jak u małego chłopczyka Każde podniecenie natychmiast jest widoczne - droczyła się z nim.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu bez śladu zażenowania. Podał jej rękę i podciągnął ją stawiając na nogi.

- Nie mówiłem ci, że Sycylijczycy to jaskiniowcy? - spytał wesoło.

Chwyciła plażową torbę i ruszyli do hotelu wciąż zanosząc się śmiechem.

W kabinie zadzwieczał telefon, zmuszając Stanleya do wstania.

- Mieście na niego oko, ja pójdę odebrać - polecił pozostałym agentom.

Kiwnęli głowami, a on wszedł do kabiny. Młodszy z jego ludzi rozejrzał się wokół i powiedział:

- Chciałbym tu kiedyś wrócić, jak będę miał wolne. Drugi uśmiechnął się szeroko.

- Nie stać by cię było. Tu wszystko jest diabelnie drogie. Wrócił Stanley. Po raz pierwszy od kilku dni na jego

twarzy pojawił się uśmiech.

- No dobra - powiedział do nich. - Zabieramy go stąd. Dziś wieczorem jedziemy do Nowego Jorku.

Agenci wstali i zwrócili się w kierunku basenu. Stanley zawołał w stronę tratwy.

- W porządku, Sam. Wracaj do nas. Twoje dziesięć minut już minęło.

Ale dla Sama upłynęło coś więcej niż dziesięć minut Sam Vanicola leżał martwy na tonącej z wolna tratwie, z twarzą przywartą do osłony z pleksiglasu i wpatrzoną w wodę. Z jego pamięci uleciał już nawet ostatni widziany przez niego obraz, którym był widok uśmiechniętej twarzy Cesarego, zbliżającej się ku niemu z dna basenu tuż przed tym, jak poczuł rozsadzający mu serce niewyobrażalny ból.

Rozdział 9

Główna arteria słonecznej Florydy biegnie na północ z Miami Beach do Fort Pierce, mija bagna i mokradła, a także niezliczone cytrusowe gaje rozrzucone wzdłuż wybrzeża Atlantyku. Wczesną zimą często się zdarza, że z nagle oziębionych wód oceanu wypełza mgła i - zmieszana z dymem wytwarzanym w olejowych piecykach dla odstraszania komarów - tworzy gęsty tuman, który przywiera do szosy niczym puchowa kołdra.

Kabriolet-limuzyna Ghia grała swym potężnym silnikiem, kiedy Barbara włączyła radio. Samochód wypełniła muzyka, a dziewczyna za kierownicą wyteżała wzrok, podczas gdy światła wozu przebijały się przez gęstniejące opary.

- Nadchodzi mgła - powiedziała. Cesare przytaknął.

- Chcesz, żebym zasunął dach? - zapytał.

- Na razie nie - odparła. - Tak jest mi dobrze.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, kiedy muzykę przerwał głos spikera.

- Jest godzina dwudziesta trzecia. Podajemy wiadomości z Miami:

W związku z zamordowaniem dziś po południu Sama Vanicoli na basenie hotelu „StTropez” w Miami Beach czynniki rządowe oznajmiły wieczorem w Nowym Jorku, że proces czterech domniemych przywódców Syndykatu został ostatecznie udaremniony. Ujawniono również, że we wszystkich przypadkach narzędziem zabójstwa był sztylet. Jest to broń mścicieli stosowana we Włoszech jeszcze w czasach Borgiów. Sztylet był wówczas wielce faworyzowany przez zabójców ze względu na swój szczególnie kształt, dzięki któremu po wyciągnięciu ostrza z ciała ofiary następuje u niej wewnętrzne krwawienie, podczas gdy sama rana ulega zasklepieniu. Policja i FBI przywiązują do tego faktu ogromne znaczenie i angażują wszystkie znajdujące się w ich dyspozycji środki do odkrycia tropu, który by pozwolił zidentyfikować zabójcę lub zabójców. Tymczasem w Waszyngtonie...

Cesare wyłączył radio.

- Ostatnio nie ma niczego ciekawego w tych wiadomościach - rzekł i zaśmiał się krótko. - Ciągłe tylko zbrodnie i morderstwa. Czy już naprawdę nie mają o czym mówić?

Barbara milczała. Wydawało się, że nie może oderwać spojrzenia od autostrady. Cesare zaśmiał się ponownie.

- Obudź się, śpiąca królewno. Prowadzisz samochód.

- Nie śpię - powiedziała.

- Dobrze wiedzieć. - Uśmiechnął się. - Jestem spokojniejszy.

- Po prostu myślę - powiedziała w zadumie.

- O czym? - zapytał.

- O tym człowieku, który umarł na basenie. Jestem ciekawa, który to był; czy go widziałam i czy on mnie widział.

- Dziwne pomysły - rzekł Cesare. - Dlaczego cię to ciekawi?

Ciągle nie odrywała wzroku od szosy.

- Bo może gdybym miała okazję z nim porozmawiać, zdołałabym go ostrzec. Sama nie wiem.

Zaśmiała się urywanym śmiechem.

- Przed czym mogłabyś go ostrzec? Przecież nie wiedziałaś, co się ma wydarzyć.

Zerknęła na niego. W jej ciemnych oczach odmalowało się zakłopotanie.

- Mogłabym mu powiedzieć o Aniele Śmierci. O tym, jak podąża on za nami od Nowego Jorku, poprzez Nevadę, aż tu, do Miami. - Lekko zadrżała. - Jak myślisz, Cesare, czy on nadal idzie naszym śladem?

- Ależ ty jesteś niemądra - odparł. - Będzie lepiej, jeśli się zatrzymasz i pozwolisz mi usiąść za kierownicą. Te wszystkie bzdury wyprowadzają cię z równowagi.

Bez słowa włączyła prawy kierunkowskaz i zaczęła zwalniać. Zjechała na pobocze i zatrzymała wóz. Odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Tak będzie lepiej - powiedział. - Znam tę drogę. Dalej jest wąski most, a mgła staje się coraz gęstsza.

- Przecież się nie upieram - rzekła. - Prowadź. Tylko bądź ostrożny.

- Będę. - Zaśmiała się, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Zimne wargi dziewczyny przywarły do ust Cesarego.

- Nie dbam o to, czy to ty jesteś tym Aniołem Śmierci - wyszeptała. - Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa jak teraz, kiedy jesteśmy razem.

Cesare nie mógł powstrzymać cisnącego mu się na usta pytania.

- A co byś zrobiła, gdybym nim rzeczywiście był?

Spojrzała na niego badawczo.

- Teraz to ty jesteś niemądry - powiedziała w kortcu. Poczuł jakiś wewnętrzny impuls. A gdyby tak poznała

prawdę, gdyby potrafiła go zrozumieć, może by to wszystko nabrało większego sensu? Dlaczego tylko jemu jest dane odczuwać to w ten właśnie sposób?

- Ostatecznie mogłem być zabójcą - powiedział powoli. - Przecież byliśmy we wszystkich miejscach, gdzie popełniono te morderstwa.

Popatrzyła na niego nieruchomym wzrokiem i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Ale też popełniono i setki innych. Cesare, chwilami wydaje mi się, że jesteś tak samo zwariowany jak ja.

Roześmiał się i wysiadł z samochodu. Obszedł go dookoła, zbliżył się z drugiej strony i spojrzał na nią z góry. Właśnie wyjęła szminkę i zaczęła sobie poprawiać usta.

- Bądź tak miły i zorganizuj mi trochę światła - poprosiła nie patrząc na niego. - Obawiam się, że wyjdzie z tego jakiś bohomaz.

Pstryknął zapalniczkę i z zaciśniętymi mocno wargami, nadal obserwował ją z góry. Podniosła ku niemu wzrok.

- W co się tak wpatrujesz? - zapytała zaciekawiona.

- W ciebie - odparł zwięźle. - Jesteś piękna. Uśmiechnęła się.

- Należy ci się za to pocałunek ekstra, zanim się umaluję.

Przechylił się przez drzwi samochodu i pocałował ją. Usta Barbary były teraz cieplejsze i bardziej ruchliwe.

- Cesare, kocham cię już chyba tak bardzo, że naprawdę jest mi obojętne, czy ty rzeczywiście zabiłeś tych ludzi, czy nie.

Wyprostował się, a ona powróciła do makijażu. Spojrzał na nią. Skóra jej karku białała poniżej skręcających się w loki włosów. Uniósł prawą rękę i ustawił dłort na płask. Nie miał wyboru. Barbara skojarzyła już zbyt wiele faktów. Jedna śmierć pociąga za sobą następną, a morderstwo przypomina koliste fale na wodzie, które rozchodzą się coraz dalej i dalej od ofiary i jej oprawcy. Uderzył dłonią szybkim ruchem, zadając morderczy cios dżudoki.

Szminka wystrzeliła z jej ręki niczym pocisk, trzasnęła w tablicę rozdzielczą i z brzękiem upadła na podłogę samochodu. Cesare patrzył na Barbarę, czując rozdzierający mu serce ból.

Leżała bezwładnie na kierownicy, z ciągle jeszcze zaciśniętą na niej jedną dłonią i z głową nienaturalnie przekrzywioną. To dobrze, że nie widział jej oczu. Rozejrzał się szybko dokoła. Nikt nie nadjeżdżał. Obszedł samochód i usiadł obok niej. Przekręcił kluczyk stacyjki, uruchamiając silnik, który zaskoczył z rykiem.

Rozejrzał się ponownie. Na drodze było pusto. Sięgnął do rękawa i wyciągnął sztylet wraz ze sprężyną, na której był tam umocowany. Szybkim ruchem odrzucił go daleko w ciemność, skąd dobiegło pluśnięcie, gdy nóż wpadł do pokrytego warstwą wody bagna po drugiej stronie drogi.

Włączył bieg i kierując samochodem ze swego miejsca, wyprowadził go na pasmo szosy.

Przycisnął stopą pedał gazu. Do mostu nie było stąd więcej niż półtora kilometra. W jednej chwili samochód osiągnął szybkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Cesare uporczywie wpatrywał się we mgłę. Barbara osunęła się w jego stronę.

Jest most. Ze stłumionym przekleństwem przesunął

dziewczynę z powrotem za kierownicę. Zdjął stopę z pedału gazu i wciągnął pod siebie obie nogi. Trzymał sztywno koło sterowe, naprowadzając samochód prosto na betonową podporę z boku mostu. Wyskoczył w górę wysokim łukiem niemal w chwili zderzenia. Wyrzucony wskutek szybkości do przodu, przekoziółkował niezgrabnie w powietrzu w kierunku wody.

Odgłos uderzenia samochodu w betonowy wspornik dobiegł do niego w chwili, gdy on sam zderzał się z powierzchnią zimnej, czarnej, mrocznej wody. Nabrał powietrza. Pograżał się coraz bardziej; płuca mu pękały, jak gdyby już nigdy nie miał się wynurzyć. Szaleńczo rozgarniał rękami wodę, podczas gdy splątane wodorosty trzymały go na dole. Wreszcie znów ujrzał nad sobą niebo. Popłynął w kierunku brzegu. Ból przenikał teraz całe jego ciało. Kiedy dotknął stopami lądu, osunął się na kolana. Powoli wypełznął z wody i runął jak długi na ziemię. Usta miał pełne mułu, podrapana twarz płonęła.

Ziemia była wilgotna i lepka. Przeszył go jej chłód; wstrząsnęły nim konwulsyjne dreszcze. Zaczął rycć palcami w błocie, przywierając kurczowo do gruntu. Potem zamknął oczy i ogarnęła* go noc. Baker opadł na oparcie krzesła i gapił się w okno. Białe zimowe słońce tworzyło na ścianach budynków wyraziste desenie. Od śmierci Vanicoli minęły już trzy dni, a oni wciąż tkwili w martwym punkcie. Spojrzał na mężczyzn siedzących po przeciwnej stronie biurka. Kapitan Strang z policji nowojorskiej, Jordan z Las Vegas i Stanley z Miami.

Rozłożył na biurku ręce w geście bezradności.

- Oto i cała historia. Nie obwiniam żadnego z was, odpowiedzialność spada wyłącznie na mnie i biorę ją na siebie. Jutro rano w Waszyngtonie mam spotkanie z szefem. Na zapleczu jego biura siedzi senator Bratton i stary żąda bezpośredniego sprawozdania.

- Go mu zamierzasz powiedzieć, George? - zapytał Stanley.

- A co ja mu mogę powiedzieć? - odrzekł retorycznie Baker. - Wiem dokładnie tyle co on. - Wziął do ręki leżącą na biurku kopertę. - To moją dymisja. Jutro ją złożę.

- Poczekaj chwilę - powiedział Jordan. - Szef nie zażądał twojej głowy.

Baker uśmiechnął się kwaśno.

- Daj spokój, Ted. Nie bądź naiwny. Znasz go równie dobrze jak ja. On nie lubi wpadek.

Kiedy zapadło milczenie, Baker nacisnął włącznik stojącego na biurku rzutnika. Aparat ożył i na ścianie pojawił się obraz. Było to zdjęcie tłumu wypełniającego korytarz w budynku sądu.

- Co tam masz ciekawego? - zapytał Jordaa Baker bez entuzjazmu nacisnął guzik.

- Zdjęcia korytarza, które wykonał fotoreporter w chwili, kiedy Dinky Adams szedł do sali rozpraw.

Ponownie przydusił przycisk i na ścianie pojawiła się inna scena.

- Patrzyłem na to już z tysiąc razy. Można by pomyśleć, że z tej masy zrobionych tam fotek da się coś wyłuskać. Ale żadnej z nich nie pstryknięto w chwili, o którą nam chodzi.

Znów dźgnął guzik, zmieniając obraz.

- Zapomniałem, chłopaki, żeście jeszcze tego nie widzieli.

Popatrzył przez chwilę i przesunął kolejną klatkę.

- Poczekaj no chwilę. - W głosie Stanleya zabrzmiało podniecenie. - Możesz cofnąć poprzedni slajd? Baker nacisnął przełącznik. Stanley wstał, podszedł do ściany i spojrzał z bliska na zdjęcie, po czym wskazał palcem na widocznego tam mężczyznę.

- Masz przy swoim aparacie jakiś interes, który by powiększył obraz tego gościa w zielonym kapeluszu?

Baker roześmiał się z niesmakiem. Kolejne pudło.

- Ten kapelusz nie jest zielony. To kolor ściany. Wtrącił się kapitan Strang.

- On był zielony. Pamiętam, że zauważyłem go w tłumie. Baker szybko pokręcił obiektywem. Teraz cały ekran

wypełniała twarz mężczyzny. Widać ją było wprawdzie tylko pod pewnym kątem, ale kapelusz nie budził wątpliwości.

- Widziałem już gdzieś ten kapelusz - powiedział Stanley.

- Wszędzie jest takich pełno - odparł Baker.

- Ale nie takich twarzy jak ta - odezwał się nagle Jordan. - I wiem, do kogo ona należy.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę.

- To jest książę Cardinali - wyjaśnił. - Kierowca wyścigowy. W Las Vegas siedział przy sąsiednim stole. Towarzyszyła mu dziewczyna, która jest modelką we wszystkich reklamach kosmetyków „Płomień i Dym”. Nazywa się Barbara Lang.

Stanley skoczył na równe nogi, krztusząc się niemal z podniecenia.

- Tych dwoje było także w „StTropez”. Tam właśnie widziałem ten kapelusz. Facet miał go na głowie, kiedy stali przy recepcji rezerwując pokój!

Baker patrzył na nich uważnie. Może jeszcze nie wszystko stracone. Podniósł słuchawkę telefonu i powiedział:

- Dajcie mi pełne akta księcia Cardinali. Cokolwiek kiedykolwiek robił, od chwili urodzenia aż do dnia wczorajszego! - Odłożył słuchawkę, patrząc nadal na kolegów.

- Czy macie jakieś pojęcie, gdzie oni mogą się teraz znajdować?

- Ja mam - odezwał się kapitan Strang, wyciągając z kieszeni gazetę, którą rozpostarł na biurku.

Wskazał palcem na górny róg strony.

Baker popatrzył z góry. Nad relacją widniało zdjęcie księcia Cardinali. Tytuł głosik *Sławny sportowiec opuszcza dziś szpital* Krótka notka opowiadała o wypadku na florydzkiej autostradzie, w wyniku którego śmierć poniosła dziewczyna.

Baker podniósł wzrok znad gazety i zagwizdał.

- Jeśli ten facet jest Sztyletem - rzekł z namaszczeniem

- to niełatwo będzie go przyskrzynieć. On nie toleruje istnienia wokół siebie żadnych świadków. Ani własnych, ani cudzych!

Rozdział 10

Baker stał przed salonem samochodowym przy Park Avenue. Poprzez szyby wystawowe lśniły zagraniczne wozy promieniejące absolutnie nieskazitelną nowością. Na szklanej tablicy przy wejściu małe, skromne srebrne wersaliki tworzyły napis: CESARE CARDINALI, IMPORT SAMOCHODÓW.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Wewnątrz kilku klientów oglądało pojazdy, więc poczekał parę minut. Po wyjściu jednego z kupujących do Bakera podszedł sprzedawca.

Był to wysoki siwowłosy mężczyzna ubrany w sportową marynarkę z zatkniętym w butonierkę kwiatkiem.

- Czym mogę panu służyć, sir?

Choć jego pytanie było nacechowane uprzejmością, dało się w nim jednak wyczuć pewien dystans.

Baker uśmiechnął się do siebie, odnotowując różnicę w traktowaniu klienta dzielącą ten salon od sklepu „Wesołego Irlandczyka”, gdzie kupił swój samochód. Potrząsnął lekko głową.

- Chciałbym się zobaczyć z panem Cardinali. Czy jest gdzieś tu w pobliżu? - zapytał.

Na twarzy sprzedawcy pojawił się; wyraz dezaprobaty.

- Pan Cardinali nigdy nie przychodzi do salonu - odparł wyniośle.

- Ach tak? - Baker uśmiechnął się. - Gdzie go więc mogę znaleźć?

- Nie mam pojęcia, proszę pana - odparł sprzedawca. - Niech pan jednak spróbuje w biurze.

- A gdzie się ono mieści? - zapytał uprzejmie Baker. Już od dawna nie irytował się czyimiś Snobistycznymi narowami. Niejeden taki bubek, jeśli odebrać mu jego rekwizyty, okazuje się pustym niczym wydmuszka.

- Na piętnastym piętrze. Może pan wsiąść do windy z korytarza za tymi drzwiami. - Sprzedawca wskazał boczne wyjście.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo - odrzekł sprzedawca, kierując się uprzejmie do kolejnego ewentualnego nabywcy, który właśnie wszedł do salonu.

Baker wyszedł na korytarz i zatrzymał się w oczekiwaniu na windę. Był to jeden z budynków świeżo wzniesionych przy Park Avenue. Wszystko zostało w nich zautomatyzowane, a w windach nawet rozbrzmiewała muzyka. A więc Cardinali rzeczywiście istnieje, pomyślał Baker. Udało się do niego dotrzeć. Co kogoś takiego jak on mogło wiązać z Syndykatem?

Przypomniał sobie zdumioną minę Stranga, kiedy przejrzeni sprawozdanie z danymi na temat Cardinalego.

- Nic tu nie kapuję - powiedział kapitan. - Ten facet ma dosłownie wszystko. Tytuł, pieniądze, wojenne odznaczenie za odwagę, sławę. Przecież to w ogóle nie pasuje do tej ferajny.

To pytanie nurtowało ich wszystkich. Były w tym też

słabe punkty, które niepokoiły Bakera. Niejasna otoczka niezbitych faktów, która sugerowała istnienie czegoś, co było trudne do wytłumaczenia. Na przykład jego wojenna przeszłość. Cardinali potajemnie współpracował z aliantami w okresie poprzedzającym ich lądowanie we Włoszech i za tę działalność otrzymał odznaczenie. A jednak zabił pięciu ludzi uczestniczących w tej misji, mimo że wszyscy pozostali jej członkowie, a było ich razem ponad dwudziestu, uznali, że zaistniała konieczność wyeliminowania tylko czterech łączników. Następnie sprawa jego zamordowanego stryja. Cardinali znajdował się oczywiście daleko od miejsca zbrodni, ale niedługo potem, mimo że po zakończeniu wojny był kompletnie splukany, znalazł się na fali. Szybkie samochody, wyścigi - i w jednej chwili Cardinali stał się członkiem międzynarodowej socjety. Spotykał oczywiście równych sobie, na przykład takiego De Portago, który zginął podczas wyścigu. W zawodach tych brał też udział Cardinali i otrzymał on upomnienie za nie uzasadnioną warunkami niebezpieczną jazdę. Zcierzyło mu się to zresztą nie raz. Dwukrotnie domniemywano, że Cesare ponosił odpowiedzialność za śmierć innych współzawodników. Nie było jednak żadnych przesłanek, które by wskazywały na jego kontakt z przestępczym podziemiem.

Drzwi windy rozsunęły się i Baker wyszedł do łagodnie oświetlonego pomieszczenia recepcyjnego, którego ściany obwieszane były fotografiami słynnych marek samochodów. Recepcjonistka siedziała za małym, stojącym w rogu biurkiem.

- Czym mogę panu służyć? - spytała. Baker uklonił się.
- Chciałbym się zobaczyć z panem Cardinali.

- Czy jest pan umówiony? - zapytała dziewczyna. Baker pokręcił przecząco głową.
- Czy mogę wiedzieć, w jakiej sprawie? - dopytywała się nadal dziewczyna.
- Osobistej - odparł Baker.

Z wyraźną dezaprobatą sięgnęła po słuchawkę.

- Sprawdź, czy księżę Cardinali jest u siebie - powiedziała wyniośle. - Przepraszam, jak pańska godność?

- George Baker.

Stał, czekając, aż dziewczyna skończy szeptać do telefonu. Po chwili spojrzała na niego.

- Niech pan będzie łaskaw usiąść. Za kilka minut przyjdzie porozmawiać z panem panna Martin, sekretarka księcia Cardinali.

Podszedł do wygodnej kanapy i usiadł. Ława przed nim usłana była sportowymi magazynami samochodowymi we wszystkich językach i z wszystkich krajów świata. Od niechcienia wziął do ręki jeden z nich w zamiarze przejrzenia. Podniósł wzrok, kiedy z drzwi wyszła jakaś dziewczyna i stanęła przed nim.

- Jestem panna Martin - powiedziała z uprzejmym uśmiechem - sekretarka księcia Cardinali. Księżę nie spotyka się z osobami uprzednio nie umówionymi. Czym mogę panu służyć?.

Baker podniósł się z wolna, czując na sobie zdziwione spojrzenie recepcjonistki. Sięgnął w milczeniu do kieszeni i wyciągnął legitymację. Podał ją pannie Martin.

Rzuciła okiem na dokument i na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Przykro mi, że niepokoję księcia - rzekł uspokajająco - ale jest kilka spraw, w których mógłby nam służyć pomocą.

Panna Martin zwróciła mu zatopioną w folii małą legitymację; wsunął ją z powrotem do kieszeni.

- Proszę uprzejmie chwilę zaczekać. Zorientuję się, czy będzie to można zorganizować.

Dziewczyna zniknęła za drzwiami, a Baker ponownie usiadł na kanapie. Po kilku minutach sekretarka była z powrotem.

- Zechce pan pójść za mną.

Poszedł jej śladem przez duże, pochłonięte urzędowaniem biuro. Siedziało tam przy pulpitych kilkoro mężczyzn i kobiet. Biuro jak każde inne. Minawszy je, wszedł do następnego. Tu stało tylko jedno biurko. Dziewczyna ominęła je i wprowadziła go w kolejne drzwi. To pomieszczenie należało do księcia Cardinali.

Baker wytrzeszczył oczy na widok umeblowania. Prawdziwe antyki i żyrandole zdobne w ręcznie rzeźbione ornamenty. Nawet sztuczny kominek wykonany był z najlepszego włoskiego marmuru. Nad nim, na gzymsie, stały nagrody i złote puchary, jedyny element komercyjny, przypominający, że jest to pomieszczenie biurowe. Cardinali nie siedział za biurkiem. W pokoju nie było w ogóle tego mebla.

Podniósł się z wygodnego klubowego fotela stojącego przy stoliku z telefonem i blokiem do notowania. Wyciągnął rękę w powitalnym geście. Jego uścisk był mocny.

- Czym mogę panu służyć, panie Baker? - zapytał wskazując fotel naprzeciwko siebie.

Baker poczekał, aż wyjdzie sekretarka, po czym usiadł. Przez chwilę patrzył badawczo na siedzącego przed nim mężczyznę.

Cesare dobrze zniósł tę ciekawość. Z jego ust nie schodził nikły uśmiech, a wyraz twarzy pozostawał nie

zmieniony. Wykazywał co najwyżej uprzejme zainteresowanie celem tej wizyty. To by się również zgadzało, pomyślał Baker. Jeżeli ktoś działa tak jak Sztylet, musi mieć nerwy ze stali. Uśmiechnął się z lekka.

- Pan się uśmiecha? - zapytał Cesare.

Baker przytaknął. Przyszło mu bowiem do głowy, że każdy, kogo tu spotykał, zwracał się do niego utartym frazesem: Czym mogę panu służyć? Nawet sam Cardinali. A bogate doświadczenie podpowiadało Bakerowi, że im większą się okazuje gotowość do pomocy, tym mniej jej się ostatecznie udziela.

- Pomyślałem sobie po prostu, panie Cardinali - powiedział Baker - że pańskie biuro jest bez porównania wygodniejsze niż te wszystkie, w których bywałem dotychczas. Wydaje się niemal zbyt komfortowe, by inspirować do pracy.

Cesare uśmiechnął się.

- To rzeczywiście prawda - przyznał. - Ale mój rodzaj pracy nie wymaga ode mnie zajmowania się mechanizmami biznesu. Dlatego staram się moje biuro w najwyższym stopniu zminimalizować. Główna przyczyna leży w tym, że jestem niezwykle samolubny i usilnie zabiegam o własne wygody. Baker kiwnął głową. Wszystko, co ten człowiek mówi lub robi, jest dokładnie takie, jakie powinno być. Nie ma sensu owijać sprawy w bawełnę. Cardinali może w ten sposób rozmawiać przez cały dzień. Baker wychylił się z fotela do przodu.

- Ufam, że nie odczuwa już pan skutków pańskiego ostatniego wypadku?

Cesare przytaknął.

- Czuję się zupełnie dobrze. Dziękuję.

- To musiało być wstrząsające przeżycie - zasugerował Baker.
 - Coś znacznie więcej - powiedział Cesare z dziwnym przejęciem, tak jakby próbował znaleźć odpowiednie angielskie słowo, aby to opisać. - To było tragiczne. Nigdy nie przestanę obwiniać siebie za to, że do tego dopuściłem.
 - Mógł pan temu zapobiec? - zapytał szybko Baker. Wydało mu się, że uchwycił w oczach gospodarza błysk szyderstwa.
 - Sądzę, że tak - odparł Cardinali. - Nie powinienem był pozwolić, żeby prowadziła. To nie był odpowiedni dla niej samochód.
- W tym momencie Baker zrozumiał, że otrzymał odpowiedź na całą masę pytań. Nie ujawniając bowiem własnych podejrzeń, pragnął spowodować, aby to Cesare wciągnął go w rozmowę bezpośrednio związaną ze śledztwem. I udało się.
- Cieszę się, że już pan z tego wyszedł - rzekł spokojnie Baker. - Czy możemy teraz przejść do rzeczy?
 - Ależ oczywiście. - Cesare skinął głową.
 - Przy okazji tego wypadku - mówił Baker - dowiedzieliśmy się z prasy, że w ciągu ostatniego tygodnia przebywał pan w hotelach „Maharadża” w Las Vegas i „StTropez” w Miami Beach.
 - To prawda - potwierdził Cesare.
 - A także o tym, że w ostatni poniedziałek był pan w gmachu Sądu Federalnego przy Foley Square w Nowym Jorku.
 - Pańscy ludzie są bardzo skrupulatni - rzekł Cesare. - To także prawda.
 - Czy domyśla się pan, dlaczego wspominam o tych wszystkich miejscach? - zapytał Baker.

Cesare zaśmiał się.

- Byłbym głupcem udając, że nie wiem, prawda? - odpowiedział pytaniem Cesare. - Ja także czytam gazety.

- Wie pan zatem o morderstwach popełnionych na świadkach w procesie przestępczego syndykatu? Cesare przytaknął skinieniem głowy.

- Tak, wiem. Nie pojmuję natomiast, w jaki sposób mógłbym panu służyć pomocą w związku z tą sprawą.

Baker popatrzył na niego uważnie.

- Co pan robił tamtego dnia w sądzie? Cesare napotkał jego spojrzenie.

- Pan tego nie wie? - Zaśmiał się krótko. - Poszedłem tam, by odebrać moje dokumenty związane z przyjęciem obywatelstwa.

- Wydział imigracyjny jest na parterze - zauważył Baker. - A pana widziano na korytarzu trzeciego piętra przed salą rozpraw.

Cesare ponownie się roześmiał.

- To również bardzo proste. Otóż toaleta na parterze była zajęta. Dowiedziałem się, że na trzecim piętrze jest inna, więc poszedłem tam schodami. Kiedy zobaczyłem ten tłok, wróciłem tą samą drogą.

- Czy będąc na trzecim piętrze nie zauważył pan niczego niezwykłego? - pytał Baker.

- Wszystko tam było dla mnie niezwykle - odparł Cesare. - Ale jeśli panu chodzi o jakiś konkretny incydent, to nie. Po prostu tłum ludzi, mężczyźni, którzy wysiedli z windy, i w tym wszystkim ja usiłujący przepchać się z powrotem do schodów.

- A dlaczego zatrzymał się pan w tych właśnie, a nie innych hotelach w Vegas i Miami?

Cesare popatrzył na niego.

- No cóż, panie Baker, hotele to kwestia mody. Prowadząc interesy, muszę o tym pamiętać. - Wyjął papierosa ze stojącej przed nim na ławie kasetki. - Bardziej właściwe mogłoby być według mnie pytanie, kto jest odpowiedzialny za trzymanie w tych hotelach świadków.

- Czy kiedykolwiek widział pan któregoś z nich? - zapytał Baker.

Cesare zapalił papierosa i potrząsnął głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Poza tym, gdybym ich nawet widział, nie mógłbym ich rozpoznać. Nie znałem ich wyglądu. - Tu zawahał się przez chwilę. - Niewykluczone, że w Vegas widziałem jednego z nich. Nie jestem pewien, ale kiedy opuszczaliśmy z panną Lang kasyno, obok nas przenoszono jakiegoś mężczyznę.

- To był jeden z tych świadków - wyjaśnił Baker.

- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie Cesare. - To wielka szkoda, że o tym nie wiedziałem. Może bym mu się uważniej przyjrzał.

- Czy nie przychodzi panu na myśl cokolwiek, co mogłoby nam pomóc? Jacyś ludzie, którzy zwrócili pańską uwagę?

Cesare potrząsnął głową.

- Przykro mi, panie Baker - powiedział z żalem. - Niczego takiego sobie nie przypominam. Niech mnie pan zrozumie. Byłem na wakacjach z niezwykle piękną kobietą i nie interesował mnie nikt poza nią. Baker zrozumiał, że doszedł do ściany. Rozmowa dobiegła końca i niczego więcej nie uda mu się już dowiedzieć. A z przyciskania do muru tego faceta nie wyniknie nic dobrego. Z takim jak on to nie przejdzie.

Baker podniósł się z fotela i dostrzegł umieszczone na ścianie za gospodarzem skrzyżowane noże.

- Co to takiego? - zapytał. Cesare nie obejrzał się.
- Sztylety - odpowiedział.
- Baker podszedł do ściany i przyjrzał się im. Były zmatowiałe od patyny.
- Sztylety - powtórzył. - Świadków zamordowano taką właśnie bronią.
- Czytałem i o tym - rzekł nieporuszony Cesare.
- Od jak dawna pan je ma? - zapytał Baker.
- To są odziedziczone pamiątki rodzinne - odparł Cesare. - Mam ich całą kolekcję w moim nowojorskim mieszkaniu, a także w domu we Włoszech. Sztylet był ulubioną bronią Borgiów, którzy występują też wśród moich przodków.
- Rozumiem - rzekł Baker. - Przypuszczam, że jest pan mistrzem we władaniu nimi.
- Cesare podniósł się z uśmiechem.
- Myślę, że tak - odparł. - Ale to już nie te czasy. Trudno jest się dzisiaj w tym specjalizować. Broń, podobnie jak wiele innych rzeczy, również podlega kaprysom mody.
- Podszedł do Bakera i zdjął ze ściany jeden ze sztyletów. Przyjrzał mu się przez chwilę, a potem wręczył agentowi.
- Te małe zabawki, którymi handlujemy na dole w salonie, zabijają miesięcznie więcej ludzi niż wszystkie sztylety, od chwili kiedy powstały jako przeróbka noża florenckiego.
- Baker spojrział na delikatne ostrze i podniósł wzrok na Cesarego. Coś mu nagle zaświtało w głowie.
- Czy pan jest tym samym Cardinalim, który był kiedyś mistrzem Włoch w szermierce?
- Cesare potwierdził.
- To inna historyczna dyscyplina, którą uwielbiam. Czy pan zna fechtunek?

- Kiedyś tak - odparł Baker. - Byłem w reprezentacji szkoły. - Ostrożnie odłożył sztylet na stolik z telefonem.

- Teraz muszę już iść - rzekł. - Dziękuję panu bardzo za współpracę, książę Cardinali.

- Przykro mi, że nie mogłem nic więcej dla pana zrobić

- odrzekł uprzejmie Cesare.

Kiedy panna Martin weszła do biura po wyjściu Bakera, sztylet wciąż jeszcze leżał na stoliku przy telefonie. Spojrzała tam i przeniosła wzrok na Cesarego.

- Czego on chciał? - zapytała z pewną poufałością będącą wynikiem długiej współpracy.

Cesare umieścił sztylet z powrotem na ścianie. Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Wygląda na to, że bardzo nierozważnie wybrałem sobie trasę mojej wakacyjnej podróży - odpowiedział.

Baker usiadł rozparty w fotelu.

- Dowiedziałem się tyle co nic - przyznał. Strang uśmiechnął się.

- A liczyłeś na coś więcej? Baker potrząsnął głową.

- Chyba nie. O jednym się tylko przekonałem. Ten facet to Sztylet. Ja to wiem.

- Wiedzieć a udowodnić to dwie różne rzeczy - zauważył Strang.

Baker pochylił się w stronę biurka i sięgnął po kilka zdjęć przedstawiających rozbity samochód.

Pchnął je w kierunku Stranga.

- Przyjrzyj się temu. Przesłano je z Florydy. Strang popatrzył na fotografie.

- No i co?

- Widzisz, w jaki sposób ta dziewczyna jest wklonowana za kierownicą? Widzisz, że silnik został wepchnięty prawie do samego przedniego siedzenia? No więc jeśli Cardinali twierdzi, że drzemał w chwili wypadku, to gdzie u diabła trzymał nogi? Przecież nie na podłodze pod tablicą rozdzielczą, jak by się tego należało spodziewać, bo nigdy by nie zdołał wydostać się z samochodu. Jego nogi zmiażdżyłby wciśnięty do środka silnik.
- Widziałem już tyle samochodowych wypadków, że według mnie wszystko jest możliwe - odpowiedział Strang.
- Może i tak - przyznał Baker. - Ale jestem gotów postawić ostatniego centa na to, że Cardinali trzymał nogi na siedzeniu do ostatniej chwili przed zderzeniem, kiedy to wyskoczył z samochodu.
- Ale co z dziewczyną? - zastanowił się Strang. - Przecież ona prowadziła.
- Baker spojrzał na niego.
- Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że siedziała za kierownicą.
- Ciagle niczego nie możesz udowodnić - stwierdził Strang.
- W tym momencie nie - odparł Baker. - Ale mam pewien pomysł.
- Chcesz mu przyczepić, ogon? - spytał Strang. Baker potrząsnął głową.
- To by była strata czasu. W kręgach, w których on się obraca, każdy, kogo byśmy za nim posłali, byłby widoczny jak na patelni. Poza tym powstałby zbyt duży swąd. Wiesz dobrze, jaki szef jest ostrożny z tymi wszystkimi tuzami.
- No więc co zamierzasz? - dopytywał się Strang. Baker uśmiechnął się.

- Przede wszystkim należy spowodować przeciek do prasy o tym, że Cardinali został poddany przesłuchaniu. Następnie trzeba znaleźć kogoś na tyle mu bliskiego, żeby się mógł czegoś dowiedzieć i być naszym autentycznym sprzymierzeńcem.
- Kto by to mógł być? - zastanowił się Strang.
- Jakaś dama - odparł Baker. - To przecież niezły kobieciarz. A my mamy na oku kogoś w sam raz do tej roli. Towarzystwo, wyścigowe wozy - te rzeczy.
- Jeśli Sztylet to on, dama może się znaleźć w niebezpieczeństwie - zauważył Strang.
- Ona twierdzi, że sobie z nim poradzi - odrzekł Baker. - Znam jej kartotekę i możesz mi wierzyć, że jeśli nie uda się jej, to nie uda się nikomu.

Rozdział 11

Przyjęcie trwało już w najlepsze, kiedy do znajdującego się na statku saloniku wszedł Cesare. Zatrzymał się przy drzwiach, szukając wzrokiem gospodyni. Dostrzegli się niemal w tej samej chwili. Podeszła z otwartymi ramionami.

- Witaj, Cesare, mój drogi chłopcze - powiedziała, gdy całował jej dłoń. - Tak się cieszę, że mogłeś przyjść.

- Prędzej bym umarł, niż przeoczyłbym pani wyruszenie w morze, madame. - Uśmiechnął się. Jej oczy promieniały uśmiechem pod fryzurą wspaniałych siwych włosów. Zniżyła głos, osiągając ton podobny do tego, który Cesare kilka tygodni temu usłyszał w słuchawce telefonu.

- Ten salonik sąsiaduje z jego kabiną - powiedziała szeptem. - Między łazienkami są drzwi. Za kilka minut powinien już być na pokładzie.

Cesare stał bez słowa, a ona, widząc, że zbliża się jeden z gości, podniosła głos i powiedziała:

- I dziękuję za cudowne kwiaty.

- To dla mnie tylko przyjemność, madame - odpowiedział Cesare.

Obserwował ją, gdy odwróciła się i odeszła do swych gości. Była kiedyś kobietą wielkiej urody, jedną z najświetniejszych piękności międzynarodowej socjety. Dźwięk jej nazwiska wciąż jeszcze kojarzył się ze wspaniałymi balowymi salami i arystokracją. Teraz jednak należała do Don Emilia.

Cesare bardzo wolno przesuwiał się w kierunku łazienki. Kiedy otwierał drzwi, usłyszał śmiech madame. Ile jeszcze istnieje kobiet takich jak ona, które balansują na granicy dwóch światów? A jeśli chodzi o ścisłość, to czy istnieje jeszcze ktoś taki jak on sam?

Wysiadając z taksówki przy moło, Emilio Matteo postawił kołnierz płaszcza, by się osłonić przed chłodnymi podmuchami wiatru od strony rzeki Hudson. Detektywi poszli jego śladem, on jednak przystanął i spoglądał markotnie na statek. Jednemu z nich wręczył w milczeniu banknot dla kierowcy.

- Tędy - powiedział detektyw i ruszył w kierunku moła.

- Znam drogę - rzekł kwaśno Emilio. Weszli na moio, a potem na pomost prowadzący na pokład statku.

Niewysoki steward poprowadził ich korytarzem na pokład pierwszej klasy. Zza różnych drzwi dobiegała wrzawa zabawy, gdyż pożegnalne przyjęcia wchodziły w szczytową fazę. Według rozkładu *Italia* odbijała za godzinę. Steward otworzył jedne z drzwi.

- Tędy, signore - powiedział kłaniając się.

Emilio wszedł do apartamentu, za nim podążyli detektywi. W rogu pomieszczenia usytuowany był niewielki barek.

Pojawił się steward.

- Czy wszystko jest według pana życzenia, signore?

- zwrócił się do Emilia. Emilio wręczył mu banknot

- Tak, doskonale - odparł.

Steward uklonił się ponownie i wyszedł. Detektywi rozejrzeli się dokoła. Starszy z nich rzekł do Emilia:

- Dla mnie bomba, Matteo - ocenił. Emilio uśmiechnął się.

- Tylko to, co najlepsze - powiedział i podszedł do baru. - A co, może uważacie, że powinienem mieszkać w jednej z tych dziadowskich kabin, jaką by mi zafundowano z urzędu?

Detektyw wyszczerzył zęby.

- Myślę, że nie.

Emilio otworzył butelkę, nalał sobie i wychylił.

- Aaaa... To się nazywa whisky. Rozgrzewa, jak należy, po tym wietrze w dokach. - Zwrócił się do detektywów:

- Napijcie się?

Uśmiechając się, popatrzyli jeden na drugiego.

- Nie widzę przeciwwskazań - powiedział starszy podchodząc do baru.

- Obsłużcie się. - Emilio pchnął butelkę w jego kierunku. Zdjął płaszcz i przerzucił go przez fotel. -

Wygląda na to, że się starzeję. Moje nerki nie pracują już tak jak kiedyś. Muszę na chwilę do kibla.

Otworzył drzwi łazienki. Młodszy detektyw znalazł się u jego boku. Emilio cofnął się o krok.

- Starość ma pierwszeństwo - rzekł sarkastycznie.

- Może lepiej niech pan najpierw sprawdzi. Detektyw zajrzał do łazienki i wycofał się z zakłopotaną miną.

- W porządku - zawyrokował.

- Dziękuję - rzekł sztywno Emilio. Wszedł do łazienki i zamykając drzwi dodał: - W pewnych sytuacjach człowiek potrzebuje odrobiny prywatności.

Kiedy zamknął drzwi, z sąsiedniego apartamentu dobiegła gwałtowna wrzawa.

- Wygląda na niezgorsze przyjętko - ocenił młodszy z detektywów, nalewając sobie z butelki.

- Cała rzecz w forsie - odpowiedział starszy. Wzniósł szklanę. - Najlepszego.

- Najlepszego - podchwycił pierwszy. Przełknęli trunek. - To się nazywa whisky - dodał.

Starszy spojrział na kolegę.

- Jak powiada Matteo, tylko to, co najlepsze. Młody popatrzył na niego znacząco.

- Taaa... - rzekł z goryczą. - Zbrodnia nie popłaca.

Emilio podszedł do umywalki i odkręcił kurek. Przez chwilę czekał nasłuchując. Z jego apartamentu dobiegał pomruk rozmowy detektywów. Przeszedł w drugi koniec łazienki. Znajdowały się tam drzwi wiodące do sąsiedniego apartamentu. Były zamknięte.

Poskrobał paznokciami w ich powierzchnię.

- Cesare! - zawołał szeptem.

Usłyszał skrobnięcie z drugiej strony. Szybko otworzył drzwiczki apteczki. Na górnej półce znalazł klucz. Włożył go do podwójnego zamka w drzwiach i przekręcił. Usłyszał odgłos przeskakującego zatrzasku, a po chwili taki sam dźwięk powtórzył się po drugiej stronie.

Drzwi lekko się uchyliły. Do łazienki wśliznął się Cesare i zamknął je za sobą.

Emilio powitał go uśmiechem.

- Don Cesare! Mój siostrzeńcze! Cesare uśmiechnął się również.
- Don Emilio! Mój wuju! Uścisnęli się.
- Taki szmat czasu - powiedział Emilio.
- Istotnie - potwierdził zdawkowo Cesare.
- Sprawileś się doskonale, mój siostrzeńcze - szepnął Emilio. - Jestem z ciebie dumny.
- Dotrzymuję złożonej przysięgi - odparł Cesare.
- Tak, to prawda i sprawię Rodzinie przyjemność, kiedy jej o tobie opowiem. Już pora, żebyś zaczął uczestniczyć w naszych naradach.

Cesare potrząsnął głową.

- Mnie wystarcza umowa zawarta z tobą, Don Emilio. Nie chcę niczego od Rodziny.

Na twarzy Emilia pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Staniesz się tak bogaty, jak nigdy nawet nie marzyłeś!
- Bogactwo nie jest mi potrzebne - odparł Cesare. - To, co mam teraz, starcza mi z nawiązką.

Emilio pokręcił głową.

- Starszyzna uzna to za afront.
- Nie miałem takiego zamiaru - odpowiedział szybko Cesare. - Wytłumacz im to. Spłacę swój dług, który zaciągnąłem, ale to wszystko.
- Już teraz ci trzech ludzie, z którymi miałem być sądzony, złożyli do rady wnioski o zlikwidowanie ciebie!
- powiedział Emilio. - Uważają, że dopóki chodzisz wolny, stanowisz dla nich niebezpieczeństwo. A w gazetach przeczytali, że byłeś już przesłuchiwany przez władze.
- No to są jak stare baby - odparł pogardliwie Cesare.
- Policja niczego się ode mnie nie dowiedziała.
- A jednak ich to niepokoi.

- Wyjaśnij radzie, że nie musi się niczego obawiać. Nie mam wobec niej żadnych roszczeń.

Emilio pokiwał głową.

- Zrobię to, o co prosisz, siostrzeńcze. Dopóki jednak nie otrzymasz ode mnie wiadomości, bądź ostrożny. To niebezpieczni ludzie.

- Dobrze, Don Emilio. - Cesare uśmiechnął się. - Ale i oni powinni dla własnego dobra zachować ostrożność.

- Pogadam z nimi - przyrzekł Emilio. Cesare kiwnął głową.

- Świetnie. A kiedy dostanę od ciebie jakiś znak?

- W przyszłym miesiącu - odparł Emilio. - O decyzji rady zawiadomię cię podczas wyścigów samochodów sportowych o Grand Mexico. Zgłosisz swoje Ferrari. Twój mechanik zostanie przytrzymany we Włoszech i kiedy w przeddzień startu przyjedziesz do Mexico City, otrzymasz telegram z informacją, że ten człowiek jest chory. Wynajmiesz więc tego, którego ci podeślę. Potem dostaniesz kolejne instrukcje.

Cesare ponownie kiwnął głową.

- Jeżeli w moich planach zajdą jakieś zmiany, zostawię dla ciebie wiadomość w restauracji „Kwadra Księżycyca” w Harlemie, tak jak poprzednio.

Emilio uśmiechnął się.

- To oczywiste. - Znów objął Cesarego i podał mu rękę. - Jestem gotów oddać za ciebie życie.

Cesare popatrzył przez chwilę nieruchomo na Emilia i powtórzył:

- Jestem gotów oddać za ciebie życie. - I szybko prześliznął się z powrotem przez drzwi.

Emilio usłyszał szcęk zatrzasku. Przekreślił klucz po swojej stronie i schował go do apteczki. Potem zamknął

kurek nad umywalką i kręcąc głową, zbierał się wyjścia. Odmawiając dalszej współpracy z Rodziną, Cesare wydał na siebie wyrok śmierci. Teraz to on, Emilio, jest zmuszony żądać jego głowy. Szkoda tylko, że nie miał czasu powiadomić innych o tej zmianie w swoim nastawieniu.

Przy Lexington Avenue na Manhattanie jest restauracja, w której podawane są podobno najlepsze w świecie steki, a jakość spaghetti jest wyższa niż w samych Włoszech. Nic więc dziwnego, że w podobnie znakomitym lokalu ceny osiągają taki poziom, iż zwykły przechodzień z trudnością mógłby sobie tu pozwolić na choćby kromkę chleba z masłem. Rzeczą równie naturalną jest więc i to, że ci, którzy są bywalcami tej restauracji, albo żyją ze swych kont bankowych, albo noszą przy sobie tyle gotówki, że gdyby chcieli, mogliby nowymi, szeleszczącymi banknotami naszpikować zieloną sałatę podawaną im z ostrym sosem.

Wielki Holender wepchnął sobie do ust potężny kawał nie dosmażonego steku i zaczął go żuć. Z kącika ust pociekła mu cienka strużka zmieszanej z sosem śliny. Otarł ją kawałkiem chleba, który następnie podążył w ślad za przeżuwany mięsem. Trwało to jeszcze przez chwilę, aż wreszcie Wielki Holender podniósł wzrok na dwóch współbiesiadników.

- Nie obchodzi mnie, co wy na to, chłopcy - marniał poprzez jedzenie - mówię wam tylko, że powinniśmy go stuknąć.

Allie Fargo wlepił w niego spojrzenie.

- Ale nawet nie mamy pewności, że to właśnie ten facet. Emilio nigdy nam tego otwarcie nie powiedział.

Wielki Holender przełknął kęs i zaczął odkrawać nożem następny kawałek steku.

- I co to za różnica? - zapytał. - Nie możemy tracić czasu na sprawdzanie. W gazetach już pisali, że FBI przesłuchiwało tego gościa. A co będzie z nami, jeśli on zacznie śpiewać?

Nick Elegant z niesmakiem spojrzał na swój talerz. Szkoda dla niego tej góry jedzenia. Nie miał zwyczaju dużo jadać.

- To mi się nie podoba - rzekł. - Emilio przykazał, żebyśmy spokojnie siedzieli i czekali na wiadomość z Włoch. On to obgaduje z Lucky i Joe.

- Ciągłe tylko Emilio i Emilio - wybuchnął wściekle Wielki Holender z ustami pełnymi jedzenia.

Przełknął szybko i mówił dalej: - Już mam powyżej uszu tego, co mówi Emilio. Ci makaroniarze siedzą na swych tłustych dupach, kiedy my tutaj nadstawiamy karku! Myślą, że ten interes należy do nich tylko dlatego, bo go kiedyś rozkręcili.

Prawie nieświadomie Nick Elegant rozejrzał się po sali, sprawdzając, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Zniżył głos do szeptu.

- Ciszej! Przez takie gadanie mogą cię w końcu namierzyć.

Wielki Holender popatrzył na niego złowrogo.

- A skąd wiecie, czy oni teraz nie ustawiają sobie nas do odstrzału? A może wytypowali tego faceta na nasze miejsce? Wiecie, że makaroniarze trzymają twardo ze sobą.

Nick Elegant w milczeniu spojrzał na Alliego. Ten jadł metodycznie z oczami wbitymi w talerz. Po chwili podniósł wzrok i starannie odłożył sztućce.

- Z tego może powstać cholerny smród - powiedział

łagodnie. - Nie chodzi przecież o byle jakiego zabijakę. To jest figura całą gębą.

- Taaa... - dodał Nick Elegant - A jak się okaże, że to nie jest Sztylet, wciąż będziemy jechać na tym samym wózku. I jeszcze do tego trzeba się będzie tłumaczyć przed Emiliem.

Wielki Holender nie przestawał jeść. Tak czy owak - pora na ich ruch. Włosi byli przy piłce już wystarczająco długo. Organizacja jest przecież tu; tak jak cała robota i pieniądze. Przyszedł czas, żeby się wyzwolić od mafii. Co będzie mogła zdziałać ta cała góra z odległości pięciu tysięcy kilometrów, jeśli nikt nie zechce z nią współpracować?

- Zrozumcie, że nie można z tym czekać. Musimy go stuknąć. - Nie podniósł na nich wzroku. Wciąż jadł. Właściwie szkoda, że kiedy siedział w pudle, sprzątnięto Rogera Touhy'ego. Wielki Holender miał już z nim nagrane spotkanie. Chłopcy poszliby z Rogerem przeciw mafii.

Nick Elegant czuł, że opuszcza go wszelki apetyt Odsunął od siebie talerz. Wiedział, o czym myśli Wielki Holender. Zerknął na Alliego. Ze sposobu, w jaki jadł, Nick wywnioskował, że i on rozumiał, w czym rzecz. Chodziło o coś więcej niż tylko stuknięcie jakiegoś gościa. Tó miał być początek rewolucji. On zaś czuł się już za stary na to, żeby się teraz wdawać w kolejną wojnę.

- Co powiemy Emiliowi? - zapytał w nadziei opóźnienia decyzji.

Wielki Holender błysnął okiem w jego stronę, ale ponownie opuścił wzrok.

- Coś wymyślimy - odparł.

- Wątpię - wtrącił nagle Allie. - Popatrzcie, co zrobili Touhy'emu. Czekali na niego dwadzieścia pięć lat.

W głosie Wielkiego Holendra zabrzmiała pogarda.

- Touhy rozkleił się w mamrze. Powinien się był od razu zabrać do roboty. Wszystko by wtedy poszło inaczej. Oni mieli przed nim stracha. Pamiętacie, jak gasił Capone'a?

- Ale go jednak dopadli, no nie? - zapytał Nick Elegant.

- Pewnie, ale popatrzcie, jak oni to zrobili - odciął się Wielki Holender. - Rękami kilku dziadowskich amatorów. Te gnojki były tak podrajcowane, że nawet zostawiły żywego glinę. Teraz można liczyć tylko na chłystków, którzy szukają rozgłosu. Nawet taki Sztylet. On też jest spoza branży. My za to musimy bronić interesów. Nie widzę w tym kraju żadnego ważniaka, który by nas nie poparł.

Odłożył sztucce, wziął w palce kość od steku, podniósł i pokiwał nią w ich kierunku. Najwyższy już czas, żeby skończyli z tymi unikami.

- Musimy go stuknąć - powiedział z naciskiem.

Allie spojrzał na Nicka Eleganta, a potem znów na Wielkiego Holendra. Żarty się skończyły.

- W porządku, stuknijmy go - powiedział.

Zwrócili spojrzenia na Nika Eleganta. Ten już podjął decyzję. Szanse tu są jak w bingo. Orzeł - przegrywasz ty, reszka - wygrywają oni; a jedyna nadzieja to przetrwać o własnych siłach do chwili, kiedy już będzie po wszystkim

- Zgoda, stuknijmy - powiedział.

Wielki Holender uśmiechnął się. To był zaledwie pierwszy krok, ale on go postawił i pociągnął ich za sobą. Sztylet to tylko symbol, prawdziwym zaś problemem była mafia. Przyszedł już czas, aby ten kraj zwrócić jego prawowitym właścicielom - Amerykanom. Wielki Holender zaczął gorączkowo rozmyślać nad nowym podziałem

tego tortu. Wysokość sum przyprawiła go o zawrót głowy. Wstał z za stołu i obrzucił ich spojrzeniem.

- Nie wiem, jak tam wy, chłopcy - powiedział - ale dziś moja stara dała mi wychodne po raz pierwszy od czasu, kiedy wyszedłem z pudła. Lecę do Jenny, żeby sobie coś posunąć.

Nie odpowiedzieli, więc odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Kiedy wyszedł, dwaj pozostali popatrzyli na siebie.

- Kawy - rzucił kelnerowi Nick Elegant

Gdy kelner zniknął, Nick zwrócił się ku Alliemu. Teraz był odpowiedni moment, by sobie załatwić polisę ubezpieczeniową. Trzeba przekazać informację Emiliowi.

Rozdział 12

Cotygodniowe zajęcia sekcji szermierczej na trzecim piętrze Nowojorskiego Klubu Sportowego w Central Parku szły pełną parą. Niewielka sala gimnastyczna rozbrzmiewała szcękaniem ścierających się ze sobą floretów, kiedy młodzi ludzie w białych strojach i groteskowych czarnych maskach na twarzach tanecznym krokiem przesuwali się to do przodu, to do tyłu.

Floret Cesarego spadł jak oślepiająca błyskawica i omijając łukiem gardę przeciwnika zatrzymał się na małym, czerwonym serduszku zdobiącym biały plastron rywala.

- *Touche!* - krzyknął trafiony, cofając się i unosząc w górę floret.

Cesare zerwał maskę i uśmiechnął się.

- Byłeś bardzo dobry, Hank. Musisz tylko uważać na swój nadgarstek. Jest zbyt miękki.

Tamten podniósł swoją maskę. Ciężko oddychał. Jego twarz również rozjaśnił uśmiech.

- Cesare, zamierzasz wziąć udział w turnieju w przyszłym miesiącu? - zapytał.

Cesare potrząsnął głową.

- Chyba nie. Zgłosiłem się do rajdu Gran Mexico

i prawdopodobnie nie zdążę z powrotem na czas. No, ale ostatecznie to mój biznes, no nie? Kolega przyznał mu rację.

- Ale jednak szkoda - powiedział. - Bez ciebie będziemy mieli niewielkie szanse. W każdym razie dziękuję za lekcję.

Cesare skinął głową.

- Nie ma za co. - Zwrócił się w stronę grupki widzów i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Kto będzie moim następnym, jak to nazywacie, zającem? - zapytał drocząc się z nimi.

Odpowiedzieli śmiechem, popatrując na siebie z lekkim zakłopotaniem.

- Jesteś poza naszym zasięgiem. Chyba będziesz musiał poczekać na Fortiniego - powiedział w końcu jeden z nich, mając na myśli trenera.

- No cóż, trudno - rzekł Cesare i zaczął ściągać maskę. Od strony wejścia rozległ się głos:

- Czy mógłbym otrzymać tę szansę?

Cesare odwrócił się i ujrzał ubranego w szermierczy kostium Bakera.

- Ach to pan, panie Baker - rzekł bez śladu zaskoczenia w głosie. - Ależ oczywiście, proszę.

Baker podszedł do niego i zdjął floret ze stojaka. Wykonał nim kilka młynków w powietrzu, by rozruszać nadgarstek. Przerzucił floret do lewej ręki i wyciągnął prawą. Cesare podał mu dłoń. Uścisk Bakera okazał się mocny.

- Książę Cardinali, kiedy doszło do mnie, że jest pan członkiem tego klubu, nie mogłem się oprzeć pokusie skrzyżowania klingi z jednym z największych fecht-mistrzów naszych czasów.

Cesare uśmiechnął się lekko.

- Czuję się zaszczycony. Jest pan dla mnie bardzo łaskaw. Czy skorzysta pan z kilku minut rozgrzewki?

Baker skłonił głowę.

- Nie, dziękuję. To mi niewiele pomoże. Mam tylko nadzieję, że uda mi się stworzyć kilka ciekawych sytuacji.

- Jestem tego pewien - odparł z uśmiechem Cesare. Wyszli na wolną przestrzeń i zajęli pozycje. - Nie wiedziałem, że pan również jest członkiem tego klubu.

- Niestety, nie mogę temu poświęcać zbyt wiele czasu. Za bardzo pochłania mnie praca. - Opuścił maskę. - Gotów?

Cesare potwierdził i również zasłonił sobie twarz. Florety skrzyżowały się w powietrzu.

- *En gardé!* - zawołał Baker.

Zrobił gwałtowny wypad do przodu, a Cesare zszedł mu z linii, cofając się o krok. Od razu wyczuł, że Baker nie jest zwyczajnym amatorem. Uśmiechnął się w głębi swojej maski. Czekał na jego kolejną inicjatywę. To może być nawet dość zabawne spotkanie.

Wokół nich zaczęli się gromadzić widzowie z całej sali. Było w tym jakieś dziwne napięcie, które natychmiast udzieliło się wszystkim obecnym. Baker parł do przodu z pełnym pasji skupieniem.

Floret Cesarego tylko błyskał parując kolejne ataki przeciwnika. Z wolna, krok po kroku cofał się przed tym natarciem. Widzowie zaczęli odczuwać zaniepokojenie. Salę wypełnił pomruk głosów.

Baker wciąż szedł do przodu. Zaczynał nabierać pewności siebie. Cesare najwyraźniej nie dorastał do krążącej

o nim opinii. Baker wykonał cięcie, a Cesare zablokował

i nastąpiło zwarcie. Baker próbował uwolnić swój floret, ale Cesare bez trudności trzymał go w kłinczu. Baker ze

wszystkich sił naparł na przeciwnika. Cesare nawet nie drgnął. Bakerowi wydało się, że walczy ze stalową sprężyną. I nagle uświadomił sobie, że Cardinali po prostu się z nim bawi.

W tej samej chwili Cesare odepchnął go. Baker odstąpił kilka kroków i zdążył zablokować proste pchnięcie. Rzucił się do przodu, wykonując klasyczną fintę, po czym szybko zakręcił floretem. Cesare już na niego czekał.

Cardinali uśmiechnął się.

- Doskonale - skomentował protekcjonalnie spod swojej maski. - Mistrz Antonelli?

- Tak - odparł Baker bacznie go obserwując. - Rzym, rok pięćdziesiąty pierwszy.

- Moje gratulacje - powiedział Cesare, rozpoczynając atak. - Signor Antonelli jest bardzo wymagający dla swych uczniów. Uznaje tylko najlepszych.

Baker był teraz tak pochłonięty działaniami obronnymi, że nie miał okazji do podjęcia ataku.

- Widać za mało czasu poświęciłem na treningi pod jego kierunkiem - udało mu się powiedzieć z grymasem na ustach.

Cesare roześmiał się ponownie.

- Fechtunek to niezwykle wymagający maestro. A w naszych czasach, jak mówiłem, inne rodzaje broni cieszą się o wiele większą popularnością.

Nagle zdało się, że trzymany przez Cesarego floret zaczął żyć własnym życiem. Baker poczuł, że traci dech, a jego własny floret ciąży mu, jakby ważył tonę. Cesare prawdopodobnie dostrzegł jego zmęczenie i spowolnił atak.

Baker czuł pot spływający mu po ukrytej za maską twarzy. Każdy kolejny oddech sprawiał mu coraz większą

trudność, każdy następny ruch wymagał coraz większego wysiłku, podczas gdy Cesare, lekko oddychając, nadal poruszał się ze swobodnym wdziękiem. W kilkunastu sytuacjach Baker wyczuł, że przeciwnik mógł go trafić, ale celowo powściągał swój floret. Jeszcze chwila takiej zabawy i Baker padnie z wyczerpania na podłogę.

Rosnące rozdrażnienie pozwoliło mu wykrzesać jeszcze trochę energii. Przywołał resztkę sił, by zaatakować po raz ostatni. Uchylił się przed pchnięciem Cesarego i ruszył gwałtownie do przodu.

- *Touché!* - dobiegło go od strony widzów.

Baker nagle znieruchomiał i spojrzał w dół. Bezpiecznik floretu Cesarego spoczywał na jego sercu. Stało się to tak szybko, że nawet tego nie zauważył.

Opuścił floret i zdjął maskę.

- Jest pan dla mnie o wiele za dobry, książę Cardinali

- powiedział, oddychając ciężko. Cesare zasalutował floretem.

- Moje szczęście, że brakuje panu czasu na trening

- powiedział wesoło.

Baker uśmiechnął się nie bez trudności.

- Teraz to pan jest dla mnie uprzejmy.

- A może wypijemy razem drinka, panie Baker? - zaproponował Cesare.

- Dziękuję - odparł natychmiast Baker. - Przydałby się jeden szybki. Dostałem w kość.

Usiedli w sali klubowej przy płonącym kominku. Cesare wyciągnął długie nogi w kierunku ognia.

Spojrzał na siedzącego naprzeciwko Bakera i uniósł szklanę z trunkiem.

- Pan nie przyszedł tu jedynie po to, żeby trochę pofechtować, prawda, Baker?

Baker popatrzył na niego. Czasami Cardinali zupełnie zatracił swą europejskość. Na przykład teraz, kiedy zaczął rozmowę bez owijania w bawełnę.

- Ma pan rację, książę Cardinali - odrzekł. - Tak naprawdę przyszedłem tu po to, żeby pana ostrzec i zaproponować naszą pomoc.

Cesare uniósł brew.

- To bardzo uprzejme z pana strony, ale dlaczego uznał pan to za wskazane?

- Dostaliśmy w komendzie cynk, że pańskie życie jest w niebezpieczeństwie - wyjaśnił Baker.

Cesare był rozbawiony.

- Jakie to melodramatyczne!

- Tu się nie ma z czego śmiać - mówił dalej Baker. - Pewni ludzie pragną pana śmierci.

- Mojej śmierci? Jacy ludzie? Baker popatrzył mu prosto w oczy.

- Wielki Holender, Allie Fargo i Nick Elegant.

Na twarzy Cesarego nie pojawił się nawet cień reakcji.

- Co to za jedni?

- Oskarżeni w procesie, w którym mieli zeznawać zamordowani świadkowie. Otóż oni uważają, że Sztylet to pan.

Cesare wybuchnął teraz szczerym, naturalnym śmiechem.

- Dlaczego więc mieliby chcieć mnie zabić, jeżeli to ja uratowałem ich żalosne istnienia przed stryczkiem?

Baker pochylił się ku niemu.

- W tym rzecz. Oni się pana obawiają. Sądzą, że teraz może się pan zwrócić przeciwko nim.

- To głupcy. - Uznał Cesare i pociągnął ze szklaneczki.

- Ale głupcy niebezpieczni - odparł żywo Baker. - Nie można się uchronić przed kulą w plecy.

Cesare wstał.

- Sam potrafię się obronić - odparł krótko. - W czasie wojny wychodziłem cało z większych zagrożeń, niż mogą stanowić ci ludzie. Pan z pewnością o tym wie. Słyszałem, że pańska firma jest bardzo operatywna.

Baker skinął głową.

- Tak. My jednak mimo wszystko chcielibyśmy służyć pomocą.

- Pańskie biuro już mi się dostatecznie przysłużyło. Prawdopodobnie gdyby wam tak nie było pilno do informowania o mnie prasy, ci ludzie nigdy by się nawet o mnie nie dowiedzieli.

Baker podniósł się.

- Bardzo nam przykro z tego powodu, księżę Cardinali. Nie wiem, w jaki sposób nastąpił przeciek do prasy o naszej rozmowie, ale gdyby miał pan jakieś kłopoty, proszę dzwonić do nas bez wahania. -

Wyciągnął rękę.

Cesare uścisnął ją.

- Dziękuję, panie Baker. Nie sądzę jednak, żeby to było potrzebne.

Cesare otworzył drzwi i wszedł do niewielkiego foyer swego apartamentu. Zaczął ściągać płaszcz.

- Tonio! - zawołał.

Przez chwilę stał nasłuchując, po czym cisnął płaszcz na fotel. Podeszedł do drzwi kuchni i otworzył je.

- Tonio! - krzyknął ponownie. Nie było odpowiedzi.

Kręcąc głową, cofnął się, wszedł do saloniku i ruszył w kierunku sypialni. Trzeba będzie wreszcie coś z tym chłopakiem zrobić, nie zważając na to, że jest siostrzeńcem Gio. Służący powinien znać pewne granice. Wracając do domu, zbyt często nie zastawał go na miejscu. Ameryka zepsuła tego chłopaka. Otworzył drzwi do sypialni i skierował się do łazienki, z której dobiegł szum odkręconej wody.

Zatrzymał się.

- Tonio! - zawołał raz jeszcze.

Znów nie doczekał się odpowiedzi. Ruszył szybko w kierunku łazienki, ale nagle się powstrzymał.

Przemknęło mu przez myśl ostrzeżenie Bakera. Wykonał ruch ręką i w jego dłoni pojawił się sztylet.

Podszedł cicho do drzwi łazienki i otworzył je gwałtownie.

Spod prysznic wychodziła właśnie dziewczyna z ręcznikiem w ręce. Przerażona wytrzeszczyła na niego oczy.

- Cesare!

- Ileana! - W jego głosie zabrzmiało echo jej zaskoczenia. - Co ty tu robisz? Myślałem, że jesteś w Kalifornii!

Dziewczyna zasłoniła piersi ręcznikiem.

- Biorę prysznic - odparła. Jej wzrok spoczął na sztylcie w dłoni Cesarego. - A co ty wyrabiasz z tym nożem w ręku? Kogo się spodziewałeś w swojej łazience?

Cesare wypuścił sztylet - natychmiast zniknął w rękawie. Ileana podbiegła do niego, zarzuciła mu na szyję mokre ramię i pocałowała, drugą ręką przytrzymując ręcznik.

- Ach, Cesare, potrzebuję twojej pomocy! Popatrzył na nią sceptycznie. Ileana na ogół nie potrzebowała niczyjej pomocy.

- Co się stało z tym bogatym Teksanczykiem? - zapytał. Podniosła na niego wzrok.
- Widzę, że jesteś na mnie zły - rzekła - za to, że nie czekałam na ciebie w Monte Carlo.
Na twarzy Cesarego zaczął się pojawiać uśmiech.
- Ileano, nie odpowiedziałas na moje pytanie - powiedział łagodnie.
Odwróciła się od niego, podeszła do toaletki i usiadła. Spojrzała na jego odbicie w lustrze.
- Bądź dla mnie miły, Cesare - powiedziała cichym głosem. - Przeżyłam coś okropnego. - Zdjęła ręcznik z wieszaka i podała mu go. - Proszę cię, wytrzymaj mi plecy. Nigdy nie mogę tam dosięgnąć.
Wziął od niej ręcznik.
- Co z tym Teksanczykiem, Ileano? Popatrzyła szeroko otwartymi oczami.
- Nie chcę o tym mówić. To było straszne. Czy nie sądzisz, że trochę schudłam, Cesare?
Z uśmiechem przesunął ręcznikiem po jej plecach.
- Wyglądasz świetnie. Co się wydarzyło? Ileana przymknęła na chwilę powieki.
- Ulżyło mi - rzekła. - Byłam pewna, że zrzuciłam trochę wagi. - Otworzyła oczy i zwróciła się ku niemu. - Ten Teksanczyk był żonaty.
- Przecież o tym wiedziałas. - Cesare uśmiechnął się.
- Jasne, że wiedziałam - odcięła się. - Nie jestem dzieckiem. Ale ta żona okazała się koszmarną, niewyro-zumiałą babą, okropną prowincjuszka. Złożyła nawet na mnie doniesienie w Wydziale Imigracyjnym. Czy wiesz, Cesare, jacy tam siedzą głupcy?
Cesare pokręcił przecząco głową, wciąż uśmiechając się w milczeniu.

- Nie byli w stanie pojąć - mówiła dalej - jak mogę mieszkać w tym kraju od ośmiu lat, nie pracując i nie mając żadnych pieniędzy. Powiedzieli, że jeśli nie znajdę sobie pracy lub jakiegoś źródła utrzymania, zostanę deportowana za obrazę moralności.

Cesare odłożył ręcznik.

- I co im odpowiedziałaś?

- A co mogłam im powiedzieć? - Wzruszyła ramionami. - Oznajmiłam, że jestem zatrudniona u ciebie. Nie uwierzyli, kiedy twierdziłam, że nie muszę pracować, żeby mieć z czego żyć. Cesare, dasz mi jakieś zajęcie?

Spojrzał na nią z góry.

- Nie wiem. - Uśmiechnął się. - A co ty w ogóle umiesz robić? Nie potrafisz stenografować ani pisać na maszynie. Przy czym mógłbym cię zatrudnić?

Wstała z krzesła i odwróciła się ku niemu. Wciąż niezbyt starannie osłaniała się z przodu ręcznikiem. Zajrzała mu w oczy.

- Prowadzisz przecież handel samochodami, prawda? Cesare przytaknął. Podeszła do niego bliżej.

- No to musi się tam coś dla mnie znaleźć. Kiedyś miałam Rolls-Roycea.

Wybuchnął śmiechem. Wyciągnął ku niej rękę, a kiedy podeszła, pocałował ją.

- W porządku. Zobaczymy, co się da zrobić.

- Naprawdę, Cesare? - Jej głos zadrżał z podniecenia. - Jesteś cudowny. - Uniosła rękę, żeby go pogłaskać po policzkach. - Przyrzekam, że ci nie sprawię żadnego kłopotu. Popracuję tylko tak długo, żeby zdobyć numer ubezpieczenia społecznego. Tak to się chyba nazywa. To im wystarczy, żeby mój pobyt uznali za legalny.

Objął ją mocniej.

- Już jesteś tu legalnie. - Roześmiał się. - Zawsze mogę im powiedzieć, że znałem twoich rodziców. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, by sprawdzić, czy w jego słowach nie kryje się jakiś podtekst, ale oczy Cesarego jaśniały uśmiechem. Poczowała w gardle lekki ucisk i nawet jego pocałunek nie przeszkodził jej w tym, że po raz pierwszy od dawna przez dłuższą chwilę pomyślała o swych rodzicach.

Przypomniała sobie wyraz twarzy ojca tej nocy, kiedy otworzył drzwi jej sypialni i ujrzał ich wszystkich razem w łóżku. Jej matkę. Ją. I tego bogatego Amerykanina.

Rozdział 13

Jej matka była Angielką i w wieku zaledwie siedemnastu lat poślubiła pełnego fantazji młodego Rumuna, barona de Broncescu. Prasa bulwarowa nazwała to wówczas powieściowym romansem. W niecały rok później przyszła na świat Ileana, wybuchła rewolucja i powieść dobiegła kresu. Życie jest bezwzględne wobec romantycznych historii.

Wskutek tego Ileanie w dzieciństwie nie było dane dokładnie poznać swych rodziców. Miała jedynie mgliste wyobrażenie o swej matce, która była niezwykle piękną dziewczyną, i o ojcu - mężczyźnie bardzo przystojnym, jednak większość swego młodego życia spędziła w szkołach, z dala od nich obojga.

Najpierw była edukacja w Anglii. Pojechała tam jako niespełna pięcioletnia dziewczynka na samym początku wojny. Ojciec wstąpił do armii brytyjskiej, a matka zaangażowała się w wir wojennej służby ochotniczej i nie mogła jej poświęcić ani chwili.

Następnie po zakończeniu wojny rodzice przeprowadzili się do Paryża, a ją wysłali do szkoły w Szwajcarii. Tym razem powodem było to, że ojca, teraz niemal zupełnego kalekę z powodu ran odniesionych na wojnie, zbyt po-

chłaniała walka o odzyskanie dóbr ziemskich i dawnego bogactwa, aby mogli gdzieś dłużej zagrześć miejsce, Ileana nigdy nie zapytała matki o jej stosunek do tego wszystkiego. Matka była nieustannie zbyt zajęta swymi przyjaciółmi i działalnością społeczną. Poza tym miała w sobie coś, co sprawiało, że Ileana nie potrafiła zdobyć się na odwagę i rozpocząć takiej rozmowy.

Ileana miała już prawie czternaście lat, a szkoła szwajcarska różniła się od angielskiej. W tej ostatniej kładziono nacisk na naukę, w pierwszej - na towarzyską ogładę. Szkoła w Szwajcarii pełna była młodych bogatych dam, przysyłanych z Ameryki i Anglii, aby ich młodzieńczą świeżość poddać wyrafinowanej obróbce, jakiej próżno szukać na całym świecie. Ileana nauczyła się jeździć konno, na nartach i pływać. Poznała też tajniki mody i prowadzenia konwersacji.

Kiedy skończyła szesnaście lat, jej uroda zaczynała rozkwitać już w całej pełni. Cerę i oczy miała typowo angielskie, figurę zaś i wdzięk odziedziczyła po ojcu. Po drugiej stronie jeziora mieściła się podobna szkoła dla młodzieży męskiej. W celu uzupełnienia edukacji uczelnie te utrzymywały ze sobą bliski kontakt.

Tego lata, kiedy skończyła szesnaście lat, urządzono wspólną wycieczkę. Jej partnerem był śniady wysoki młodzian z Bliskiego Wschodu o długim nazwisku, którego nikt nie potrafił zapamiętać. Nazywano go więc Ab, co było zdrobnieniem od Abdul. Był od niej starszy o rok, odznaczał się orlim nosem, niebieskimi oczami i ogólną urodą. Ich kajak dobił do małej, leżącej na uboczu wysepki i teraz w strojach kąpielowych leżeli wyciągnięci na piasku, chłonąc jaskrawe promienie południowego słońca.

Ab obrócił się na bok i patrzył na nią przez chwilę. Ona

spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. Po jakimś czasie z poważną miną pochylił się i pocałował ją. Ileana zamknęła oczy, położyła mu rękę na ramieniu i przyciągnęła go do siebie. Było jej przyjemnie - piasek, słońce i ciepło jego ust. Najpierw zorientowała się, że Ab odpina ramiączka jej skąpego kostiumu, a po chwili poczuła dotyk jego palców na swych obnażonych piersiach. W jej wnętrzu narastało rozkoszne podniecenie, w gardle zaś nadymał się balonik radosnego śmiechu.

Ab podniósł głowę i z wciąż poważną miną patrzył jej w oczy. Patrzył też na jej młode, jędrne piersi i rozbudzone sutki. Z wolna przesunął po nich palcami i pocałował.

Uśmiechnęła się do niego.

- Lubię to - powiedziała cicho. Patrzył na nią bez mrugnięcia powieką.

- Wciąż jeszcze jesteś dziewicą?

Nie wiedziała, czy to jest pytanie, czy stwierdzenie faktu. W milczeniu kiwnęła twierdząco głową.

- Dlaczego? - zapytał - Czy to się wiąże z twoją religią?

- Nie - odparła. - Sama nie wiem dlaczego.

- U mnie w szkole nazywają cię „ozieźbłą” - powiedział. - W twojej klasie oprócz ciebie nie ma już ani jednej prawiczki.

- To głupie - odrzekła. Czowała wzmożone bicie serca. Wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę.

- Myślę więc, że chyba już pora, nie sądzisz? Zgodziła się bez słowa.

Ab podniósł się z piasku.

- Zaraz wracam - wyjaśnił i poszedł w kierunku kajaka. Obserwowała go, kiedy schodził w dół plaży do linii

wody i docierał do kajaka. Wsunęła dłonie pod kostium, ściągnęła go w dół i odkopnęła na bok.

Słońce objęło

w posiadanie całe jej ciało. Odwróciła głowę i patrzyła, co robi Ab.

Chłopak wyjął coś z kieszeni spodni i ruszył z powrotem w jej stronę. Ujrzawszy ją, zatrzymał się.

Spostrzegła, że Ab trzyma coś w ręku.

- Co to takiego? - zapytała. Otworzył dłoń, tak że mogła to dostrzec.

- Żebyś nie zaszła w ciążę - odparł.

- Aha - nie była zaskoczona. W szkole wszystko im dokładnie na ten temat wyjaśniono. Była to część wpajanego dziewczętom *curriculum*, jedno z ostatnich pociągnięć, dzięki którym młode damy wyruszą na podbój świata z pełnym wyposażeniem. Odwróciła się, kiedy Ab zsunął kąpielówkę. Ukląkł na piasku obok niej, a ona ponownie zwróciła się ku niemu. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jesteś piękny - rzekła, wyciągając ku niemu rękę. - Piękny i silny. Nigdy nie myślałam, że mężczyzna może być tak piękny.

- Mężczyźni są z natury piękniejsi od kobiet - powiedział rzeczowo. Pochylił się i pocałował ją. - Ale i ty jesteś niezwykle piękna.

Czując w żyłach nagłą gorączkę pożądania, przyciągnęła go ku sobie. Ogarnęło ją jakieś niewytłumaczalne drżenie. Podniósł głowę, sądząc, że Ileana jest przerażona.

- Postaram się nie sprawić ci bólu - powiedział.

- Nie sprawisz - odparła chrapliwie, gdyż właśnie uświadomiła sobie, że w jej wnętrzu kryją się całe pokłady rozkoszy. - Ja także jestem silna.

I rzeczywiście była. Była silniejsza, niż przypuszczała. Jej defloracji musiał dopełnić w Lozannie pewien chirurg na stole operacyjnym.

Miała osiemnaście lat, gdy stanęła przed drzwiami mieszkania baronostwa de Broncescu w Paryżu. Jej edukacja odpowiadała wykształceniu wszystkich pozostałych dziewcząt szkoły, którą właśnie ukończyła jednak dzięki urodzie i zdolnościom Ileana pod wieloma względami przewyższała większość koleżanek. Nacisnęła dzwonek i czekała.

Drzwi otworzyła matka i spojrzała na nią jak na obcą osobę.

- Słucham? - zapytała tonem, jakim zazwyczaj zwracała się do służących i ludzi z niższych sfer.

Ileana uśmiechnęła się do siebie. Nie spodziewała się po matce niczego lepszego.

- Cześć, mamó - powiedziała po rumuńsku. Na twarzy matki pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Ach, to ty - rzekła głosem, który zdradzał wstrząs wywołany widokiem córki.

- Zgadza się, mamó. Czy mogę wejść? Oszołomiona matka cofnęła się do środka.

- Spodziewaliśmy się ciebie dopiero w przyszłym tygodniu.

Ileana podniosła walizkę i weszła do mieszkania.

- W zeszłym tygodniu wysłałam telegram. Nie otrzymaliście go?

Matka zamknęła drzwi.

- Telegram? Ach tak. Ojciec coś o tym wspomniał przed wyjazdem w podróż służbową.

Ileana doznała pierwszego rozczarowania.

- Tatusia nie ma w domu?

- Wróci za kilka dni - wyjaśniła szybko matka. - Coś się ruszyło w sprawie roszczeń o posiadłość. - Po raz pierwszy przyjrzała się uważnie córce. - No, no, jesteś wyższa ode mnie - stwierdziła zaskoczona.

- Ja jestem w ogóle dorosła, mamó. Już przestałam być dzieckiem.

W głosie matki zabrzmiało rozdrażnienie.

- Na miłość boską, Ileano, mówże po francusku, a nie w tym okropnym języku. Wiesz, że nigdy nie mogłam go zrozumieć.

- Oczywiście, mamó - odpowiedziała po francusku Ileana.

- Tak jest lepiej - rzekła matka. - A teraz pozwól, że ci się przyjrę.

Ileana stała spokojnie bez ruchu, podczas gdy matka obchodziła ją powoli dookoła. Dziewczyna czuła się jak klacz na aukcji.

- Czy nie ubierasz się zbyt poważnie jak na swój wiek?

- spytała matka.

- Mam osiemnaście lat, mamó. Co mam według ciebie nosić, marynarskie ubranka?

- Nie bądź arogancka, Ileano. Jest mi wystarczająco trudno przyzwyczaić się do myśli, że mam dorosłą córkę. Nie wyglądam przecież o tyle poważniej od ciebie, żebyśmy nie mogły uchodzić za siostry.

Ileana przyjrzała się matce. Do pewnego stopnia miała rację. Wciąż jeszcze utrzymywała wokół siebie aurę młodości. Nie wyglądała na swoje trzydzieści sześć lat.

- Tak, mamó - zgodziła się potulnie.

- I przestań mnie nazywać „mamą” - sarknęła matka.

- To jest w ogóle staroświeckie. Jeśli mnie musisz jakoś nazywać, mów mi po imieniu. Albo może być „Milutka”, tak jak mówi twój ojciec. Wszyscy tak mnie teraz nazywają.

- Dobrze, ma... Milutka - odrzekła Ileana.

Matka uśmiechnęła się.

- Teraz już lepiej, prawda? Chodź, pokażę ci twój pokój.

Ruszyła w ślad za matką długim korytarzem, dochodząc do małego pokoiku naprzeciwko kuchni. Nie było wątpliwości, że jest to służbówka, o czym zresztą niezbicie świadczyło jej umeblowanie.

- Jak się odpowiednio urządzi, będzie tu całkiem przyjemnie - powiedziała Milutka. Spojrzała na Ileanę. Twarz córki nie zdradzała żadnej reakcji. - O co chodzi - zapytała szorstko matka. - Nie podoba ci się ten pokój?

- Jest mały - powiedziała Ileana. Jej klitka w szkole wydawała się większa.

- No cóż, będziesz się musiała tym zadowolić - odwarknęła Milutka. - Wiesz chyba, że twój ojciec nie należy do najbogatszych ludzi na świecie. I już wystarczająco ciężko jest zdobywać pieniądze na utrzymanie tego, co posiadamy.

Zabierała się do opuszczenia pokoju, kiedy zadźwięczał dzwonek przy drzwiach wejściowych.

Znieruchomiała i z popłochem w oczach odwróciła się do Ileany.

- Ach, niemal zupełnie zapomniałam. Jestem umówiona na koktajl z pewnym naszym amerykańskim przyjacielem. Bądź tak dobra i otwórz drzwi. Powiedz mu, że za chwilę będę gotowa.

Pobiegła korytarzem, a Ileana poszła za nią. Przy drzwiach swego pokoju Milutka zatrzymała się i spojrzała na córkę.

- I zrób mi jeszcze jedną grzeczność, kochanie. Nie przedstaw mu się jako moja córka. Powiedz, że jesteśmy siostrami i że przyjechałaś mnie odwiedzić. Nie jestem ci teraz w stanie tego wszystkiego wyjaśnić.

Milutka zatrzasnęła drzwi, zanim Ileana zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Dziewczyna przeszła nieśpiesznie hol i minęła salon. Nikt jej nie będzie pouczał, jak się ma zachowywać. Jej szwajcarska szkoła wystarczająco się już o to zatroszczyła.

Kiedy w następnym tygodniu ojciec wrócił do domu, Ileana była wstrząśnięta zmianą, jak zaszła w jego wyglądzie. Jego wysoka niegdyś postać była teraz przygięta i zeszywniała z bólu promieniującego od niemal bezwładnych nóg. Poruszał się wolno o kulach i kiedy tylko docierał do domu, natychmiast osuwał się na swój fotel inwalidzki. Przyjrzał się jej i uśmiechnął, kiedy przyklękła u jego boku. Przyciągnął ją do siebie.

- Ileano - powiedział. - Tak się cieszę, że wreszcie wróciłaś do domu.

Mimo swych dolegliwości baron był zmuszony spędzać dużo czasu poza domem. Musiał załatwiać sprawy majątkowe; trwały negocjacje z obecnym rumuńskim reżimem, który był skłonny przyznać dawnym właścicielom jakieś odszkodowania. Zwrot dóbr był oczywiście wykluczony, gdyż kraj ten tkwił niewzruszenie w sowieckim bloku.

W okresach nieobecności ojca Ileana spędzała dużo czasu z przyjaciółmi. W domu starała się bywać jak najmniej, a gdy tylko z salonu dobiegał ją gwar głosów, natychmiast wymykała się z mieszkania tylnym wyjściem.

Mniej więcej po upływie roku otrzymała list od swej szkolnej przyjaciółki, która ją zapraszała do siebie do Monte Carlo na letnie wakacje. Barona nie było w domu, więc Ileana pobiegła z listem w ręce do pokoju Milutkiej.

Podczas gdy matka czytała list, Ileanę ponosiła wyobraźnia.

- To będzie tak cudowne; po prostu wyjechać z Paryża w pełne blasku ciepło. Plaża i woda. Nie mogę się już tego doczekać!

Milutka złożyła list i rzuciła go na stół.

- To niemożliwe - stwierdziła. - Nie stać nas na taki wyjazd.

- Niemożliwe? - w głosie Ileany zabrzmiało niedowierzanie. - Ależ nie trzeba mi żadnych pieniędzy.

Będę tam gościem.

Milutka spojrzała na nią.

- Potrzebujesz nowych strojów. Nie możesz wyglądać jak szmaciara.

- Mam się w co ubrać - wybuchnęła Ileana. - Wszystko, co przywiozłam ze szkoły, ciągle jeszcze dobrze na mnie leży.

- Ale zmieniła się moda i twoje ubrania wyszły z obiegu - upierała się Milutka. - Każdy będzie wiedział, że cię nie stać na odpowiednią garderobę. Wyślij jej liścik z wytłumaczeniem, że, niestety, mamy już inne plany. Jeśli chcesz, możesz użyć mojej papeterii.

- Schowaj sobie gdzieś swoją herbową papeterię! Mam własną! - krzyknęła bliska łez Ileana i hałaśliwie wybiegła z pokoju.

Kiedy już była na korytarzu, rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Usłyszała głos Milutkiej.

- Otwórz, kochanie, zaraz będę gotowa. Zacisnąwszy zęby, podeszła do drzwi. Był to jeszcze jeden z amerykańskich przyjaciół matki. Miał już lekko w czubie, Ileana przedstawiła się jako siostra Milutkiej. Wszedł do środka i usiadł na kanapie. Przyjrzał się jej.

- Baronowa nigdy mi nie mówiła, że ma taką piękną siostrę.

Heanę rozbawił ten typowo amerykański przejaw galanterii.

- A moja siostra nigdy mi nie wspominała, że ma tak atrakcyjnego przyjaciela.

Zadowolony z siebie wybuchnął śmiechem.

- To fatalne, że dziś wieczorem muszę już wracać do domu. W przeciwnym wypadku moglibyśmy się lepiej poznać.

W drzwiach stanęła Milutka.

- Musisz już wracać, John? Jestem niepokieszona. Weszła do pokoju, a John z pewną trudnością wstał z kanapy.

- Wzywają mnie z powrotem - rzekł ze smutkiem w głosie. - Jakaś awaria w fabryce.

- Wielka szkoda - rzekła Milutka, ujmując go za rękę.

- Tak, to prawda - podjął z ożywieniem, patrząc jej w oczy. - Trzykrotnie jedliśmy razem obiad i zawsze mogłem sobie powiedzieć, że będzie następny raz. A teraz muszę wracać i następnego razu już nie będzie.

- Ale przecież jeszcze wrócisz do Paryża - powiedziała Milutka.

- Pewnie - odparł - Ale kto wie kiedy? - Usiadł ponownie na kanapie. Spojrzał na Milutkę. - Po drodze wstąpiłem na chwilę do baru na dole i wypilem trzy kolejki.

Milutka wybuchnęła swym fałszywym, dźwięcznym śmiechem, tak dobrze znanym Ileanie.

- A po co, u licha? - zapytała. Zrobił niezwykle poważną minę.

- Mam do ciebie bardzo wielką prośbę. Milutka spojrzała na Heanę.

- Kochanie, czy mogłabyś przynieść trochę lodu z zamrażarki? John lubi whisky z masą lodu.

Ileana odwróciła się i wyszła z pokoju. Wyjęła z szufladki kostki lodu i wrzuciła je do małego pucharka. Kiedy wróciła do pokoju, John i matka siedzieli w milczeniu. Stawiając pucharek na stoliku do kawy obok kanapy, zauważyła leżący na nim plik amerykańskich banknotów.

Rzuciła okiem na Johna. Ten nie odezwał się słowem. Wciąż jeszcze trzymał w ręku portfel. Spojrzała pytająco na matkę.

John przechwycił to spojrzenie. Zwrócił się do Milutkiej.

- Daję dwa i pół tysiąca dolarów, jeśli ona przyłączy się do zabawy.

Nagle Ileana zrozumiała, o co mu chodzi. Wybiegła z płonąca twarzą i zatrzasnęła za sobą drzwi swojego pokoju.

Po niedługiej chwili weszła Milutka. Spojrzała zimno na córkę.

- Dlaczego uciekłaś stamtąd w ten sposób? - zapytała gniewnie. - To było zachowanie zdecydowanie infantylne.

Ileana wlepiła wzrok w matkę.

- Ale przecież ty chyba wiesz, mamo, o co on prosił. To było odrażające. Chciał, żebyśmy poszły z nim do łóżka.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć - odcięła się Milutka.

- Zamierzasz to zrobić? - zapytała z niedowierzaniem Ileana. - Pójść do łóżka z tym pijakiem?

- Tak - odpowiedziała spokojnie Milutka. - I ty również! Ileana skoczyła jak oparzona.

- Ja nie! I ty mnie do tego nie zmusisz!

- Czy ty sobie zdajesz sprawę, ile to jest dwa i pół tysiąca dolarów amerykańskich? To półtora miliona franków na czarnym rynku. A jak ty w ogóle myślisz, z czego my się utrzymujemy? Z trzydziestu dwóch funtów miesięcznej renty inwalidzkiej, którą twój ojciec otrzymuje od

armii? Z czego, według ciebie, bierzemy na jego lekarstwa i lekarzy? Z posiadłości, której już nigdy nie ujrzy na oczy? Co ja mam z życia, które spędzam z inwalidą niezdolnym do poruszania się ani do tego, czego by się po mężczyźnie należało spodziewać? - Milutka obrzuciła Ileanę gniewnym spojrzeniem. - Za te pieniądze mogłabyś pojechać do swoich przyjaciół w Monte Carlo, starczyłoby na pół roku życia i jeszcze na odwlekaną wielokrotnie operację ojca. Ileana wcisnęła się w fotel.

- Nie zrobię tego. Mdli mnie na samą myśl o tym. Milutka zaśmiała się pogardliwie.

- O czym ty mówisz? Nie rozśmieszaj mnie. Nie jesteś przecież jakąś niewinną bezbronną dziewczicą. Wiem, co się wyprawia w tych waszych kosztownych szkołach. Albo zrobisz, co ci każę, albo natychmiast wyjeżdżam, a ty wytłumaczysz ojcu, dlaczego już dłużej nie mogę z nim być. Zobaczysz wtedy, czy doceni twoją postawę albo czy ci w ogóle uwierzy! - Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Ileana siedziała jeszcze przez pewien czas, a potem wstała i powoli wyszła na korytarz. W ciemności potrąciła stojący w holu stół. Z salonu dobiegł ją głos matki.

- Czy to ty, Ileano?

- Tak - odpowiedziała.

- Bądź tak dobra i przynieś nam jeszcze trochę lodu.

- Dobrze, Milutka - odparła Ileana. Gdy szła do kuchni, ścigał ją dźwięczny śmiech matki.

Jakiś słaby odgłos sprawił, że siadła wyprostowana na łóżku. Obrzuciła szybkim spojrzeniem matkę. Milutka spała, ramieniem zasłaniając twarz przed światłem. Obok niej, dysząc chrapliwie, leżał na brzuchu Amerykanin.

Odgłos powtórzył się. Cichy skrzyp, który przywodził na myśl przesuwający się fotel na kółkach. Lodowaty strach ścisnął jej serce. Natychmiast wyciągnęła rękę i dotknęła matki.

Milutka uniosła się. Przetarła oczy.

- Co? O co chodzi?

- Szybko, mamó - szepnęła Ileana - do pokoju obok! Pośpiesz się!

Milutka była już rozbudzona i w jej oczach pojawił się strach. Zaczęła wstawać, ale natychmiast znieruchomiała. Było już za późno. Drzwi otworzyły się.

W progu, ze swego inwalidzkiego fotela, patrzył na nich baron. Jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, z oczu bił chłód.

Amerykanin wstał z łóżka i drżącymi rękami sięgnął po ubranie.

- Ja.,, ja wszystko wyjaśnię - mamrotał.

Usta barona poruszyły się prawie niedostrzegalnie.

- Wynoś się!

Przeżony mężczyzna wybiegł z pokoju. Po chwili usłyszeli zatraskujące się za nim drzwi wejściowe.

Baron siedział w fotelu i przyglądał się im. One wlepiły wzrok w niego. Milutka wycofała się w koniec łóżka, zasłaniając prześcieradłem piersi. Wreszcie ojciec zaczął mówić.

Patrzył na żonę morderczym wzrokiem.

- Nie wystarczyło ci, że przymykałem oczy na to, kim właściwie jesteś, a to dlatego, że kiedyś cię kochałem i że do pewnego stopnia czułem się za ciebie odpowiedzialny. Czy nienawidzisz mnie tak bardzo, że chcesz zrobić dziwkę ze swojej własnej córki?

- Ojczy, to ja. - to był mój... - odezwała się Ileana.

Spojrzał na nią najsmutniejszymi oczami, jakie kiedykolwiek widziała w życiu.

- Włóż coś na siebie, Ileano - rzekł cicho - i idź do swego pokoju.

Bez słowa wśliznęła się w sukienkę i ruszyła w kierunku drzwi. Ojciec zjechał na bok, żeby ją przepuścić, a kiedy go mijała, musnął dłonią jej ramię. Jego ręka była zimna jak lód.

Wyszła na korytarz, wtoczyła fotel do sypialni i zamknęła za nim drzwi. Gdy dochodziła już do swego pokoju, usłyszała strzały. Pobiegnęła z powrotem i wpadła do środka. Matka leżała martwa na łóżku, a ojciec siedział w fotelu; obok, na podłodze, w pobliżu rozcapierzonych palców barona, leżał dymiący jeszcze pistolet.

Ojciec nie zostawił jej grosza. Po matce jednak odziedziczyła majątek wartości sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Ileana zebrała całe pieniądze, pojechała do Monte Carlo i w ciągu tygodnia wszystko straciła. Kiedy te pieniądze zniknęły, Ileana poczuła się lepsza, czystsza. Później pojechała do Nicei, gdzie odwiedziła przyjaciółkę.

Tam właśnie poznała Cesarego. Brał udział w dorocznym wyścigu i zajął drugie miejsce. Tam też znalazła nowy sposób na życie. Podobnie jak się to zdarzało jej matce, zazwyczaj spotykała jakiegoś bogatego mężczyznę, który był jej gotów pośpieszyć z pomocą. I jakoś doszło do tego, że kiedy się zorientowała, jak bardzo zaczęła przypominać matkę, przestało to mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Jedynie, co się dla niej liczyło, to dzień dzisiejszy: ile można z niego wyciągnąć albo ile na nim stracić.

Rozdział 14

Cesare wrócił do salonu. - Tonio! - zwołał.

W łukowatych drzwiach wiodących do jadalni pojawił się służący; trzymał w rękach torbę pełną spożywczych zakupów.

- Och, Wasza Ekscelencja! - krzyknął. - Wrócił pan tak wcześnie! - zniżył głos do konspiracyjnego szeptu, popatrując znacząco w kierunku sypialni. - Pani baronessa de Broncescu...

- Wiem - przerwał mu Cesare. - Już się z nią widziałem. Gdzie cię nosiło?

Z sypialni dobiegł głos Ileany.

- Wysłałam go, żeby coś kupił na obiad. Pomyślałam sobie, że będzie miło, jeśli dzisiaj zjemy w domu.

Cesare odwrócił się i spojrzał na nią. Miała na sobie obcisłe czarne welwetowe spodnie toreadora, lamowaną złotem bluzkę i złote szpilki.

- Ach tak? - zapytał. - Skąd ci przyszło do głowy, że zamierzam jeść w domu? A może mam ochotę na obiad w „El Morocco”?

Roześmiała się kręcąc głową. Jej długie czarne włosy zalśniły w świetle, kiedy weszła do pokoju.

- Ach nie, Cesare. Nie możemy tam pójść. Nie dziś.

- Dlaczego nie? Zajrzała mu w oczy.

- Nie mogłabym pójść do „El Morocco” w tym stroju. A to jest wszystko, co mam przy sobie.

Spojrzał na nią zdumiony.

- To wszystko? A gdzie reszta?

Ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała w policzek; potem przeszła przez pokój i usiadła na kanapie.

- Tonio, przygotuj nam coś do jedzenia - polecił służącemu Cesare.

Tonio złożył ukłon angażujący całą jego postać.

- Tak jest, Ekscelencjo. - I opuścił pokój. Cesare zwrócił spojrzenie na Ileanę.

- Co się stało z resztą twojej garderoby?

- Została w Kalifornii - odparła po prostu. - Wszystko, co mam, to tylko to, co na mnie widzisz, plus futro z norek. Dyrektor hotelu również nie był dla mnie wyrozumiały. Kiedy z powodu tej kobiety moje konto zostało zablokowane, nie wpuścił mnie z powrotem do mojego pokoju. Na szczęście miałam przy sobie bilet powrotny do Nowego Jorku. Pojechałam więc na lotnisko i oto jestem. -

Uśmiechnęła się do niego. - Czyż nie miałam szczęścia?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Tonio był już z powrotem.

- Podano do stołu, signore - oznajmił uroczyście.

Na małym stoliczku przed kanapą Tonio ustawił srebrny dzbanek z kawą i miniaturowe filiżanki, po czym złożył ukłon i wycofał się do jadalni, skąd dobiegły odgłosy uprzątanых przezeń naczyń.

Ileana pochyliła się do przodu i nalala kawy. Obserwując ją, Cesare poczuł jakąś niewypowiedzianą błogość i odprężenie. Było w tej dziewczynie coś kojącego. Nie mieli potrzeby udawania przed sobą czegokolwiek, rozumieli się bez słów. A wszystko to dzięki temu, że oboje byli Europejczykami.

Wyciągnęła ku niemu rękę z filiżanką.

- Słodzisz?

Pokręcił przecząco głową i odebrał kawę, którą zaczął powoli sączyć. Smakował mu ten gorzkawy napój z ekspresu.

- Jesteś dzisiaj bardzo małomówny, *mon cher* - zagadała po francusku.

- To zmęczenie - odparł w tym samym języku. - Ostatnio dużo pracowałem.

Podeszła i usiadła naprzeciwko. Delikatnie pogłaskała jego skronie.

- No sam powiedz - powiedziała łagodnie. - Czy to nie był dobry pomysł, żeby zjeść w domu?

Przytaknął, poddając się kojącemu dotykowi jej palców.

- Powinniśmy wcześniej pójść spać - mówiła dalej. - Dopilnuję, żebyś wypoczął i żeby ci nikt nie przeszkadzał. I będę bardzo grzeczna w łóżku.

Otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Jutro wynajmiemy dla ciebie pokój w tym hotelu.

- To nie będzie konieczne - powiedziała szybko, wciąż gładząc jego skronie. - Ten apartament jest wygodny i wystarczająco obszerny.

Uśmiechnął się.

- Wiesz przecież, Ileano, że Amerykanie są inni. Będzie lepiej, jeśli weźmiesz osobny pokój.

Pocałowała go przelotnie.

- W porządku. Wszystko, co każesz.

Pił kawę małymi łykami. Do pokoju ponownie wszedł Tonio.

- Czy będę panu dziś jeszcze potrzebny, Ekscelencjo?

- zapytał.

- Nie, dziękuję. Dobranoc, Tonio - odparł Cesare.

- Dobranoc, Ekscelencjo. - Zwrócił się do Ileany: - Dobranoc, baronesso. - Ukłonił się.

- Dobranoc, Tonio - powiedziała z uśmiechem, patrząc, jak mały służący opuszcza pokój. Odwróciła się do Cesa-rego i dołąła mu kawy. - Właśnie sobie pomyślałam

- zwierzyła się - że nie możemy codziennie jadać w domu. Na twarzy Cesarego zaczął się z wolna pojawiać

uśmiech. Zrozumiał, o co jej chodzi. Sięgnął do kieszeni.

- Ależ oczywiście - odparł. - Ile ci potrzeba? Namyslała się przez chwilę głęboko.

- Ponieważ zaczynam u ciebie pracę, byłaby chyba wskazana jakaś mała zaliczka a konto moich poborów.

Potwierdził to z uśmiechem.

- Zgadzam się z tym całkowicie. To jest powszechnie praktykowane.

Rozpromieniła się.

- Świetnie. Ulżyło mi. Niech więc to będzie, dajmy na to, tysiąc dolarów. Albo nie - lepiej dwa tysiące.

Potrącisz to z mojej pensji.

- Dwa tysiące dolarów? - zapytał z niedowierzaniem. Kiwnęła poważnie głową.

- Postaram się tym wszystko opędzić. Będę bardzo rozważna.

- Co ty zamierzasz kupić? - wybuchnął. - Magazyn Diora?

- Nie żartuj sobie, Cesare - odrzekła. - Czy doprawdy

posądzasz mnie o to, że się gdziekolwiek pokażę w tym ubraniu?

Zaczął się śmiać. To był zupełny nonsens. Ona nie miała najmniejszego wycucia wartości pieniądza.

- No więc dobrze. Dam ci czek - powiedział. Podeszedł do małego biurka, wypisał czek i trzymając go w ręku, wrócił do niej.

- To powinno wystarczyć - powiedział podając papierek.

Odebrała czek i położyła go na stoliku kawowym. Opiewał na dwa i pół tysiąca dolarów. Nagle poczuła dla niego współczucie. Był tak dziwnie czymś udręczony. Wyciągnęła ku niemu rękę i zmusiła, by usiadł obok niej na kanapie.

- Dziękuję, Cesare - powiedziała cicho. W oczach miał posepny smutek.

- Nie ma za co - odpowiedział. - Musimy się przecież trzymać razem, my, ostatnie niedobitki ginącej cywilizacji.

- Nie mów w ten sposób - zareagowała żywo. - Sprawiasz, że wszystko staje się takie beznadziejne.

Spojrzał na nią, a Ileana dostrzegła w jego oczach zupełną pustkę. Gdzieś z jej wnętrza wypełznął niewytłumaczalny smutek. Pocałowała Cesarego i położyła dłoń na jego udzie. Pod palcami wyczuła reakcję mięśni na swój dotyk. Ścisnęła mocniej.

- Chodź - powiedziała łagodnie, czując budzące się w niej osobliwe uczucia macierzyńskie. Cierpienie Cesarego przywiodło Ileanie na myśl jej ojca i jego udrękę. - Pomogę ci się odprężyć.

Tego jednego był absolutnie pewien. Ileana знаła wszystkie sposoby pogrążające mężczyznę w zapamiętaniu. A przy okazji również i ją samą.

Wielki Holender, wyglądając przez tylną szybę limuzyny zaparkowanej w pobliżu skrzyżowania, widział ich, kiedy wychodzili z „El Morocco”.

- Zapalaj - polecił kierowcy.

Wysoki odzwierny zaczął przywoływać taksówkę, ale Wielki Holender dostrzegł, że Ileana powiedziała coś do Cesarego, który zareagował uśmiechem i ruchem głowy powstrzymał portiera. Ruszyli ku przecznicy, oddalając się od Wielkiego Holendra.

Zaklął ze złością. Prowadzili rozpoznanie przez cztery kolejne wieczory i do tej pory tamci zawsze brali taksówkę.

- Poszli na spacer - powiedział. - Jedź Pięćdziesiątą Trzecią. Spróbujemy ich złapać na Lexington Avenue.

Kiedy jednak na Lexington skierowali się na północ i ruszyli ostro ku skrzyżowaniu, przemknęli tuż obok idącej pary. Cesare i Ileana szli po drugiej stronie ulicy i właśnie kierowali się Pięćdziesiątą Trzecią ku Park Avenue. Wielki Holender dostrzegł ich w przelocie w chwili, kiedy w nią skręcali.

- Niech to szlag! Przegapiliśmy ich. Przeskocz na Pięćdziesiątą Piątą i wal do Park Avenue. Tam ich dorwiemy.

Kierowca odwrócił ku niemu pobladłą z przejęcia twarz.

- Nie podoba mi się to, szefie - rzucił nerwowo. - Może lepiej stuknijmy ich kiedy indziej. - Ponownie skierował wzrok przed siebie i w ostatniej chwili uniknął kolizji z ciężarówką wyładowaną mlekiem. Wielka limuzyna gwałtownie skręciła w Pięćdziesiątą Piątą. "

- Pilnuj drogi - warknął Wielki Holender. - Powiedziałem, że dziś, to dziś.

Kiedy na Park Avenue czekali na zmianę świateł, obserwował ulicę z nerwowym uporem. To się musi stać

dzisiaj. Cierpliwość jego żony była już na wyczerpaniu. Wszystkie wieczory spędzał ostatnio na prowadzeniu rozpoznania i nie sądził, by zniosła to jeszcze raz. Światła się zmieniły i samochód ruszył.

- Są tam - powiedział.

Cesare i Ileana przechodzili właśnie przez ażurowy pawilon ustawiony przed gmachem Seagrama. Zatrzymali się na chwilę, by popatrzeć na grę świateł w fontannie.

- Kieruj się na Pięćdziesiątą Drugą - polecił Wielki Holender, sięgając po leżącego na tylnym siedzeniu Thompsona. - Rąbniemy go, kiedy będzie schodził po stopniach!

Ich okazały wóz skręcił i zatrzymał się tuż przed najbliższym narożnikiem. Wielki Holender rozejrzał się dokoła. Ulica była pusta. Cesare i Ileana szli nieśpiesznie w kierunku pobliskiej fontanny.

Podniósł karabin i ustawił ich sobie w celowniku. Nie mają najmniejszych szans. Uśmiechnął się do siebie. Jeśli robota ma być wykonana jak należy, trzeba się tym zająć osobiście. Nie wolno ufać dzisiejszym nieopierzonym smarkaczom, którym w głowie tylko jakieś bzdurne harce, a nie troska o interesy. Jeszcze chwila i ta parka znajdzie się tam, gdzie być powinna.

Cesare i Ileana byli na szczycie schodów obok fontanny. Cesare znalazł się w samym środku celownika.

- Teraz! - krzyknął Wielki Holender i nacisnął spust. Kierowca nadepnął pedał gazu, tak że silnik ryknął

razem z hukiem wystrzału. Po dwóch strzałach Thompson zaciął się. W blasku świateł padających z budynku Wielki Holender dostrzegł, że Cesare odwraca się w jego stronę. W tej samej chwili samochód ruszył. Wielki Holender w szaleńczym pośpiechu próbował

uruchomić zablokowany karabin. Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku budynku i ujrzał, że Cesare wpycha Ileanę do fontanny, a sam szczupakiem rzuca się za niewysoki murek. Zaklął, naciskając dźwignię bezpiecznika. Na próżno.

Przez ten czas znaleźli się już przy rogu Lexington Avenue. Przez tylną szybę Wielki Holender zobaczył, że Cesare wyciąga dziewczynę z fontanny i za chwilę oboje zniknęli za budynkami, kiedy samochód skręcił w ulicę. Wściekły odrzucił bezużyteczny automat na tylne siedzenie.

Kierowca skręcił w następną ulicę.

- Sięgnął go pan, szefie? - zapytał przez ramię.

- Eeee tam...! - burknął Wielki Holender. Kierowca wjechał w Trzecią Aleję.

- Dokąd teraz, szefie? - zapytał prawie wesoło.

- Do śródmieścia, do biura związku - odparł Wielki Holender. Kiedy to mówił, rozległ się głośny huk, więc sięgnął do kieszeni po pistolet.

Niemal natychmiast zaczęło nimi trząść i samochód przechylił się na bok. Kierowca zjechał do krawężnika.

- Złapaliśmy gumę - oznajmił.

Wielki Holender wpatrywał się w niego przez chwilę.

- I co jeszcze powiesz ciekawego? - warknął wysiadając z samochodu. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

To było bez pojęcia, pomyślał ładując się do auta. Są dni, kiedy wszystko idzie jak z kamienia.

Rozdział 15

- Nic ci się nie stało? - zapytał Cesare, wyciągając z fontanny ociekającą wodą Ileanę. W jej szeroko otwartych oczach czaiło się przerażenie.

- Cesare, czy oni strzelali do ciebie? - zapytała. Rozejrzał się szybko dokoła. Z budynku zaczęli wychodzić ludzie.

- Nic nie mów - polecił, śpiesznie sprowadził dziewczynę do krawężnika i wepchnął do taksówki. - Do Towers, panie kierowco - poinstruował taksówkarza i odwrócił się ku niej. - Wszystko w porządku? - zapytał ponownie.

Ileana wciąż była oszołomiona.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała odruchowo i spojrzała po sobie. - Moja nowa sukienka! Jest do wyrzucenia!

Uśmiechnął się ponuro.

- Nie narzekaj. Miałaś dużo szczęścia.

Patrzyła na niego z napięciem i po chwili w jej oczach pojawiło się zrozumienie.

- Ci ludzie strzelali do ciebie! - zawołała.

- Nie wiem - odparł sarkastycznie. - Nie miałem czasu ich zapytać.

Ileana drżała. Cesare zdjął marynarkę i narzucił jej na ramiona. Jego wzrok był zimny i niewzruszony.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Rozumiesz? Ktokolwiek! - rzekł opryskliwie.

Kiwnęła głową.

- Rozumiem - zgodziła się, powstrzymując szczykanie zębami. Poszukała ręką jego dłoni, a w jej głosie pojawił się ton smutku. - Wygląda na to, że jesteś w większych tarapatkach niż ja, mój przyjacielu - powiedziała miękko.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem. Kiedy wysiedli, odźwierny patrzył ciekawie na Ileanę, podczas gdy Cesare płacił kierowcy.

Trzymał w ręku dwudziestodolarowy banknot, tak żeby go taksówkarz mógł dostrzec.

- Pan nas tu nigdy nie przywiózł - powiedział. Banknot zniknął w rękę kierowcy.

- Ja nawet nigdy państwa nie widziałem na oczy

- odparł wesoło i odjechał.

Cesare otworzył drzwi do pokoju Ileany i cofnął się, żeby ją przepuścić.

- Przebierz się w coś suchego - poradził. Zawahała się w progu.

- Może byłoby lepiej, gdybym poszła z tobą na górę? Boję się dzisiaj zostać sama w nocy.

- Nie - odparł szybko i spojrzał na nią. Wspólna noc to może być dobry pomysł. - Pozwól, że też się przebiore

- powiedział. - Za chwilę będę z powrotem.

Wielki Holender siedział w swym pustym, mieszczącym się w budynku związków biurze i wlepił wzrok w stojącą przed nim butelkę whisky. Sięgnął po nią i nalał sobie

następną kolejkę. Z dołu dobiegały go słabe poranne odgłosy odbijania kart zegarowych przez ściągających do pracy urzędników. Podniósł szklanke i przełknął trunek, który palącym strumieniem spłynął mu do gardła.

Chyba jednak tamci mieli rację. On jest za wielki, żeby się angażować w taką robotę. Należało ją zostawić tym smarkaczom, nawet jeśli nie byli tak dobrzy jak on przed laty. Oni mają mniej do stracenia.

Na myśl o własnej młodości ogarnęła go melancholia. Stare, dobre czasy. Reguły gry były wówczas jasne. Rzeczy nazywało się po imieniu, a jeśli ktoś komuś wchodził w drogę, od razu dostawał w kość. Nie trzeba było czekać na zebranie się jakiejś wszawej rady, która miała zdecydować, co robić dalej. Przypomniał sobie, jak to kiedyś, w czasach prohibicji, Lep wezwał ich obu z Samem Vanicolą do nielegalnej knajpy w Brooklynie.

- Chcę, żebyście się z Samem wybrali na małą przejażdżkę do Monticello i sfajczyli Varsity Vica - powiedział. - Wyrósł trochę za duży jak na swoje możliwości.

- W porządku, Lep - przyjęli do wiadomości i skoczyli do baru po sześć butelek whisky, które miały im towarzyszyć w długiej podróży.

Po wyjściu z baru pokłócili się o to, czym samochodem pojadą. On nie lubił Chevy Sama, a Sam nie przepadał za jego Jewettem. W końcu poszli na kompromis i zwinęli wielkiego Pierce'a, zaparkowanego przed jedną z rezydencji na Wzgórzach Brooklyńskich.

W tamtych czasach taka podróż zajmowała około pięciu godzin, była więc prawie druga nad ranem, kiedy zatrzymali się przed zajazdem Varsity Vica. W samochodzie zostały im jeszcze trzy butelki.

Wysiedli z wozu i rozprostowali kości.

- Sztachnij się tym czystym powietrzem - powiedział Sam. - Inaczej pachnie niż w mieście. Rany, tu można sobie pożyć.

Wciąż jeszcze pamięta granie świerszczy, kiedy wchodzili do środka. Było tam dość tłoczno, a na scenie trwał ostatni numer rewiowy. Stanęli w progu, by przyjrzeć się tańczącym w przyćmionym oświetleniu dziewczętom, które kołysały biodrami i wiły się niczym węże.

- Ty, popatrz na tamtą! - zachichotał. - Na trzecią od końca. Zderzaki skaczą jej jak gumowe piłki!

- Nie mamy czasu na te rzeczy - powiedział Sam, ciągnąc go w stronę baru. - Jesteśmy tu służbowo.

Wypijmy jeszcze po jednym.

- Z prywatnych zapasów - zaordynował Sam. Barman postawił przed nimi butelkę whisky.

- Co was tu, chłopaki, przygnało z miasta? - zapytał szorstko.

- Fundnęliśmy sobie przejażdżkę - odparł wesoło Wielki Holender. - W mieście żar.

- Tu nie mniejszy - stwierdził barman.

- Widzę ruch w interesie - powiedział Sam pochylając się nad barem.

- I tak, i nie - rzekł wymijająco barman.

- Jest tu gdzieś Vic? - zapytał od niechcienia Sam.

- Jeszcze go dziś wieczorem nie widziałem - odrzekł również od niechcienia barman.

Taneczny numer dobiegł końca i dziewczyny przechodziły za barem, zdążając do swojej garderoby.

Wielki Holender przechylił się przez kontuar i zważył w dłoni pierś mijającej go właśnie dziewczyny.

Odwróciła się szybko i spojrzała na niego.

- Prawiczek! - powiedziała z uśmiechem i poszła dalej.
 - Mogę ci ją zorganizować - zaproponował porozumie wawczo barman.
 - Kiedyś chętnie skorzystam - odparł, patrząc w ślad za oddalającą się dziewczyną.
- Spojrzał na Sama i skinął głową. Sam ruszył w kierunku biura właściciela. Barman pochylił się nad przyciskiem sygnalizacji łączącej go z gabinetem szefa.
- Na twoim miejscu bym tego nie ruszał - powiedział z dobrotliwym uśmiechem Wielki Holender.
- Barman wyprostował się powoli i odszedł w drugi koniec bufetu, gdzie zaczął polerować ścierką wierzch kontuaru.
- To właściwie nie mój biznes - stwierdził. - Jestem tu tylko barmanem.
 - To rozumiem - pochwalił Wielki Holender. - I tak ma zostać. - Dołączył do Sama stojącego przed drzwiami biura.
- Weszli do środka. Varsity Vic siedział za biurkiem. Spojrzał na nich i uśmiechnął się przelotnie.
- Właźcie, chłopaki - zachęcił ich. Zamknęli za sobą drzwi.
 - Mamy wiadomość od Szefa - oznajmił Wielki Holender. - Chce się spotkać.
 - W porządku - odparł Varsity Vic. Spojrzał w drugi koniec pokoju na swego goryla, który dziarsko zerwał się na równe nogi. - Niech mi tylko da znać, a zjawię się, gdzie zechce.
 - On chce teraz - uściślił Wielki Holender. Varsity Vic wbił w niego wzrok.
 - Ustalmy to na jutro. W tej chwili nie mogę jechać. Odwrócili się, jakby mieli zamiar odejść. Goryl z zaczął-

kiem uśmiechu zaczął chować pistolet. Wtedy Sam jednym ciosem pozbawił go przytomności. Zawrócili do Varsity Vica.

- Wiesz, że Szefer nie lubi czekać - powiedział Wielki Holender.

Kiedy wychodzili z zajazdu, Varsity Vic z pobladłą twarzą kroczył między nimi. Barman patrzył na nich z kwaśną miną, polerując szmatą ciągle to samo miejsce bufetu.

Usiadł z Varsity Vicem na tylnym siedzeniu, a Sam usadowił się za kierownicą. Gdy tylko ruszyli sprzed zajazdu, Wielki Holender sięgnął po kolejną butelkę i zębami wyciągnął korek. Podał whisky Vicowi.

- Napij się - zaproponował. - Wygląda, że ci zimno. Varsity Vic potrząsnął przecząco głową.

- No, jazda - ponaglał. - Ta jest w porządku, nie jak ta siara, co ją sprzedajesz u siebie.

Varsity Vic ponownie odmówił. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był cichy i łamiący się.

- Chłopaki, jak mnie wypuścicie z tego samochodu, dam wam patola.

Wielki Holender łyknął jeszcze raz z butelki. Patrzył na Vica w milczeniu.

- Dobra, dwa patyki - poprawił się szybko. - No, ile w końcu dostaniecie za tę robotę? Stówkę? Sto pięćdziesiąt? Dwa patole to kupa szmalu.

- Słyszysz, co on gada, Sam?

- Aha.

- Masz tę kasę przy sobie?

- Mam tu, w portfelu - odparł Vic dotykając marynarki!

- W porządku - zdecydował Wielki Holender i rozejrzał się dokoła. Byli już teraz daleko, poza wszelkimi zabudowaniami. - Zjedź z drogi, Sam - polecił.

Po kilku wstrząsach samochód zatrzymał się na miękkim gruncie.

- Dawaj mamonę - nakazał.

Varsity Vic drżącymi rękami wyciągnął portfel. Szybko przeliczył pieniądze na siedzeniu.

- Dwa patyki - powiedział. - Trafiło się wam. To cała gotówka, jaką mam przy sobie. - Pokazał im pusty portfel.

- Aha - potwierdził Wielki Holender. - Mamy szczęście. A teraz wyskakuj.

Varsity Vic otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Odwrócił się do nich.

- Dzięki, chłopaki - powiedział. - Nigdy wam tego nie zapomnę.

- Założę się, że nie zapomnisz - zaśmiał się Sam, naciskając spust swego automatu.

Solidne pociski kaliber 45 odrzuciły Vica na trzy metry w krzaki. Wysiedli z samochodu i podeszli do niego. Ciało drgnęło gwałtownie i zamarło w bezruchu.

- Wypompuj ze zbiornika trochę benzyny i oblej go - polecił.

- Po co? - zdziwił się Sam.

- Lep powiedział: „Sfajczcie go”. A kiedy boss coś mówi, to nie żartuje.

Później siedzieli na stopniu Pierce'a i obserwując płomień popijali z butelki resztkę whisky. Kiedy wreszcie postanowili ruszać, okazało się, że Sam spuścił z baku całe paliwo. Musieli więc iść trzy mile pieszo, zanim udało im się ukraść inny samochód i wrócić nim do miasta.

Wielki Holender oparł się o biurko i westchnął. Nalał sobie następną porcję. Stare, dobre czasy.

Minęły bezpo-

wrotnie. Odeszli też i Lep, i Sam. Pierwszy trafił na krzesło elektryczne, a drugiego dosięgnął nóż w hotelowym basenie.

Uniósł szklanekę z płynem i przyjrzał mu się. Poprzez whisky cały świat wydaje się złocisty. Ta historia to wina makaroniarzy. Nigdy nie uwierzy, że Sam zacząłby rzeczywiście śpiewać. Na pewno nie stary, poczciwy Sam, który był jego kumplem. A jednak go załatwili. Byli jak pijawki: kiedy ci się raz przyssa do pleców, już nigdy nie popuszczą. Jednak tym razem będzie inaczej; tym razem to on będzie górą.

Zajęty wykręcaniem numeru telefonu nie zauważył, że Cesare powoli otwiera drzwi jego pokoju.

Tuż przed świtem usłyszała klucz w zamku.

- To ty, Cesare? - zapytała.

- Tak - odpowiedział matowym, pełnym napięcia głosem.

Po chwili znalazł się obok i zrzucił w szalonym pośpiechu ubranie. Kiedy wsunął się do łóżka, jego napiętym ciałem targały dreszcze. Zacisnął dłonie na jej piersiach.

Poczuła jednocześnie strach i ból.

- Nie śpiesz się tak, Cesare - próbowała zażartować. - Można by pomyśleć, że jesteś Amerykaninem.

Rozdział 16

Cesare podnosił właśnie do ust szklanę z sokiem pomarańczowym, kiedy do pokoju wpadł Tonio.

- Pan Baker do Ekszelencji - zapowiedział. Cesare skinął przyzwalająco głową.

- Wprowadź go - polecił.

Wypił sok i wstał. Do jadalni wszedł Baker.

- Witam - powiedział Cesare. - Nie spodziewałem się, że znów pana ujrzę tak szybko. Proszę spocząć i napić się kawy.

Baker usiadł i przyglądał mu się bacznie, podczas gdy Tonio napelniał filiżankę, którą po chwili przed nim postawił. Cesare patrzył na Bakera z nie mniejszą uwagą.

- Słyszałem, że zeszłego wieczoru miał pan niewielki kłopot - zaczął Baker.

- Doprawdy? - odpowiedział uprzejmie Cesare. - Co panu każe tak sądzić?

- Poranna prasa - wyjaśnił Baker.

- Nie przeglądałem jej.

Baker rzucił okiem na zwiniętą gazetę obok filiżanki gospodarza.

- A co to jest? - zapytał uszczypliwie.

Cesare spojrział na stół, po czym przeniósł wzrok na Bakera z lekkim błyskiem rozbawienia w oku.

- To jest „The Wall Street Journal. Jedyna gazeta, jaką czytam. Ze względu na interesy.

Baker poczuł, że się czerwieni. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął egzemplarz „Daily News”. W milczeniu rozłożył go na stole.

Cesare spojrział na gazetę. Z pierwszej strony krzyczał tytuł na pół kolumny:

SZTYLET UDERZA PONOWNIE! WIELKI HOLENDER ZAMORDOWANY!

Cesare podniósł wzrok na Bakera i wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, co to może mieć wspólnego ze mną - rzekł. - Mówiłem już panu, że nie znałem tego człowieka.

- Na stronie piątej znajdzie pan inną historię - powiedział Baker. - Tuż po północy mężczyzna i kobieta zostali ostrzelani przed gmachem Seagrama. Kobieta wpadła do fontanny. Oboje zniknęli, zanim zostali rozpoznani.

Cesare posmarował grzanekę masłem.

- No i...? - zapytał.

- Chodzi o baronesę, z którą pan wczorajszej nocy wszedł do hotelu. Odźwierny zeznał, że była przemoczona do suchej nitki.

- Nikt do mnie nie strzelał - rzekł Cesare, nakładając sobie dżem na grzanekę z masłem.

Baker wypił łyk kawy.

- To jednak wciąż nie wyjaśnia, dlaczego pani była tak mokra.

W drzwiach za jego plecami pojawiła się Ileana.

- Czemu nie zapyta mnie pan bezpośrednio? - powiedziała wchodząc do pokoju.

Mężczyźni powstali. Cesare dokonał prezentacji.

- Pan Baker pracuje w FBI - uzupełnił. Ileana wytrzeszczyła oczy.

- Ach tak - rzekła i zwróciła się do Cesarego. - Masz jakieś kłopoty? - zapytała z troską w głosie.

Cesare uśmiechnął się.

- Nie sędzę. Jednak pan Baker utrzymuje, że jacyś ludzie usiłują mnie zabić.

- Ależ to wręcz przerażające! - wykrzyknęła. Zwróciła się do Bakera. - Czy dlatego właśnie chce pan poznać powód mojego przemoczenia?

Baker skinął głową.

- To bardzo krępujące - wyjaśniła Ileana z niezbędną domieszką godności. - Otóż widzi pan, byliśmy w restauracji „El Morocco”, gdzie niestety przesadziłam trochę z szampanem. I do tego jeszcze te nowe buty. Potknęłam się i upadłam w kałużę. Miałam nadzieję, że nikt tego nie widział.

- Jest pani pewna, że nie wpadła do fontanny przed gmachem Seagrama? - zapytał Baker.

Ileana obrzuciła go zdumionym spojrzeniem. Zwątpienie Bakera w prawdziwość jej słów spowodowało, że jej głos stał się bardzo wyniosły.

- Jestem tego absolutnie pewna!

- Co robiła pani później? - pytał dalej Baker.

- Księżę Cardinali przyprowadził mnie do mojego pokoju w tym hotelu.

- A kiedy panią opuścił?

Spojrzała na Cesarego. Ten poklepał ją uspokajająco po dłoni.

- Jeśli nie chcesz, nie musisz na to odpowiadać - poinformował ją.

Zwróciła się do Bakera.

- Czy to jest ważne? Baker skinął głową.

- Tak, to jest ważne - odrzekł z powagą. Ileana zaczerpnęła głęboko powietrza.

- No więc, przed niecałą godziną. I przyszedł tutaj, do swego pokoju, na śniadanie - odpowiedziała patrząc Bakerowi prosto w oczy.

Cesare wstał. Mówił nadal cicho, ale w jego głosie pojawił się chłód.

- A teraz czy nie uważa pan, Baker, że jak na jeden ranek zadał pan już wystarczająco dużo pytań?

Baker podniósł się i popatrzył na Ileanę.

- Jest mi bardzo przykro, baronesso, że postawiłem panią w kłopotliwej sytuacji, ale moja praca polega na zadawaniu takich pytań.

Ileana uparcie wpatrywała się w leżący na stole obrus. Nie podniosła na niego wzroku.

- Rozumiem, panie Baker.

Agent specjalny zwrócił się do Cesarego.

- Na pana miejscu, Cardinali, miałbym oczy ciągle otwarte. Reszta tych ludzi będzie teraz jeszcze bardziej niebezpieczna.

- Dobrze, panie Baker - przyrzekł Cesare wciąż stojąc. Do pokoju wtargnął Tonio.

- Pański bagaż będzie gotowy na czas, Ekscelencjo - oznajmił. - Wyślę go na lotnisko o czwartej.

Cesare kiwnął głową.

- Dziękuję, Tonio - powiedział zirytowany. Baker zerknął na niego.

- Jakiś wyjazd?

- Zgłosiłem swój udział w wyścigu o Gran Mexico - odparł Cesare. - Zaczyna się pojutrze. Moje Ferrari jest już na miejscu.

- Jedziemy tam razem. - Ileana podniosła wzrok i uśmiechnęła się. - To będzie niezwykle podniecające.

Baker popatrzył na nich kolejno i lekko się uśmiechnął.

- Powodzenia - powiedział, kierując się ku drzwiom. - i bezpiecznej jazdy.

Cesare odczekał, aż dobiegł ich odgłos zamykanych drzwi, po czym odwrócił się do niej i rzekł ze złością:

- Dlaczego mu powiedziałaś, że ze mną jedziesz? Ileana uśmiechnęła się promiennie.

- Próbowałam ci jedynie pomóc, Cesare. - W drzwiach ponownie stanął Tonio. - Proszę tylko o połówkę grejpfruta - zwróciła się do służącego.

Cesare poczekał, aż Tonio wyjdzie z pokoju.

- Gdybym chciał, żebyś ze mną jechała, sam bym cię o to poprosił - warknął.

Spojrzała na niego zdumiona.

- No tak, jakże mogłam się nie domyślić. Jest jakaś inna kobieta. Wybacz mi, Cesare.

Wrócił Tonio, niosąc połówkę grejpfruta. Postawił ją przed Ileaną i wyszedł.

- Nie ma innej kobiety - rzekł ze złością Cesare.

- Wobec tego jadę - oświadczyła rzeczowo. Patrząc na niego, zaczęła wyjadać łyżeczką miąższ grejpfruta. - Poza tym nie mogę sobie pozwolić na pracę u ciebie. Przed przyjściem tu rozmawiałam z twoją sekretarką. Powiedziała mi, że moja pensja wynosi sto dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo. Cesare zakipiał z wściekłości.

- A co ty zamierzasz robić? Przecież nic nie umiesz.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. - Wzruszyła ramionami i zapatrzyła się w grejpfruta. - Ale mnie taka suma wystarczy na jeden dzień. - Wsunęła łyżeczkę do ust. - Boski smak.

Wpatrywał się w Ileanę i czuł, że wbrew jego woli narasta w nim śmiech. Zaczęli się wzajemnie rozumieć. Ileana ani słowem nie wspomniała o swym kłamstwie chroniącym go przed Bakerem. I nigdy o tym nie wspomni.

Uśmiechnęła się do niego, świadoma, że zdobyła punkt.

- A poza tym znam paru bogatych Teksaszczyków, którzy przyjadą na ten wyścig do Mexico City.

Rozdział 17

Urzędnik recepcji hotelu „El Ciudad” w Mexico City pozwolił sobie na porozumiewawczy uśmiech.

- Baronessa ma uroczy apartament bezpośrednio sąsiadujący z pańskim, książę Cardinali.

Cesare podpisał się w księdze meldunkowej i zerknął na recepcjonistę.

- To świetnie. Dziękuję.

- Trzymamy też dla pana ten telegram.

Cesare odebrał przesyłkę i otworzył ją wracając do Ileany. Od niechcienia rzucił okiem na treść telegramu. Spodziewał się tej informacji.

- Właśnie dostałem wiadomość - rzekł do Ileany. - Mój mechanik zachorował.

- Jaka szkoda. Czy to coś poważnego?

- To oznacza, że muszę sobie poszukać kogoś innego - odparł. - Najlepiej będzie, jeśli pójde od razu do garażu i zobaczę, co się da zrobić.

- Świetnie. Czy to ci zajmie dużo czasu? - spytała Ileana.

- Nie wiem. Idź lepiej na górę i rozpakuj się. To może trochę potrwać. Przyjdem, żeby cię zabrać na obiad.

Cesare wszedł do huczącego krzątaniem garażu. Wszędzie było pełno mężczyzn dokonujących ostatnich przed startem przeglądów maszyn. Poszedł przez halę w kierunku małego kantorka na zapleczu.

Z biura wyszedł malutki starszy człowieczek i dostrzegł zbliżającego się Cesarego.

- Książę Cardinali! - wykrzyknął, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Jak to przyjemnie widzieć pana znowu.

Cesare uściśnął mu dłoń.

- Wzajemnie, senor Esteban.

- Pański samochód jest na niższej rampie, w boksie dwunastym - poinformował go Esteban. - Myślę, że panu pilno rzucić na niego okiem.

- Tak, sefior Esteban, ale mam poważny problem - odparł Cesare. - Zachorował mój mechanik i muszę znaleźć zastępcę.

Z twarzy starego zniknął uśmiech, ustępując zaszepieniu.

- To nie będzie łatwe, proszę księcia. Wszyscy specje od Ferrari są już zaklepani.

- Wiem, ale muszę coś zrobić, bo inaczej nie będę mógł wystartować.

- Nie możemy do tego dopuścić - zareagował gwałtownie Esteban. - Niech mi pan pozwoli rozejrzeć się za kimś od razu. Dam panu znać, jak tylko się czegoś dowiem.

- *Mil gracias* - uśmiechnął się Cesare. - Przez ten czas będę przy wozie. Zrobię, co mogę, żeby go przygotować.

Po niemal godzinie pracy nad białym Ferrari Cesare ujrzał zbliżającą się w jego kierunku dziewczynę. Zmierzała prosto do niego. Wyprostował się, podziwiając jej zgrabną figurę odzianą w biały kombinezon.

Dziewczyna zatrzymała się przed samochodem.

- Księżę Cardinali? - zapytała. Miała cichy, przyjemny głos.

Skinął głową i sięgnął po papierosy do marynarki przewieszanej przez drzwi Ferrari.

- Słucham?

- Señor Esteban mówi, że poszukuje pan mechanika.

- Patrzyła na niego intensywnie niebieskimi oczami.

- Zna pani kogoś? Gdzie go mogę znaleźć? - zapytał z ożywieniem. Był już znużony tą robotą. Tej strony wyścigów zdecydowanie nie lubił.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Ja jestem mechanikiem. Jego głos zdradzał zaskoczenie.

- Dziewczyna? To nie jest wyścig dla kobiet. Chodzi o dwa i pół tysiąca kilometrów!

Przestała się uśmiechać.

- Mogłabym jechać tak daleko, gdyby było trzeba.

- Pochyliła się nad kadłubem samochodu, zaglądając do silnika. - Ale Don Emilio ma inne plany - dokończyła szeptem.

Spojrzał na nią zdumiony. Nie spodziewał się dziewczyny.

Wyprostowała się i znów była uśmiechnięta. Po męsku wyciągnęła do niego rękę.

- Lukę Nicolas - przedstawiła się.

Uścisnęli sobie dłonie. Cesare przyjrzał się jej z uwagą.

- Ale czy naprawdę znasz się na wozach Ferrari? Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Powinnam je znać. Ścigałam się na nich po całym świecie. - Za plecami Cesarego ujrzała zbliżającego się do nich Estebana. - Może pan o to spytać jego.

Cesare odwrócił się, a Esteban powiedział z uśmiechem:

- Widzę, żeście się już poznali. To dobrze.

- Dziewczyna w rajdzie Gran Mexico? - zdumiał się Cesare. - Kto w ogóle słyszał o czymś takim?

- Może pan mówić o wielkim szczęściu, księżę Cardinali - zapewnił go Esteban. - Señorita Nicholas miała wiele propozycji i właściwie już postanowiła nie brać udziału w wyścigu, kiedy usłyszała o pańskich kłopotach. W zeszłym roku prowadziła swoje własne Ferrari.

Cesare popatrzył na nią.

- Własny wóz? - zdziwił się. - I co się z nim stało? Wzruszyła ramionami.

- Nie wygrałam tego wyścigu, a Ferrari było zadłużone po kołpaki, więc już go nie ma. Miałam wtedy nadzieję coś niecoś zarobić, ale zabrakło szczęścia.

- W porządku - zdecydował Cesare. - Musisz być dobra, skoro tak twierdzi mój przyjaciel Esteban.

Jeżeli wygramy - podział nagrody według ustalonych zasad; jeżeli nie - pięćset dla ciebie.

- Zgoda, księżę Cardinali - odparła z uśmiechem. Sięgnął po marynarkę i włożył ją.

- Wyreguluj go i przetestuj na szosie. Na piątą przygotuj pełny raport o stanie wozu. Będę w barze „El Ciudad”.

- W porządku - przyjęła do wiadomości i zwróciła się do Estebana. Jej głos zabrzmiał rzeczowo. -

Może mi pan załatwić miejsce na piątym kanale, señor Esteban? Tam, gdzie jest ten nowy elektroniczny regulator czasowy? Najpierw muszę sprawdzić całą instalację.

Esteban skinął potakująco głową, a Cesare odwrócił się i poszedł rampą ku wyjściu. Kiedy dotarł do jej końca, obejrzał się za siebie i ujrzał, że dziewczyna przetacza już wóz w kierunku kanału.

Oświetlenie w cocktail-barze „El Ciudad” wydobywało się z ukrytych w ścianach nisz, które zasłaniały nie tylko same lampy, ale również niemal zupełnie tłumili emitowane przez nie światło. Cesare mógł mówić o szczęściu, jeśli dostrzegał stojącego przed nim na stole drinka. Nie próbował spoglądać na zegarek dla sprawdzenia czasu, gdyż był pewien, że nie dojrzy wskazówek na tarczy. Drzwi baru otworzyły się i do środka wpadł snop promieni słonecznych, przecinając mrok. Cesare spojrział w tym kierunku. Luke, która weszła do baru, zatrzymała się na chwilę i przyzwyczajając wzrok do ciemności, próbując go odnaleźć. Cesare wstał i pomachał do niej ręką.

Śmiejąc się, podeszła do jego łóży i usiadła naprzeciw niego.

- Każdemu wchodzącemu powinni tu wręczać górniczą lampę - zażartowała.

- Tu jest rzeczywiście ciemno - przyznał. Zbliżył się do nich kelner. - Czy moglibyśmy liczyć na trochę więcej światła, zanim oślepiemy? - zapytał go Cesare.

- Ależ oczywiście, sefior. - Kelner wyciągnął rękę nad stolikiem i nacisnął ukryty w ścianie włącznik.

Łożę natychmiast wypełniło dyskretne oświetlenie.

- Teraz lepiej. - Cesare uśmiechnął się. - Czego się napijesz?

- Proszę o Daiquiri - odparła.

Kelner oddalił się z zamówieniem, a Cesare spojrział na dziewczynę.

- Co powiesz o samochodzie? Jej oczy stały się niemal smutne.

- To cudowny wóz. Wielka szkoda. W normalnych warunkach na takiej maszynie moglibyśmy wygrać ten rajd.

Kelner postawił przed nią mrożony rum i oddalił się. Cesare uniósł swoją szklanę.

- *Salud!*

Na szczęście! Upili po trochu swoje drinki i odstawili je na stolik.

- Będą jeszcze inne rajdy - rzekł Cesare.

- Mam nadzieję - powiedziała pozbawionym wyrazu głosem. Rozejrzała się. W pobliżu nie było nikogo. - Połączyłam mechanizm zegarowy z szybkościomierzem - poinformowała go ściszym głosem. - Dokładnie na sto piętnastej mili od startu nastąpi wybuch, który zniszczy generator.

Będziemy wtedy o dwieście dziewięćdziesiąt mil od najbliższego punktu kontrolnego, a więc na znalezienie nas będą potrzebowali około pięciu godzin. Jest tam w okolicy samotny dom oddalony o jakieś pół mili od drogi. W tym domu poczekamy na Don Emilia. - Znów uniosła szklaneczkę.

Cesare poszedł jej śladem.

- I to wszystko? - zapytał.

- Tak - potwierdziła

Cesare przyjrzał się jej wnikliwie. Miała teraz na sobie lekką letnią sukienkę, która nie pozwalała wątpić w jej kobiecość i nadawała dziewczynie wygląd amerykańskiej studentki, a nie kobiety uwikłanej w nielegalną działalność mafijną. Uśmiechnął się w duchu. Don Emilio jest pełen niespodzianek.

Poczuła zakłopotanie pod jego badawczym spojrzeniem. Różnił się od mężczyzn, których spotykała dotychczas. Byli to na ogół obcesowi faceci o bezpośrednim sposobie bycia. Nie miała kłopotów z ich klasyfikacją. Cesare zaś nie dawał się wpasować w jakieś sztywne ramy.

- Na co się tak wytrzeszczasz? - zapytała wreszcie. - Nigdy jeszcze nie widziałeś dziewczyny?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła się jak idiotka. Cesare uśmiechnął się nieznacznie.

- Przepraszam za wytrzeszczanie się - powiedział. - Zachodzę tylko w głowę, dlaczego? Dlaczego właśnie dziewczyna taka jak ty?

- To niezły pieniądz - odrzekła chłodno. - Mówiłam już, że chcę mieć Ferrari. A to jest najszybszy sposób, żeby je zdobyć. - Znów pociągnęła ze szklanki. - No a ty? Przecież tobie nie brak pieniędzy. Roześmiał się niewymuszenie.

- Niewiele jest rajdów takich jak ten. Życie między nimi może się stać nudne, jeśli się go czymś nie wypełni.

Dał znak kelnerowi i dopóki ten nie postawił przed nimi nowych drinków, milczeli. Potem Cesare uniósł w górę szklankę i wlepił weń spojrzenie.

- Wielka szkoda. Jest to akurat rajd, w którym chciałbym wygrać.

Lukę napoczęła swój koktajl.

- Wiem, co odczuwasz - wyznała i nagle jej twarz rozjaśniła się. - Z tym się nic nie może równać. Szybkość, niebezpieczeństwo, podniecenie. Wstępuje w ciebie życie, czujesz mrowienie w całym ciele, które staje się jednym rozpalonym nerwem.

- Tak! To właśnie to! - zareagował natychmiast Cesare. W jego głosie zabrzmiało niemal chłopięce podniecenie. - Nie myślałem, że ktoś przeżywa to podobnie jak ja. Jest wtedy tak, jakby się już posiadało wszystko, co jest na tym świecie do zdobycia. Pieniądze, władzę, kobiety!

Lukę spuściła wzrok na swoją szklankę. Poczuła się niemal zawstydzona.

- Nie podejrzewałam, że ktoś może mieć takie same odczucia.

Przesunął dłonie po stole w kierunku Lukę i nakrył nimi jej ręce. Poczwała promieniującą z nich siłę i władczość. Popatrzyła na jego twarz. Było w niej napięcie, a jego oczy lśniły jak u tygrysa nocą.

- Czuję się tak, jakbym jeszcze nigdy nie miał kobiety - powiedział miękko.

Ogarnął ją nagły strach. Nie przed nim, ale przed samą sobą. Wiedziała aż za dobrze, czego się może spodziewać po mężczyźnie takim jak on. Cofnęła pośpiesznie dłonie.

- Może lepiej nie odbiegajmy od interesów - rzekła, jak tylko mogła najchłodniej. - Oboje wiemy, że nie możemy wygrać.

Jego głos był taki ciepły.

- Dlaczego, Lukę? Przecież siedzimy tutaj, w barze. Czy musimy rozmawiać wyłącznie o interesach?

Jego oczy były jak potężne magnesy i Lukę poczuła rodzący się gdzieś głęboko w jej wnętrzu tajfun.

Dobrze znane pożądanie zaczęło przenikać jej łono, a nogi ogarnęła równie znajoma słabość.

Dlaczego tak musi być zawsze? I to właśnie w sytuacji, kiedy już sobie wszystko dokładnie przemyślała? Poczwała, że jej głos zabarwił się goryczą.

- Dlatego, że przy tobie jestem przegrana. Spotykałam już facetów takich jak ty. I zawsze jest tak samo. Najpierw wydaje się, że człowiek wlatuje ku gwiazdom, a potem zostaje z tego tyle... -

Strzeliła palcami.

- Zawsze tak samo? Wytrzymała jego spojrzenie.

- Tak, zawsze.

- I znajdujesz zadowolenie w tym, że nie korzystasz z życia, ponieważ boisz się przegrać? - zapytał niemal czule.

Była rozdrażniona, gdyż Cesare nieomylnie trafił w samo sedno.

- Czego ty chcesz ode mnie? - warknęła. - Czy należysz do mężczyzn, którzy muszą pożerać wszystko, co się znajdzie w ich zasięgu? Posiąść każdą kobietę? Ta, z którą tu jesteś, prawdopodobnie potrafi cię zadowolić w ciągu dziesięciu minut o wiele bardziej niż ja w ciągu dziesięciu dni!

Do oczu zaczęły jej napływać łzy rozdrażnienia, wstała więc, aby Cesare ich nie dostrzegł.

- No to trzymajmy się interesów! - zawołała ze złością. - Do jutra, na starcie!

Okręciła się na pięcie i ruszyła ku wyjściu, zderzając się niemal z Ileaną, która dochodziła właśnie do ich stolika. Ileana popatrzyła w ślad za nią i zajęta opróżnione miejsce. Skierowała wzrok na Cesarego.

- Kto to był? - spytała zaciekawiona.

Cesare obserwował znikającą w drzwiach Luke.

- Mój mechanik - wyjaśnił. Ileana uniosła brwi.

- Oooo? - Zwróciła się do kelnera, który właśnie do nich podszedł: - Proszę o Cinzano z lodem. -

Kelner zniknął. - A więc to twój mechanik - powtórzyła.

Cesare spojrzął na nią.

- Zgadza się - uciął. Ileana była rozbawiona.

- Wiesz co? Chcąc nie chcąc, usłyszałam jej końcowe uwagi. Muszę ci powiedzieć, że ona ma rację.

Cesare puścił to mimo uszu. Kelner postawił przed nią

zamówiony trunek. Ileana podniosła go w geście żartobliwego toastu.

- Mniejsza o to. Myślę, że nie spotkamy się w Cuenavaca, tak jak planowaliśmy. Poczekam na ciebie w Mexico City - powiedziała popijając Cinzano. - Jako nie-Amerykanka, a co za tym idzie - osoba bardzo w tych sprawach wyrozumiała, myślę, że powinnam dać wam obojgu szansę na wzajemne odnalezienie się i udowodnienie racji obojga stron.

Rozdział 18

Kiedy wyszła z barowych ciemności, jaskrawe promienie słońca poraziły jej oczy. Osłoniwszy je ciemnymi okularami, ruszyła przed siebie. Początkowo, gnana złością na własne zachowanie, szła szybko. Kiedy jednak zauważyła, że ludzie spoglądają na nią ze zdziwieniem, zwolniła kroku. Była przecież w Mexico City, a tu nikomu się nigdzie nie śpieszy.

Czyżby wokół niej unosiła się jakaś szczególna aura, która sprawiała, że wszystko przybierało taki właśnie obrót? Że działało się tak od czasów jej dzieciństwa? Inne dziewczęta przyjmowały w swych domach chłopaków na wspólne odrabianie lekcji i nic im się z tego powodu nie przytrafiało. Ona starała się naśladować w tym dokładnie swoje koleżanki, a mimo to pod koniec wieczoru zawsze dochodziło do jakiegoś incydentu.

Po wyjściu chłopca przeklinała własną głupotę. Z reguły nie spotykała się z nim już nigdy więcej, ale później zawsze był jakiś następny. I wszystko zaczynało się od nowa. Podejmowała najuroczystsze postanowienia: że nic, tylko podręczniki, że nawet się do niego nie zbliży, że będą się wzajemnie przepytywać, siedząc po przeciwnych

stronach stołu albo w odległych końcach pokoju. Tak przynajmniej bywało na początku każdego wieczoru.

Wkrótce jednak zaczęła odczuwać rosnące pożądanie. Nogi obezwładniała słabość, a język odmawiał posłuszeństwa. Coraz większą trudność sprawiała jej koncentracja na przedmiocie nauki. Starła się zwalczyć ten wewnętrzny płomień; wkładała w to tyle wysiłku, że jej twarz i ramiona spływały potem i że nawet sama wyczuwała lekką woń własnego ciała zmieszaną z zapachem perfum. I wówczas dochodziło do tego. Kilka pierwszych wstępnych pocałunków. Chciała sobie tym dowieść, że potrafi na nich poprzestać, że nie zdarzy się nic więcej. Jednak nagle jej wewnętrzna gorączka przeradzała się w szal, powodując wściekłe zdzieranie z siebie krępujących ubrań, dziką żądę jednocześnie zadawania i odczuwania bólu, uwielbienie hardej męskości i chęć wchłonięcia jej do własnego wnętrza, tak by mogła bez reszty zapanować nad jej eksplodującą mocą.

Poczuła zawrót głowy. Odruchowo wzdrygnęła się. Zerknęła w górę ku słońcu. Było gorąco, ciągle zbyt gorąco. Chyba jednak warto wejść pod dach i odpocząć. W cieniu poczuje się lepiej.

Rozejrzała się wokół. Doszła niemal do samego garażu. To dobrze. Wejdzie tam i jeszcze raz sprawdzi wóz. W samochodach wyścigowych zawsze znajdowała coś, co poprawiało samopoczucie - jakiś zimny, męski pierwiastek.

Po upale panującym na zewnątrz w garażu było niemal chłodno. Zbliżała się pora obiadu i większość mężczyzn już wyszła. Poszła w dół rampy.

Z kantorka wybiegł Esteban i zawołał w ślad za nią:

- Hej, sefiorita Nicholas! Odwróciła się ku niemu z uśmiechem.
- Oooo! Señor Esteban! Podszedł do niej pośpiesznie.
- Widziała się pani z księciem? - zapytał. - Czy jest zadowolony?
Kiwnęła potakująco głową.
- Jestem panu ogromnie wdzięczna, señor Esteban.
- *No hau de que* - odparł. - Cieszę się, że mogłem pomóc wam obojgu. - Spojrzał na nią przebiegle. -
Interesujący mężczyzna z tego księcia, prawda?
- *Si* - odpowiedziała - bardzo interesujący, ale powiedz mi, czy jest dobry?
Spojrzał na nią.
- Mógłby być najlepszy. Ale czegoś mu brakuje. Ruszyli dalej razem.
- Brakuje? Nie rozumiem - powiedziała. - Czego?
- Lęku - odrzekł Esteban. - Rajdowiec jest podobny do matadora. Żaden z nich nie będzie nigdy dobry, dopóki nie posmakuje strachu. Dopiero potem może doskonalić swoje rzemiosło, zamiast marnotrawić czas na jakieś niepotrzebne głupstwa. Wsiada do wozu po to, by zwyciężyć.
Zatrzymali się przed długim białym Ferrari.
- A jemu nie zależy na wygranej? - zapytała i podeszła do samochodu, kładąc rękę na masce.
- Piękny automobil - powiedział Esteban. Przyjrzała się maszynie. Bezwiednie przetarła ręką błotnik.
- Najlepszy w całym garażu - uznała. Uśmiechnął się chytrze.
- Myślę, że tym razem postawię na księcia dziesięć

peso - zawrócił do swego kantorka. - Powodzenia, se-ftorita.

Obserwowała go do chwili, gdy zniknął za zakrętem. Później otworzyła drzwi i wsiadła do samochodu. Wionęła na nią woń mieszaniny oleju, benzyny i wyczyszczonej skórzanej tapicerki. Wśliznęła się za kierownicę i położyła na niej obie ręce. Poczwała w sobie moc; prawdziwą męską siłę. Cofnęła się pamięcią do chwili, kiedy siedziała na kolanach ojca, który prowadził samochód w drodze do miasta na zakupy. Jakże wspaniale się wówczas czwała, machając do wszystkich, by zwrócić na siebie ich uwagę, że oto kieruje wozem. Nawet pan Saunders, gruby policjant, który regulował ruch na Main Street, podszedł, by zażądać jej prawa jazdy. Miała wtedy sześć lat. Jak się prowadzi samochód, wiedziała już przed ukończeniem lat dziesięciu. Papa uczył ją tego na bocznej drodze za domem. Matka kręciła na to głową.

- Ona jest tylko w połowie dziewczyną - mawiała. - Ciagle tylko obja się po garażu, grzebiąc w samochodach i słuchając języka otaczających ją bezustannie drabów.

- Ej, dajże jej spokój, matko - odpowiadał ojciec pobłaźliwie. - Jeszcze ma czas na dorosłość i naukę gotowania i szycia. To nie jest takie ważne w dzisiejszych czasach, kiedy wszystko masz w puszkach i mrożonkach, a ubrania możesz kupić gotowe. - W głębi ducha był zadowolony. Zawsze pragnął mieć syna.

Miał jeszcze więcej powodów do zadowolenia, gdy Lukę skończyła szesnaście lat i zdobyła prawo jazdy. Chłopcy jakoś zbytnio jej wówczas nie interesowali. Nie odczuwała tej potrzeby rozrywania ich na strzępy. Może

dlatego, że odgrywała się na nich na szosie, tak że w czasie wyścigów krótkodystansowych musieli wciskać zazwyczaj gaz do dechy.

Wiedziała, co sobie o niej pomyśleli, kiedy po raz pierwszy podjechała do nich swoim podrasowanym gratem. Oto mamy puszczałką, która tylko patrzy, gdzie by się tu rozłożyć. Znała krążące po szkole historie na swój temat. Wiedziała, że gdy w rozbieralni jakiś chłopak odsłonił na plecach ślady zadrapań, inni wybuchali śmiechem i zaczęli z niego szydzić.

Mimo to jednak, kiedy podjechała do nich samochodem, otoczyli ją tłumnie.

Johnny Jordan, który był ich przywódcą, podszedł do jej wozu nonszalanckim krokiem. Oparł się o drzwi. W kąciку ust tkwił mu niedbale papieros.

- Skąd wzięłaś tego rzęcha? - zapytał.

- Od Stana - odparła, mając na myśli nazwę garażu, w którym wszyscy chłopcy nabywali swe używane samochody.

Popatrzył krytycznie na pojazd.

- Nigdy go tam nie widziałem - stwierdził.

- Trochę przy nim popracowałam - skłamała.

Nie było to żadne „trochę”. Rozebrała bowiem ten samochód na kawałki, a następnie zbudowała go własnymi rękami na nowo. Kiedy go kupiła, był to wrak pogruchotanego Pontiaka, kabrioletu-limuzyny. Wymontowała z niego silnik i zastąpiła wyjętym z Cadillaka, zmieniła dyferencjał i łożyska, założyła szersze paski hamulcowe, zredukowała nadwozie, dopasowując do niego kadłub starego Forda, następnie dla dodania wagi nafaszerowała ołowiem drzwi. Cały wóz pomalowała srebrnym i czarnym lakierem. Zajęło jej to sześć miesięcy.

- Czy to jeździ? - zaciekawiał się Johnny.
- Jeździ - odparła.
- Przesuń no się - polecił jej, zamierzając wsiaść. Lukę siedziała niewzruszenie za kierownicą.
- Aha, już - powiedziała. - Nikt tym nie pojedzie, dopóki się z wami nie pościgam.
Wytrzeszczył na nią oczy.
- Z kim ty zamierzasz stawać? Nikt tu nie myśli startować z dziewczyną.
Uśmiechnęła się.
- Może spróbujemy na przetrzymanie? - spytała. Poczerwieniała.
- No, nie - rzekł. - Kto kiedy widział dziewczynę w samochodowym wyścigu? To się po prostu nie zdarza.
- W porządku - odparła i ponownie, uruchomiła silnik.
- Wracam do miasta i opowiem, że masz pietra. - Zaczęła się od nich oddalać.
Johnny podążył za nią.
- Hej, poczekaj chwilę. Nie masz prawa tak gadać. Zahamowała z uśmiechem.
- Nie? Więc udowodnij to.
- No dobra - rzekł niechętnie. - Ale nie miej pretensji, jak sobie zrobisz krzywdę.
Przyproceedził swój samochód i ustawił się obok niej.
- Pościgajmy się przez milę w tamtą stronę szosy
- zawołał przekrzykując warkot silników. - Potem ty tam zostaniesz, a ja wrócę tu i zagramy na przetrzymanie.
Skinęła głową i wlepiła wzrok w startera. Ręka chłopaka opadła. Lukę zwolniła sprzęgło i jej wóz wyrwał do przodu. Zmieniła bieg na najwyższy i spojrzała na Johnny'ego. Jego samochód jechał równo z nią. Zaśmiała się pod-

niecona i zbliżyła się do niego. Dzielili ich teraz odległość zaledwie kilku cali.

Nacisnął pedał gazu, próbując wysunąć się odrobinę przed nią. Znów się uśmiechnęła i otworzyła przepustnicę. Johnny nie zyskał ani odrobiny. Zadźwięczał metal i chłopak odskoczył w bok, ustępując jej miejsca. Dwoma kołami jechał poboczem. Lukę nacisnęła gaz i oderwała się od niego tak, jakby stał w miejscu.

Zdażyła już wykręcić, kiedy Johnny śmignął obok i ruszył z powrotem. W przelocie obrzucił ją złowrogim spojrzeniem.

Zaczęła wypatrywać kolejnego sygnału od startera. Kiedy nadszedł, była w pełnej gotowości i ruszyła z kopyta. Zbliźali się do siebie, jadąc dokładnie środkiem jezdni. Lukę z uśmiechem zdjęła z pedałów stopy i opuściła je na podłogę. Rękami unieruchomiła koło kierownicy.

Kiedy podniosła wzrok, samochód Johnny'ego już niemal na nią wpadał. Pomyślała z zastygłym na twarzy uśmiechem: nie, jej ster nie drgnie nawet o milimetr.

Dostrzegła, że w ostatnim ułamku sekundy Johnny wykonał obrót kierownicą i ujrzała przemykającą tuż obok niej jego pobladałą, wykrzywioną przekleństwami twarz. Zwalniając, obserwowała w lusterku rzucały gwałtownie na boki wóz, nad którym jednak Johnny po chwili zapanował i zatrzymał go.

Zawróciła i podjechała do niego.

Stał obok wozu w otoczeniu kolegów. Wszyscy gapili się na jego lewy tylny błotnik, w połowie oderwany. Lukę nawet nie zauważyła tej kolizji podczas mijania.

Johnny podniósł na nią wzrok.

- Jesteś wariatką! - krzyknął.

Z uśmiechem przesunęła się na siedzeniu.

- Chcesz poprowadzić? - zapytała. - Maksymalnie wyciąga sto dwadzieścia.

Obszedł samochód dookoła i usiadł obok niej. Włączył bieg i ruszyli. W jednej chwili doprowadził do szybkości dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Johnny został jej pierwszym chłopakiem na dłuższą metę.

Z nim było inaczej niż z poprzednikami. Lukę uspokoiła się i nabrała pewności siebie. Nie darli ze sobą kotów na temat samochodów. Johnny nabrał dla niej szacunku, uznając, że Lukę dorównuje mu klasą. Nie przeszkodziło mu to jednak w zafundowaniu jej ciąży.

Była wówczas w ostatniej klasie liceum. Odczekała jeszcze tydzień i poszła do niego.

- Musimy się pobrać - oznajmiła.

- Dlaczego? - zapytał.

- A jak ty myślisz, głupku? - odwarknęła. Wlepił w nią wzrok, a w końcu zaklął.

- Niech to szlag! - wykrzyknął. - To przez te dziadowskie tanie gumy, które kupiłem w barze szybkiej obsługi!

- Nie gumy mi to zrobiły - powiedziała ze złością - tylko ten twój cholerny interes. Ciągłe byś mi go wpychał.

- Zdawało mi się, że ci to całkiem pasuje - odparował.

- Nigdy nie powiedziałaś „nie"! - Popatrzył na nią z furją.

- A poza tym skąd mam wiedzieć, czy to moje? Niejedno o tobie słyszałem!

Przez chwilę wpatrywała się w niego intensywnie; wszystkie marzenia, jakie snuła na temat ich wspólnej przyszłości, legły w gruzach. W końcu Johnny był taki sam jak wszyscy inni. Odwróciła się na pięcie i wyszła.

W następną sobotę podjęła sto dolarów ze swych oszczędności i pojechała do stolicy stanu. W dzielnicy

meksykańskiej przyjmował tam lekarz, z którym miały już do czynienia inne dziewczęta z jej szkoły. Przeczekała spokojnie wszystkie pacjentki i weszła do gabinetu. Ujrzała małego tłustego człowieczka o błyszczącej łysinie. Wyglądał na zmęczonego.

- Rozbierz się i podejdź tutaj - polecił.

Powiesiła sukienkę na wieszaku i zwróciła się ku niemu.

- Zdejmij wszystko - nakazał.

Zdjęła biustonosz i majtki. Zbliżyła się do niego. Wstał zza biurka i podszedł do niej. Zbadał przez dotyk jej piersi i brzuch, po czym wsłuchał się w pracę serca. Zawiódł ją do długiego, wąskiego stołu.

- Uchwyć się krawędzi i pochyl do przodu - powiedział naciągając na prawą rękę gumowy palec. -

Zrób głęboki wdech i wypuszczaj powoli powietrze.

Zrobiła to, co jej kazał, podczas gdy on badał coś w jej wnętrzu. Kiedy skończył, Luke wyprostowała się i odwróciła do niego.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Oceniam na sześć tygodni - stwierdził. Skinęła głową.

- To się zgadza. Wrócił za biurko i usiadł.

- Będzie kosztowało sto dolarów - poinformował. Bez słowa sięgnęła do portmonetki i wyjęła pieniądze.

Po odliczeniu położyła je przed nim na biurku.

- Kiedy chcesz się poddać zabiegowi? - zapytał.

- Natychmiast - odparła.

- Ale nie możesz tu przecież zostać. Czy jest ktoś z tobą? - zainteresował się.

Pokręciła przecząco głową.

- Przyjechałam samochodem.

Lekarz popatrzył na nią sceptycznie.

- Proszę się o mnie nie martwić - uspokoiła go. - Dojadę do domu bez kłopotu.

Zabrał z biurka sto dolarów i schował je do szuflady. Podszedł do sterylizatora i wyjął strzykawkę.

Nakłuł nią małą buteleczkę i zbliżał się do Luke, napełniając jednocześnie zbiorniczek płynem.

- Co to takiego? - zapytała, gdyż po raz pierwszy poczuła lęk.

- Penicylina - wyjaśnił z uśmiechem. - i dzięki Bogu, że ją mamy. Zabija wszystkie możliwe zarazki z wyjątkiem tego, który siedzi w twoim wnętrzu.

Działał zręcznie, szybko i fachowo. Wszystko razem trwało dwadzieścia minut. Doktor pomógł jej zejść ze stołu i ubrać się. Dał jej kilka pastylek w torebce bez oznakowania.

- Te duże to penicylina - wyjaśnił. - Bierz jedną co cztery godziny przez najbliższe dwa dni. Te małe są przeciwbólowe. Po powrocie do domu łykaj je co dwie godziny. Połóż się od razu na dwa dni do łóżka. Nie martw się krwawieniem, bo to normalne. Gdybyś jednak uznała, że po pierwszym dniu tracisz zbyt dużo krwi, nie bądź głupia i dzwoń do swego lekarza. Jeśli matka będzie cię dopytywać, o co chodzi, powiedz jej, że masz ciężką miesiączkę. Zapamiętasz to wszystko?

Skinęła głową twierdząco.

- No więc w porządku - rzekł łagodnie. - Możesz iść. Jedź prosto do domu i kładź się do łóżka. Za godzinę pożałujesz, że się w ogóle urodziłaś. Tak będzie bolało.

Lukę skierowała się do drzwi, a doktor usiadł za biurkiem. W progu odwróciła się.

- Dziękuję, panie doktorze.

Spojrzał na nią.

- Dobrze, dobrze - powiedział. - Ale bądź teraz mądrzejsza. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

Czterdzieści mil dzielących ją od domu pokonała w niecałe pół godziny. Kiedy się zatrzymała przed wejściem, poczuła zawrót głowy i ogólną słabość. Poszła prosto na górę do swego pokoju, dziękując losowi, że w domu nie było nikogo. Połknęła po jednej pastylce i drżąc od rosnącego bólu, wpełzła pod prześcieradła.

Kiedy tydzień później wyprowadzała samochód z parkingu przed supermarketem, Johnny podszedł do niej i oparł się rękami o drzwi.

- Myślałem nad tym, Lukę - powiedział z tą swoją tak bardzo ją irytującą męską pewnością siebie. - Możemy się ochajtnąć.

- Zmywaj się, tandeciarzu! - odparła zimno i wystrzeliła gwałtownie z parkingu, niemal wyrywając chłopakowi ręce ze stawów.

Ostatecznie miała jeszcze wóz. Zanim wstąpiła do collegeu, zdobyła już sobie lokalną sławę. Co tydzień startowała w wyścigach Szlakiem Pastwisk z udziałem podrasowanych samochodów seryjnych. Jej zwycięstwa zaczęły się powtarzać z regularnością, która uczyniła z niej ulubienicę miejscowej społeczności. Zaczęto mówić z dumą o dziewczynie, która na trasie zostawiała za sobą nawet zawodowych kierowców.

Podczas swych pierwszych letnich wakacji wyszła za męża. Był to oczywiście kierowca wyścigowy. Miał metr dziewięćdziesiąt, kręcone czarne włosy i wesołe piwne oczy. Był też najlepszym kierowcą, jakiego spotkała. Pochodził z zachodniego Teksasu i mówiąc przeciągał głoski.

- Coś mi się widzi, że powinniśmy się przypasać, moja mała - powiedział spoglądając na nią z góry.
- Między nami wówiąc, to jesteśmy najlepsi na trasie.
- Czy mam rozumieć, że się chcesz ze mną ożenić? - zapytała, czując rosnącą falę podniecenia.
- Zgadza się - odparł. - To właśnie miałem na myśli. Rodzice byli temu przeciwni. Chcieli, żeby ukończyła

szkołę i została nauczycielką. Uważali, że na małżeństwo jest jeszcze o wiele za wcześnie. A wreszcie, jakie ją czekało życie? Wypełnione wólcęgą po całym kraju od jednej do drugiej podrzędnej trasy wyścigów samochodowych?

Nie był to jednak przekonywający argument, gdyż tak właśnie zamierzała egzystować. Tylko bowiem siedząc za kierownicą czuła, że naprawdę żyje. Tam wszystko i wszyscy stawali się sobie równi. A co dziwniejsze, całkiem nieźle na tym zarabiali. W ciągu roku Lukę uskładała w banku prawie piętnaście tysięcy dolarów.

I wtedy przyjechała policja, by zaarrestować jej męża za bigamię. Wyglądało na to, że miał już wcześniej trzy żony, z którymi zapomniał się rozwieść. W dwa tygodnie po zabraniu go do więzienia Lukę stwierdziła, że jest w ciąży. Tym razem urodziła. Był to chłopiec.

Zabrała dziecko do domu i oddała pod opiekę rodzicom. Następnie zaopatrzyła się w bilet lotniczy do Europy, gdzie kupiła Ferrari. We Francji wystartowała w samochodowym wyścigu kobiet i zwyciężyła. Nagroda nie była wysoka, ale teraz Lukę miała swoje Ferrari, a w banku dwa tysiące dolarów. I wreszcie skończyła z tanimi wyścigami. Od tej chwili interesowały ją tylko te największe.

W Monaco poznała swego Irlandczyka. Był dobrym kierowcą i bardzo lubił się śmiać. Miał tylko jedną wadę - zamiłowanie do hazardu. Za każdym razem, kiedy na niego spoglądała, robiło się jej gorąco. Tym razem nie wyszła za męża, choć równie dobrze mogła to uczynić. Podróżowali razem po całym świecie, wszędzie jeździli jak szaleńcy, a on wciąż miewał kraksy.

Zdarzyło się to w Meksyku, tuż przed startem do ostatniego wyścigu roku. Kiedy przed nią stanął, po raz pierwszy dostrzegła strach w jego oczach.

- Chodzi o dług karciany, kochanie - wyjaśnił - Jeśli go nie spłacę, zabiją mnie - załamał się i wybuchnął płaczem.

- He? - zapytała.

Spojrzał na nią z nagłą nadzieją w oczach niczym smagnięte batem szczenię.

- Dziesięć tysięcy dolarów - powiedział.

- W banku mam cztery. Sześć mogę pożyczyć pod zastaw samochodu - wyliczyła

Ujął jej dłoń i ucałował z wdzięcznością.

- Zwrócę ci - zaklinał się. - Zwrócę co do grosza. Nazajutrz poszedł z nią do banku, z którego podjęła pieniądze. Kiedy mu je wręczyła, umówił się z nią na obiad w hotelu. Nie ujrzała go już nigdy więcej.

Tego samego dnia około dziesiątej wieczorem rozeszła się po całym garażu wieść, że Irlandczyk uciekł z żoną innego kierowcy.

Nie wystartowała w tym wyścigu, bo bank zajął jej samochód. Siedziała właśnie w pokoju hotelowym, rozmyślając nad sposobami zdobycia pieniędzy na zapłacenie rachunku, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Podeszła do nich i otworzyła Ujrzała gustownie ubranego mężczyznę o dziwnie znajomej twarzy.

- Czy panna Nichols? - zapytał. Potwierdziła.

- Czy mogę wejść?

Cofnęła się do środka. Wszedł do pokoju, a ona zamknęła drzwi.

- Od dawna jestem pani wielbicielem. - powiedział. - Widziałem panią w wielu miejscach. We Włoszech, Francji, w Monaco. Słyszałem też o pani drobnym kłopotcie. I chciałbym służyć pomocą.

Otworzyła ponownie drzwi.

- Wynoś się pan - powiedziała. Z uśmiechem uniósł rękę.

- Nie tak szybko. Nie o to chodzi. Pani jeździ samochodami wyścigowymi, a ja mam taki wóz i chcę mieć kogoś, kto by go dla mnie prowadził.

Ponownie zamknęła drzwi.

- Gdzie jest ten samochód?

- W Acapulco - odpowiedział. - Stamtąd startuje rajd, który się kończy w Kalifornii. Zapłacę wszystkie pani tutejsze rachunki i dam tysiąc dolarów, jeśli przyprowadzi pani ten samochód do garażu na mecie rajdu. Jakąkolwiek zdobędzie pani nagrodę, może ją pani sobie zatrzymać.

- Gdzie tu jest haczyk? - zapytała. - Czy wóz jest nafaszerowany narkotykami?

Uśmiechnął się ponownie.

- Wszystko, co musi pani robić, to prowadzić samochód. I za to otrzyma pani zapłatę. - Wyjął cienkie włoskie cygaro i zapalił. - Nie musi pani wiedzieć nic ponad to.

Patrzyła na niego długo, uważnie. Albo przyjmie jego propozycję, albo będzie musiała zatelegrafować do rodzi-

ców po pieniądze. Nie chodzi o to, żeby jej odmówili, ale przyjęcie od nich pieniędzy byłoby równoznaczne z powrotem do domu i z ostateczną stratą szansy na zdobycie nowego samochodu - nie miałyby na to nigdy dosyć pieniędzy. Utkwiłaby tam na dobre.

- Zgoda - zdecydowała.

- Świetnie - uśmiechnął się. - Gdy jutro zejdziesz pani na dół, w recepcji będzie czekał przekaz. - Udzielił jej jeszcze kilku wskazówek i wyszedł, zanim zdążyła zapytać go o nazwisko.

Dopiero następnego dnia na pokładzie samolotu uświadomiła sobie, że widziała go już kiedyś w pewnej rzymskiej restauracji. Ktoś go jej pokazał.

- To jest Emilio Matteo - powiedział. - Jeden z trzech najważniejszych dzisiaj ludzi mafii. Stany wydalili go ze swego terytorium, ale nie wygląda na to, żeby przestał działać. Porusza się całkiem swobodnie.

W ciągu następnego roku widziała się z nim sześciokrotnie. Za każdym razem chodziło o wykonanie dla niego jakiegoś zlecenia. Tylko idiotka nie domyśliłaby się, że została posłańcem mafii. A ona idiotką z pewnością nie była.

Za każdym jednak razem jej konto bankowe powiększało się o kolejny tysiąc dolarów. Było ich tam już osiem. Jeszcze tylko pięć i zdobędzie swoje Ferrari.

Przez ten czas Lukę i Matteo zostali bliskimi przyjaciółmi. Z prasy wiedziała wystarczająco dużo, by mieć świadomość, że teraz prowadzi człowieka w objęcia śmierci. Nie miało to dla niej większego znaczenia. Tak często oglądała ludzi ginących w czasie rajdów. Ginących w rozbitych, straszliwie zniekształconych i płonących wrakach. Każdy musi kiedyś umrzeć. Jeśli się

siada za kierownicą, taką możliwość trzeba brać pod uwagę.

Tak przynajmniej myślała do czasu, kiedy spotkała Cesarego. Do czasu, kiedy poczuła płonącą żądzę w łonie i słabość w nogach; zanim poczuła ogień, jaki między nimi wybuchał na samo jego dotknięcie.

Rozdział 19

Cesare skończył się właśnie ubierać, kiedy weszła do jego pokoju. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Ileana! O szóstej rano już na nogach? Co ty wyprawiasz? Z uśmiechem zawiązywała szlafrok.

- Nie mogłam pozwolić, żebyś wyszedł bez moich życzeń sukcesu w rajdzie.

Uśmiechnął się do niej przelotnie i pochylił, sięgając po buty.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony. Dziękuję. - Wyprostował się, podszedł do niej i pocałował w policzek, po czym skierował się do drzwi.

W progu odwrócił się.

- Do zobaczenia wieczorem na obiedzie - rzekł odruchowo.

- Wieczorem na obiedzie? - zapytała zdziwiona. - Myślałam, że rajd potrwa dwa lub trzy dni.

Na jego twarzy pojawiła się irytacja.

- Oczywiście. Zapomniałem - rzekł pośpiesznie, zdając sobie sprawę, że popełnił mimowolny błąd.

Uśmiechnął się z wysiłkiem. - To dlatego, że przywykłem widywać się z tobą każdego wieczoru.

W jej umyśle zapaliło się słabe ostrzegawcze światełko.

Cesare nie należał do mężczyzn, którzy popełniają takie pomyłki.

- A czy to zły, czy dobry nawyk? - zapytała. Zaśmiał się.

- Sama mi powiesz po moim powrocie - odparł zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę stała nieruchomo, potem odwróciła się i weszła do sypialni. Na łóżku leżała otwarta walizka Cesarego. Podeszła do niej i zaczęła ją od niechcienia zamykać. Zobaczyła, że po wewnętrznej stronie wieka zwisa luźna kieszeń, Ileana pochyliła się, żeby ją rozprostować przed zatrzaśnięciem zamka

Ta szczególna trójkątna kieszeń zajmowała róg walizki. Wewnątrz niej była wszyta wąska pochwa. Ostatnio jej zawartość stanowił nóż. Ileana poznawała to po tym, że była napięta.

W pamięci mignął jej obraz Cesarego ze sztyletem w dłoni tego wieczora, kiedy ją zastał w swoim apartamencie. Do czego może mu być potrzebny taki nóż w rajdzie samochodowym?

Ponownie zapaliło się to samo małe ostrzegawcze światełko, co w chwili, gdy Cesare wspomniał o ich wspólnym dzisiejszym obiedzie. Może to rzeczywiście tylko pomyłka, ale może też rację mieli ci ludzie, którym nie wierzyła, kiedy ją przed tym ostrzegali.

Poczuła, że ogarnia ją panika. Nagle zrozumiała, w jakim celu Cesare zabrał ze sobą nóż. Otóż dziś wieczorem zamierza ją zabić.

Lukę ze swego miejsca rzuciła okiem na Cesarego. Prowadził rozluźniony, z lekkim uśmiechem na ustach

i z oczami ukrytymi za wielkimi czarnymi goglami. Pochyliła się, by sprawdzić tablicę rozdzielczą. Wskazówka tachometru stanęła na dwudziestu sześciu tysiącach obrotów na minutę, co się zgadzało z szybkościomierzem. Wskaźnik temperatury w normie, ciśnienie oleju na stałym poziomie, praca generatora i baterii prawidłowa. Gdyby tylko chcieli, mogliby tym samochodem przejechać i tysiąc mil.

Wzięli zakręt i znaleźli się tuż za dwoma innymi zawodnikami. Cesare spojrzął na nią.

- Może się trochę zabawimy, zanim zjedziemy z trasy? - zapytał przekrzykując hałas silnika.

Sprawdziła licznik. Byli w odległości sześćdziesięciu mil od startu. Zgodziła się.

Cesare wyszczerzył zęby w uśmiechu i przydusił pedał gazu. Znalazł się tuż za tymi dwoma, których wozy blokowały mu drogę. Zbliżył się jeszcze bardziej, tak że teraz jechał właściwie na ich tylnych zderzakach.

Spojrziała na niego. Jego usta rozciągnęły się, obnażając zęby w okrutnym uśmiechu. Spod gogli oczy promieniały złowrobną radością. Samochody przed nimi zaczęły wchodzić w zakręt.

Roześmiał się głośno i jeszcze bardziej zwiększył szybkość. Zerknęła na szybkościomierz.

Wskazywał teraz sto dwadzieścia, a igła przesuwiała się nadal. Lukę poczuła ciężenie, kiedy ich wielkie Ferrari wpadło w zakręt. Spojrziała nerwowo przed siebie. Jeśli tamci nie rozjadą się na boki, będą tu same trupy. Zanim zdążyła tak pomyśleć, Ferrari wsunęło się między dwa samochody. Ci z przodu rozstąpili się.

Cesare rozmyślnie rzucał swym Ferrari na boki. Lukę widziała, jak tamci dwaj, klnąc, walczą o utrzymanie się na

drodze. Wreszcie wszyscy wyszli na prostą i Ferrari znalazło się kilka metrów przed nimi. Cesare znów wybuchnął śmiechem i wcisnął pedał do oporu. Wskazówka szybkościomierza skoczyła do stu pięćdziesięciu i Ferrari zostawiło tamtych za sobą.

Lukę popatrzyła za nimi i uśmiechnęła się. Teraz już rozumiała, co miał na myśli Esteban, kiedy w garażu rozmawiał z nią o Cardinalim. Cesare wiedział przecież, że w tym rajdzie nawet nie dotrze do mety, a jednak jechał tak jak zwykle. Ale rzeczywiście umiał to robić. Esteban miał rację. Gdyby Cesare tylko chciał, mógłby być w tym najlepszy.

Poczuła, że położył rękę na jej dłoni, i odwróciła się do niego. Podniecona przysunęła się don odrucho. Cesare przeniósł jej rękę z fotela na swoje udo. Podniosła na niego wzrok. Zwrócił się ku niej; ich spojrzenia spotkały się, a na jego twarzy wykwitł drwiący uśmiech.

Żar rozpalonego uda przeniknął poprzez dłoń do całego ciała Luke. Uświadomiła sobie, że na myśl o tym, czego by mogła dzięki niemu doznać, przez chwilę ogarnia ją szaleństwo. Wbiła palce w mięśnie jego uda, czując, że paznokcie poprzez materiał spodni wrzynają mu się w ciało. Zapra gnęła zadać mu ból, zranić i cofnąć rękę.

Jedyną jego odpowiedzią był głośny śmiech. Luke poczuła, że jej dłoń zaczyna pulsować. Ze złością przeciągnęła paznokciami wzdłuż jego uda i cofnęła rękę. Odsunęła się. Przymknęła oczy z bólu, którego doznała w chwili, gdy straciła kontakt z jego ciepłem. Dla otrzeźwienia potrząsnęła głową. O co jej w końcu chodzi? Przecież w tym nie ma najmniejszego sensu. Czy ona doprawdy zawsze musi się dopraszać własnej klęski?

Luke spojrzała na licznik. Byli teraz sto mil od punktu startowego. Klepnęła go w ramię.

- Zaczynij zwalniać. Będzie lepiej, jak ci za nami nas wyminą.

Cesare kiwnął głową. Wielkie Ferrari powoli wytracało szybkość. Kiedy spadła do sześćdziesięciu mil na godzinę, wydało się im, że stanęli. W ciągu kilku minut tamte dwa wozy przemknęły obok nich, głośno wyjąc klaksonami.

Cesare potrząsnął głową.

- Zabawa skończona - powiedział.

- Nawet się na dobre nie zaczęła - odparła Luke ze wzrokiem utkwionym w liczniku.

Powoli zaczęła w nim wypełzać liczba sto piętnaście. Cesare zdawał się nie zwracać na to uwagi. Luke spojrzała na niego. Sześćdziesiąt mil na godzinę to było wciąż za dużo, nawet jeśli generator miał rozsadzić ładunek niewielkiej mocy; jeżeli jednak sądził, że ona w ostatniej chwili stchórzy, to był szaleńcem.

Na liczniku wyskoczyło sto piętnaście. Cesare roześmiał się i nacisnął pedał gazu. Wielkim samochodem szarpnęło do przodu. W tej samej chwili pod maską nastąpił niezbyt głośny wybuch, potem poczuli wstrząs i silnik zamarł. Jechali teraz szaleńczym wężykiem po powierzchni szosy. Luke widziała napięte mięśnie przedramienia Cesarego, kiedy walczył o unieruchomienie koła kierownicy, od czasu do czasu naciskając jednocześnie lekko hamulec, żeby zmniejszyć szybkość. Wreszcie samochód zaczął się toczyć powoli. Luke odetchnęła.

- No, a teraz, kiedy już pan miał swój ubaw, panie Cardinali - rzekła sarkastycznie - będzie chyba bezpieczniej, jeśli zjedziemy z drogi.

- Robi się - odparł i pokręcił kołem sterowym w kierunku pobocza. Uśmiechnął się do niej.

- Uważaj! Rów! - wrzasnęła, pierwsza spostrzegłszy niebezpieczeństwo.

Cesare ostro skręcił kierownicę, ale było już za późno. W rów wpadły oba prawe koła. Ciężki samochód opadł na piaszczyste podłoże i z wolna przekoziółkował na dach.

Cesare wysliznął się spod wozu. Stanął i ściągnął z głowy kask. Z silnika zaczęły się wydobywać cienkie smużki dymu. Spojrzał znów na kabinę.

- Luke! Nic ci się nie stało?

Jej głos dobiegł słabo z drugiej strony samochodu.

- Wszystko w porządku.

Obszedł samochód dookoła i uklęknął obok. Zajrzał pod spód. Luke trzymała ręce na oparciu fotela i wiała się w próbach wyjścia na zewnątrz.

- Na co czekasz? - ryknął na nią. - Jazda, wyłaż. W zbiorniku jest dwieście litrów benzyny!

Przerwała swą szarpaninę i popatrzyła na niego rozpaczliwie.

- A co ja według ciebie, do cholery, próbuję robić? Myślisz, że ćwiczę taniec brzucha? - odwarknęła i znów zaczęła się wiercić. Nagle wybuchnęła śmiechem. - Zaczepiłam o coś kombinezonem.

Położył się na ziemi pod nią.

- Dlaczego nie powiesz tak od razu? - Wyszczrzył w uśmiechu zęby. Wsunął ręce pod jej kombinezon i rozdarł go. Potem poczuła, że Cesare wsuwa jej dłonie pod pachy. - Zrzuć buty - rozkazał.

Odruchowo wykonała polecenie. Czują że ją wyciąga z kombinezonu i kładzie obok siebie na ziemi. Ciągle nie przestawała się śmiać.

Popatrzył na nią, a kąciki jego ust zadrgały w lekkim uśmiechu.

- Mówiłaś, że to takie praktyczne.

- Nie popisuj się - prychnęła.

- A kto tu się popisuje? - zapytał, obrzucając ją spojrzeniem.

Śmiech zniknął z twarzy Luke. Nagle uświadomiła sobie swoją nagość. Skąpy biustonosz i majtki niewiele zakrywały.

- Włożę kombinezon - powiedziała i odwróciła się, żeby po niego sięgnąć.

Ręka Cesarego opadła na jej ramię, przyszpilając ją do ziemi. Leżała bez ruchu, czując ciepło jego dłoni i wpatrując się w niego. Cesare poruszył drugą ręką i wyłuskał z biustonosza pierś dziewczyny. Luke spojrzała tam, a potem znów na niego, dziwnie podniecona widokiem ciemno opalanej dłoni na tle swej białej piersi.

- Przestań - powiedziała cichym głosem, czując już pulsującą żądzę. Tym razem nie zamierzała być łatwa.

Patrzył na nią rozpalonym wzrokiem. Poczwała się jak pod mikroskopem, tak jakby Cesare potrafił odczytać jej najskrytsze myśli i znał wszystkie targające nią uczucia.

- Wcale nie chcesz, żebym przestał - stwierdził. Silne palce niespodziewanie zgmiotły jej pierś, powodując ból, który ją wyrwał z otępienia.

- Zobaczysz, że przestaniesz! - krzyknęła, wpychając ręce pod jego rozpiętą koszulę, podczas gdy jej ciało wiło się w dzikich skrętach. - Rozedrę cię aż do żeber!

Kiedy jednak wyczuła pod palcami jedwabisty chłód jego skóry, żądza zawładnęła nią bez reszty, tak że poczuła się zupełnie bezsilna. Wsunęła mu jeszcze głębiej ręce

pod koszulę i przymknęła powieki. Cesare powstrzymywał ją ramieniem.

Otworzyła oczy, czując wzbierające łzy. To nie ma sensu. Niczego nie zmieni ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości.

- Pozwól mi siebie dotknąć, pozwól mi siebie wielbić - zebrała o łaskę.

A kiedy po chwili ją wziął, uświadomiła sobie, że przeczuwała to od samego początku. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie był w stanie tak idealnie się w nią wpasować, wypełnić bez reszty każdego zakątka jej umysłu i ciała, jak właśnie on.

Zamknęła oczy i rozpoczęła spokojny bieg przez leśny gąszcz w kierunku tej góry. Wiedziała, że zwierzę gdzieś tam jest, bo jego ciało w czarno-żółte pasy czaiło się na nią w zaroślach. Wdrapywała się teraz w szaleńczym pośpiechu na górę, z walącym sercem i szarpiącym płuca ogniem. I wreszcie znalazła się na szczycie, a pod nią wirował cały świat. Tym razem była przygotowana na skok bestii. Spleciona z nią w śmiertelnym uścisku poczęła się staczać w dół po zboczu góry.

Lukę miękko zaskowyczała.

- O! Tygrysie, tygrysie, tygrysie!

Cesare kopnięciem otworzył drzwi chaty.

- Nikogo tu nie ma - stwierdził. Weszła do środka. On poszedł jej śladem.

- Co robimy? - zapytał.

- Czekamy - odparła zwięźle.

Stało tam kilka zniszczonych krzeseł i stół. Podsunął jej

jedno z nich. Usiadła. Przypalił dwa papierosy i jeden podał Luke. Przyjęła go bez słowa.

- Jesteś bardzo milcząca - zauważył. Wydmuchnęła dym o cierpkim, orzeźwiającym smaku.

- A o czym tu mówić? - zapytała. - Zdobyłeś punkt.

- Uważasz, że o to właśnie chodziło? Przyjrzała mu się.

- A jaka to różnica? To się już więcej nie powtórzy.

- Zawsze jesteś taka wszystkiego pewna? Skąd możesz wiedzieć, co się zdarzy jutro?

- Jutro będę miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby sobie kupić Ferrari - powiedziała niemal z goryczą. - A my nie zobaczymy się już nigdy więcej.

- I to już jest wszystko, co ma dla ciebie znaczenie?

- zaśmiał się krótko. - Samochód? Ferrari nadaje się do wielu rzeczy, ale nie potrafi cię pokochać.

- Ty mówisz o miłości? - rzekła zjadliwie. - Zapominasz, że ja ciebie znam. Ilu kobietom to mówiłeś? Dziesięciu, dwudziestu, stu? A może więcej?

Jego oczy zasnuła mgła.

- Mężczyzna może żyć w wielu miejscach, a jednak żadnego nie nazwie swoim domem.

Z zewnątrz dobiegł odgłos samochodu. Luke wstała i minęła go, idąc w kierunku drzwi. Odwróciła się. Jej twarz była nieruchoma i pełna napięcia.

- A więc to koniec - rzekła zdecydowanym tonem.

- Powiedziałam już, że więcej nie będę przegrana;

- Tam, pod samochodem zmieniłaś zdanie - powiedział cicho.

- Zapłacono mi za to, co zrobiłam - odparła szorstko.

- Kazano mi tu ciebie zatrzymać - otworzyła z rozmachem drzwi.

Za nimi stało dwóch mężczyzn z rewolwerami wycelowanymi w Cesarego.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Rozumiesz, co mam na myśli? - zapytała, przesuwając się ostrożnie za tych dwóch, a potem dalej, w słoneczny blask. - Nie będziesz tu noszony na rękach.

Rozdział 20

Drzwi zamknęły się za nimi, odcinając pomieszczenie od promiennego dnia. Przybysze stali wpatrując się w Cesarego.

- A gdzie Matteo? - zapytał. Allie uśmiechnął się.

- Nie mógł przyjść, więc przysłał nas.

Mięśnie Cesarego napięły się, a w ustach poczuł nagłą suchość. Przesunął językiem po wargach. To nie miało najmniejszego sensu. Jego śmierć nie przyniosłaby Matteo żadnych korzyści. Ani też nikomu innemu.

- To na pewno jakaś pomyłka - stwierdził. Allie potrząsnął głową.

- Nie ma żadnej pomyłki. - Postąpił do przodu, machając rewolwerem. - Odwróć się twarzą do ściany i oprzyj o nią ręce. Powyżej głowy. Bardzo powoli.

Cesare obrzucił go spojrzeniem i nieśpiesznie wykonał polecenie. Poczul na sobie przesuwającą się ku dołowi rękę Alliego.

- Nie mam rewolweru - powiedział.

- Nie tego szukam - odparł szybko Allie.

Cesare czuł chłód sztyletu na skórze uniesionej nad głową ręki.

- Noża też nie znajdziesz - dodał. - Nie używam go do prowadzenia samochodu.

Allie cofnął się o krok.

- Myślę, że nie - zgodził się. - Zresztą nigdy ci już więcej nie będzie potrzebny.

Rewolwerowiec spojrział na niego.

- Rozwalić go teraz, Allie? - Z wolna unosił trzymaną broń.

Allie powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie. Mam swój własny plan. Ten facet dostanie coś ekstra.

Cesare zerknął przez ramię. Allie sięgnął do kieszeni. Widząc, że Cesare go obserwuje, wyszczerzył się w uśmiechu.

- Wiesz, co to jest, kochasiu? - zapytał unosząc w górę wyciągnięty z kieszeni przedmiot.

Cesare milczał, bo wiedział, co to takiego.

- To jest oskard do kruszenia lodu - wyjaśnił tamten wciąż szczerząc zęby. - Nie ma tak fikuśnej nazwy jak kosa, której ty używasz, ale dobrze spełnia swoją rolę. Wielki Holender mógłby ci coś o tym powiedzieć. - Błyskawicznie obrócił trzymany w ręku rewolwer i z zaskoczenia grzmotnął Cesarego kolbą w tył głowy.

Zamroczony osunął się na kolana, przesuwając rękami po ścianie. Usłyszał chrapliwy głos Alliego.

- Odwróć się, sukinsynu! Chcę, żebyś widział, co ci się przytrafia!

Obejrzał się z wolna. Potrząsnął głową. Odzyskał nieco zdolność widzenia. Patrzył na Alliego. A ten się nadal uśmiechał. Wpuścił pistolet do kieszeni

i przerzucił oskard do prawej ręki. Jego twarz znalazła się tuż obok Cesarego.

- Zaraz będziesz miał to w gardle! - warknął. Cesare widział, jak tamten zamierza się nań oskardem. Kiedy ostrze spadało w dół, rzucił się rozpaczliwie w bok, tak że oskard ominął go i utkwiał za nim, w zbutwiałym drewnie ściany. Cesare wyrzucił rękę, zadając Alliemu w krtani kąśliwy cios ze swego repertuaru dzudo.

Nie czekając na wynik ataku, skoczył poprzez pokój na rewolwerowca i zwałił się wraz z nim na podłogę, wytrącając mu z ręki broń. Dostrzegłszy kątem oka, że Allie ją podnosi, Cesare przekoziółkował i chwycił rewolwerowca, zasłaniając się nim jak tarczą dokładnie w momencie, kiedy Allie zaczął strzelać.

Ciałem mężczyzny targnęły trafiające go pociski. Po próbie uwolnienia się z chwytu Cesarego, zawisł bezwładnie w jego rękach. Zaczynał osuwać się na podłogę, więc Cesare zrobił ruch w stronę drzwi. Allie zaśmiał się.

- Aha, nic z tego, skurwielu! - Nacisnął spust. Nastąpił trzask iglicy w pustej komorze naboowej.

Allie

zaklął i cisnął rewolwerem w Cesarego. Odwrócił się i chwycił tkwiący w ścianie oskard. Wyciągnął go i stanął przodem do Cesarego w samą porę, by ujrzeć, jak tamten zbliża się do niego nieśpiesznie z połyskującym sztyletem w ręce.

Trzymając oskard w wysuniętej dłoni, zaczął się przesuwać wzdłuż ściany. Pamiętał o spoczywającym w kieszeni rewolwerze. Na jego ustach zaczął się pojawiać uśmiech, kiedy niepostrzeżenie wsunął tam rękę i do-sięgnął broni. Teraz już musiał tylko wybrać właściwy moment

Tkwiała w całkowitym bezruchu na przednim siedzeniu samochodu. Jej dłonie były tak mocno zaciśnięte na kierownicy, że aż pobiełały ich kostki, a wzniesione ponad szybę ochronną spojrzenie utkwiała w jakimś odległym punkcie przestrzeni. Dopiero gdy poczuła na gardle dotknięcie ostrza sztyletu, odwróciła głowę i ujrzała go.

Pochylił się ku niej. Jego usta rozciągnęły się w zwierzęcym grymasie, który mu zniekształcił napięte rysy twarzy. W błękitnych oczach odbijały się złote promienie słońca.

Oczy Lukę przez moment rozszerzyły się w wyrazie, którego nie zrozumiał, ale już po chwili stały się obojętne i czujne. Milczała.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał, nie cofając sztyletu. Spojrzała na niego z dołu. Głos Lukę był tak samo

pozbawiony wyrazu jak jej wzrok.

- Już ci powiedziałam. Takie było moje zadanie. Nie pytałam o nic Matteo. Czy ty zadawałeś mi pytania?

Zdało się, że w jego oczach zapłonęło żółte światło.

- To było co innego. Dotrzymałem złożonej przysięgi.

- Ja także - powiedziała. - Jedyne różnica to sposób, w jaki nam zapłacono za to, co zrobiliśmy.

- Powinienem cię zabić! - rzekł chrapliwie.

Poczuła na gardle nacisk ostrza. Zamknęła oczy i odchyliła głowę na oparcie fotela.

- No, jazda - ponagliła go znużonym głosem. - Jest mi naprawdę wszystko jedno. Moją wpadkę Matteo potraktuje co najmniej tak surowo jak twój sukces.

Nie odpowiedział, a milczenie, które zapadło, zdawało się trwać w nieskończoność. Nagle poczuła budzące się pożądanie, które przeniknęło jej ciało niczym gwałtowna fala gorąca. Oczami wyobraźni ujrzała tygrysa. W następnej chwili przestała panować nad orgiastycznymi konwul-

sjami, z których każda kolejna stawała się źródłem następnej, by ostatecznie bez reszty zawładnąć jej łonem.

- No, już! Skończ z tym! - krzyknęła jak szalona. Śmierć ujarzmiłaby także tygrysa.

Znów nie odpowiedział. Otworzyła oczy. Jego twarz była zlana potem, a ciałem wstrząsało drzenie, które udzielało się oparciu fotela. Doznała nagłego olśnienia - gdzieś głęboko w nim ujrzała odbicie siebie samej.

- O Boże! - krzyknęła słabym głosem, wyciągając ku niemu ręce. Tak bardzo byli do siebie podobni. Usłyszała odgłos spadającego na podłogę samochodu sztyletu i poczuła na szyi jego usta, które odnalazły i przykryły pocałunkiem małą krwawiącą ranę zadaną przez nóż. Niebezpieczeństwo i napięcie uleciały, służąc im obojgu w ten sam sposób: zaostrzyły apetyt tygrysa.

Zatrzymał samochód przed wejściem do hotelu.

- Zabierz swój bagaż i za dwie godziny spotykamy się na lotnisku - powiedział.

- Będziesz ostrożny? - zapytała patrząc mu w oczy. Kiwnął głową z przekonaniem.

- Zanim ktokolwiek się dowie, co się stało, będziemy już w drodze powrotnej do Nowego Jorku.

Muszę się jakoś skontaktować z Don Emiliem. On to wszystko wyprostuje.

Ścisnęła go za rękę i wysiadła. Odprowadziła wzrokiem oddalający się samochód i weszła do hotelu.

Przeszedł przez hol hotelu „El Ciudad” i dotarł do recepcji.

- Proszę o klucz - rzekł do stojącego tyłem urzędnika.

Recepcjonista odwrócił się.

- Książę Cardinali! - wykrzyknął z nutą zdziwienia w głosie. Sięgnął za siebie po klucz i położył go na pulpicie. - Ale przecież rajd...

Cesare przerwał mu.

- Spalił mi się generator.

- Tak mi przykro, senor - wyraził współczucie urzędnik. Wziął do ręki jakąś kopertę i wręczył ją Cesaremu. - Zostawiła to dla pana baronessa.

Cesare zajrzał do środka. Poznał pismo Ileany.

Przepraszam Cię, kochany, ale nie mogłam czekać na Twój powrót. Byłam zmuszona wyjechać do Nowego Jorku z pewnym bogatym Teksaszczykiem, który nalegał, żebyśmy się wybrali na zakupy przed nadchodzącym latem Ściskam Cię

Ileana

Cesare uśmiechnął się do siebie. Powinien był przewidzieć, że Ileana nie ma powodów, aby się z nim spotykać w Cuernavaca. Spojrzał na recepcjonistę.

- Kiedy wyjechała baronessa? - zapytał.

- Około jedenastej rano - odparł tamten z porozumiewawczym, sztucznym uśmiechem.

Cesare kiwnął głową i poszedł do windy. Zerknął na zegarek. W tej chwili Ileana prawdopodobnie była już w Nowym Jorku.

Rozdział 21

Baker pochylił się nad biurkiem i obserwował uważnie Ileanę.

- Dlaczego pani wróciła? Należało zostać przy nim.

- Powiedziałam już panu, że się zlekłam - spojrzała na niego nerwowo. - Coś mi mówiło, że zamierza mnie zabić, bo poznał prawdę.

- Co pani każe tak sądzić? - zapytał szybko Baker. - Czy może zdradził się jakimś słowem? Albo zauważyła pani coś szczególnego?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nic z tych rzeczy. Tylko ta kieszonka w walizce, o której już panu mówiłam. W chwili gdy jej dotknęłam, zrozumiałam, że jego dusza jest owładnięta obsesją śmierci. Stąd mój powrót

- Jednak sztyletu nigdy tam pani nie widziała - rzekł Baker. - Ja też mam taką kieszonkę w walizce. Wożę w niej szczoteczkę do zębów i brzytwę. - Rozległo się pukanie do drzwi. - Proszę! - krzyknął.

Wszedł jeden z agentów trzymając w ręce tekst z dalekopisu. Położył go na biurku przed Bakerem.

- Nadszedł właśnie z Mexico City - powiedział. - Znaleziono ciała Alliego Fargo i jakiegoś drugiego gangstera

w opuszczonym domu na pustyni około pół mili od miejsca, gdzie samochód księcia Cardinali zjechał z trasy. Ileana podniosła się poruszona.

- Widzi pan? Miałam rację! Baker spojrzał na nią.
- Zostając tam, dowiedziałyby się pani czegoś więcej na ten temat.
- Tak, ale możliwe, że także bym już nie żyła. Baker zwrócił się do agenta.
- Gdzie jest teraz Cardinali? - zapytał.

- W drodze do Nowego Jorku. Jego samolot ląduje na Idlewild dziś rano - odparł agent. - Jest w towarzystwie jakiejś kobiety.

Baker przeniósł spojrzenie na Ileanę.

- Kobieta? - zdziwił się. - Czy to jest powód pani powrotu?
- Niech pan nie będzie niemądry! - prychnęła. Baker poweselał.
- Obrazek zaczyna mi się składać w całość. Znalazł sobie przyjaciółkę i kazał się pani wynosić.

Ileana połknęła haczyk.

- To nieprawda. Znam tę dziewczynę. Ona jest jego mechanikiem.
- Jego mechanikiem? - powtórzył sceptycznie Baker.
- Tak. Nazywa się Lukę jakaś tam. Wynajął ją, bo jego stały mechanik zachorował.

Baker zwrócił się do agenta.

- Zadepesuj tam i zbring mi wszystko na jej temat.
- Tak jest, sir - odpowiedział agent - Czy chce pan, żeby zwinąć Cardinaliego po wylądowaniu samolotu?

Baker pokręcił przecząco głową.

- To nic nie da. Praktycznie biorąc, niczego na niego

nie mamy. Przygotuj tylko samochód dla mnie. Chcę zobaczyć, dokąd pojedzie po wylądowaniu.

Agent wyszedł, a Baker spojrzał przez biurko na Ileanę.

- Niech pani lepiej wróci do hotelu i trzyma się go najbliżej, jak to możliwe.

- Nie zrobię tego! - odparła szybko Ileana.

- On pani nie skrzywdzi dopóty, dopóki się nie dowie o nas. - Jego głos stwardniał. - Albo woli pani deportację.

- Lepiej być wydaloną niż martwą - odcięła mu się.

- Obraza moralności to dość poważny zarzut - ciągnął Baker. - Oznacza to, że już nigdy nie będzie pani wolno wjechać do tego kraju. No i jeszcze te niezbyt przyjemne wzmianki w prasie.

Popatrzyła na niego urażona.

- Europejczycy są bardziej wyrozumiali i mają świadomość, że nie wszystkie kobiety są stworzone do pracy. - Wyjęła papierosa i postukała nim nerwowo w blat biurka.

Baker podał jej ogień i odchylił się na krześle. Wiedział, że ma ją w ręku.

- Myślę, że i Amerykanie są tego świadomi - uśmiechnął się. - O tym przecież właśnie rozmawiamy.

Zaciągnęła się głęboko.

- Zaczynam nabierać przekonania, że seks jest uważany za coś zupełnie nieamerykańskiego!

Patrzył na nią uważnie przez chwilę, po czym pochylił się ku niej przez biurko.

- Pani się boi, prawda?

Spojrzała mu prosto w oczy i pokiwała ospale głową.

- Początkowo myślałam, że to tylko wielki żart. Teraz jednak widzę, że jest przeciwnie. Zaczyna mnie ogarniać prawdziwe przerażenie.

Wstał, obszedł biurko i stanął przed nią.

- Proszę spróbować, baronesso - powiedział powoli.

- Przrzekam, że zdejmemy panią stamtąd na pierwszy sygnał o jakichś kłopotach.

Młody agent zagwizdał na widok Lukę wsiadającej wraz z Cesarem do taksówki przed dworcem lotniczym.

- No, no! Ten gość nieźle sobie radzi z damami, prawda szefie?

Baker przytaknął. Patrzył na oddalającą się taksówkę.

- Lepiej ruszajmy - polecił.

Agent włączył się w strumień pojazdów. Jakiś inny samochód wcisnął się przed nich. Młody człowiek zerknął na Bakera.

- Chce pan, żebym go przeskoczył? Baker nie chciał.

- Nie, wszystko w porządku. Nie może się nam urwać na drodze szybkiego ruchu.

Jechali w milczeniu przez prawie dziesięć minut, aż zbliżyli się do zakrętu przy Zatoce Jamajskiej.

Bakera zaintrygował samochód jadący przed nimi. Wciąż oddzielał ich od taksówki Cesarego. Teraz zaczął zwiększać szybkość i przesunął się na lewe pasmo. Agent poczuł, że dzieje się tu coś niedobrego.

Zbyt długo pracował w tej branży, by lekceważyć przeczucia. Rozpiął płaszcz i poluzował rewolwer w olstrze.

- Trzymaj się tego wozu - polecił młodemu agentowi.

- Coś mi tu nie gra.

Agent posłusznie śmignął na lewe pasmo.

- Ten samochód dziwnie się zachowuje - stwierdził. Dobiegł ich stłumiony odgłos wybuchów. - Oni do niego strzelają! - krzyknął.

- Wciśnij gaz! - ryknął w odpowiedzi Baker, wyszarpując rewolwer. Wychylił się z okna i otworzył ogień do jadącego przed nimi samochodu.

W chwili, gdy przemknęli obok, taksówka Cesarego zjeżdżała na porośniętą trawą pobocze. Baker nie był w stanie dojrzeć, czy ktokolwiek z jej pasażerów został trafiony. Wystrzelił jeszcze raz.

Pocisk wybił otwór w tylnej szybie samochodu, dokładnie na wysokości głowy kierowcy.

Prowadzący opadł na koło kierownicy i samochód w szaleńczym pędzie skręcił do zatoki. Tuż przed jego dotarciem do wody Baker dostrzegł wywalającego się z otwartych drzwi człowieka.

Zahamowali na pasie trawy. Baker wyskoczył z samochodu i puścił się za uciekającym mężczyzną.

- Stój! - krzyknął, oddając ostrzegawczy strzał w powietrze.

Tamten obejrzał się. Baker dostrzegł, że w jego ręku coś błysnęło. Najpierw usłyszał wizg przelatującego pocisku, a dopiero potem huk wystrzału.

Baker rzucił się na ziemię. Mężczyzna znów począł uciekać. Baker mierzył nisko, by go trafić w nogi.

Nacisnął ostrożnie spust. Chciał mieć go żywego, zdolnego do mówienia. Pierwszy strzał był chybiony. Złożył się ponownie.

Tym razem mężczyzna runął jak długi głową do przodu i wielokrotnie przeokoziłkował po niewielkiej pochyłości. Do Bakera podbiegł młody agent z pistoletem w ręce.

- Nic się panu nie stało? Baker poderwał się na nogi.

- Nie.

- Ten w samochodzie nie żyje - oznajmił agent. Baker spojrział na niego.

- Sprawdź, co z drugim. Staralem się trafić go w nogi. Agent podbiegł do leżącego i pochylił się nad nim.

- Ten też! - krzyknął do Bakera.

Zasepiony Baker chował rewolwer do olstra. Z tyłu usłyszał głos Cesarego.

- Jest pan dobrym strzelcem, Baker - powiedział z uśmiechem.

Baker popatrzył na niego niemal z rozpaczą. Ten człowiek musi mieć chyba nerwy ze stali. Właśnie do niego strzelano, zginęło dwóch ludzi, a on miał tak spokojny głos jak podczas ich spotkania w biurze.

- Chyba mi pan tym razem nie powie, że to nie do pana strzelano, panie Cardinali? - zapytał, starając się mówić tak samo spokojnie.

Cesare wzruszył ramionami.

- Nie, tego nie powiem, panie Baker. - W jego oczach pojawiło się jakby drwiące wyzwanie. - Jedno bym tylko pragnął zrozumieć: dlaczego?

Baker popatrzył na niego chłodno. Poczuł, że opuszcza go chęć na owijanie w bawełnę.

- Domyślam się, że nie ma pan również pojęcia, dlaczego Allie Fargo został zabity w szopie leżącej o pół mili od miejsca, w którym pan zjechał z trasy rajdu w Meksyku?

Cesare uśmiechnął się.

- Nawet nie wiedziałem, że on został zabity. Nie przeglądałem gazet.

- Czy może się pan rozliczyć z czasu na trasie?

- Oczywiście że tak - odparł Cesare. - Ani na chwilę nie rozstawałem się z moim mechanikiem. Może go pan o to zapytać. Siedzi jeszcze w taksówce i poprawia makijaż.

- Ma pan duże szczęście w znajdowaniu kobiet dostarczających panu alibi - stwierdził sarkastycznie Baker.

Cesare wciąż się uśmiechał.

- Ogromne szczęście - potwierdził.

Baker gapił się jeszcze przez chwilę na Cesarego, kiedy podjechał do nich wóz policyjny.

- No to śmiało, niech się pan dobrze bawi, Cardinali - rzekł ze złością. - Ale proszę pamiętać, że nie zawsze będziemy pod ręką, żeby pana chronić!

Taksówka zahamowała przy krawężniku i Cesare wysiadł. Pochylił się do wnętrza samochodu.

- Poczekaj tu - powiedział do Luke. - Wpadnę na chwilę do biura.

Jego widok zaskoczył recepcjonistkę. Minął ją i poszedł do ogólnych pomieszczeń biurowych. Stała tam grupka pracowników skupionych wokół pojemnika z zimną wodą. Kiedy go ujrzeli, rozbiegli się do pulpitów. Skinął im głową i wszedł do swojego biura.

- Wejdz do mnie - rzucił w przelocie pannie Martin, mijając sekretariat.

Już w gabinecie zażądał od niej wyjaśnień.

- Co tam się dzieje? Dlaczego nikt nie pracuje? Panna Martin przyjrzała mu się uważnie.

- Czy u pana wszystko w porządku? - zapytała.

- Oczywiście że tak - prychnął.

- Bo właśnie usłyszeliśmy przez radio, że ktoś do pana strzelał w drodze do miasta - wyjaśniła.

- Czy to jest powód, żeby stać i nic nie robić? - zapytał ze złością. - Nie dostają pensji za ploty, tylko za wykonywanie swojej pracy.

- Ale oni nie mają nic do roboty - wtrąciła panna Martin.
- Co to znaczy „nic”? - popadał w coraz większą irytację.
- Dlaczego?

Wzięła leżący na biurku telegram i podała mu.

- Cofnięto nam wszystkie koncesje. Ta jest ostatnia. Telegram nadszedł przed godziną. Spojrzał na depeszę i wziął z biurka pozostałe telegramy. Ich treść była niemal indyferentna. Dwie spółki włoskie, dwie angielskie, francuska i szwedzka. Popatrzył pytająco na sekretarkę.

- Kiedy to się stało?

- Zaczęło się rano, po pana wyjeździe do Meksyku

- odparła. - Zupełnie tego nie rozumiem. To było niemal jak na komendę.

Ponownie wlepił wzrok w trzymane telegramy. Odrzucił je ze złością na biurko. A więc Rodzina była tak bardzo pewna jego śmierci, że uznała za zbędne przedłużanie koncesji dla jego firmy. Trzeba teraz nawiązać kontakt z Emiliem. Sprawy zaszły już zbyt daleko.

- Bardzo mi przykro, panie Cardinali - powiedziała pełna współczucia panna Martin. - Próbowałam się skontaktować, ale nie zastałam już pana w hotelu. Ja myślę, że wszystkiemu jest winna ta prasowa wrzawa.

Pozostawił to bez odpowiedzi. Zastanawiał się nad sytuacją. Ktoś będzie musiał przekazać wiadomość naczelnikowi poczty w jego rodzinnej wiosce na Sycylii. Cesare był pewien, że Matteo przebywa w Stanach, ale i przez dwadzieścia lat nie potrafiłby go tu odnaleźć. Jego rozmyślania przerwał głos sekretarki.

- Co pan zamierza teraz zrobić? - zapytała.

Gapił się na nią bezmyślnie.

- A co tu można jeszcze zrobić? - Wzruszył ramionami. - Wypłać im wszystkim odprawy i wręcz wymówienia. Powiedz też, że damy znać, jak tylko się wyjaśni sytuacja.

- Myśli pan, że to nastąpi? - zważyła.

- Nie wiem - odparł i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się i spojrzał na nią. - I mówiąc szczerze, mam to gdzieś!

Rozdział 22

Cesare obrócił klucz w zamku i otworzył z rozmachem drzwi.

- Wejdz - zachęcił Luke.

Przekroczyła próg apartamentu, a Cesare podążył za nią, zamykając za sobą drzwi. Z sypialni doleciał głos Ileany.

- Czy to ty, Cesare?

Spojrzał przelotnie na Luke. Jej twarz była pozbawiona wyrazu. Uśmiechnął się.

- Tak, to ja, Ileano - zawołał.

Jej głos ciągle dobiegał z sypialni.

- Nie wiem już doprawdy, dokąd zmierza ten świat! Wszyscy nadziani Teksańczycy, jakich spotykam, są albo żonaci, albo fałszywi. Ten ostatni tak naprawdę to chciał, żebym mu pomogła w zakupach dla jego żony!

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, widząc coraz bardziej tężejący wyraz twarzy Luke.

- To fatalnie, Ileano - powiedział.

- Nie słyszę, co mówisz - odrzekła. - Ale nieważne. Kazałam Toniowi schłodzić dla nas szampana.

Jest w komodzie. Bądź tak miły i nalej mi trochę. Będę za minutkę!

Cesare podszedł do komody, w której znalazł butelkę szampana tkwiącą w wiaderku z lodem. Obok stały dwa kieliszki. Uroczyście sięgnął po trzeci i postawił obok tamtych. Następnie otworzył butelkę i zaczął nalewać.

W progu pojawiła się Ileana zawiązując pasek szlafroka. Jej twarz promieniała uśmiechem.

- Nie mogłam się już ciebie doczekać... - Uśmiech zamarł na jej ustach, gdy ujrzała stojącą na środku pokoju Luke. Popatrzyła pytająco na Cesarego.

Ubawiony sytuacją, przenosił wzrok z jednej dziewczyny na drugą.

- O ile pamiętam, panie spotkały się dotychczas jedynie *en passant* - rzekł z uśmiechem. - Pozwolę sobie dokonać prezentacji.

Uczyniwszy to, wręczył im kieliszki z szampanem. Uniósł swój w geście toastu.

- Za naszą nową przyjaźń. - Śmiejąc się, upił z kieliszka. Ileana obrzuciła Luke lodowatym spojrzeniem i odwróciła się do Cesarego ze słodziutkim uśmiechem.

- Ona jest wprawdzie dość chuda, ale czy nie sądzisz, że mimo to twój apartament będzie trochę za mały jak na *menage a trois*? - zapytała po francusku.

Cesare odpowiedział w tym samym języku.

- Nie bądź taką jędzą, Ileano. Ona ma masę ukrytych zalet

- W to nie wątpię - odparła oschle. - Jeżeli jednak dyrekcja hotelu ma zastrzeżenia co do wizyt indywidualnych, to jak według ciebie oceni taką sytuację? Chyba że im powiesz o swym nawróceniu na islam?

W tym momencie przyszedł mu do głowy pomysł na skontaktowanie się z Emiliem. Uśmiechnął się szeroko.

- To nie będzie ich zupełnie obchodziło - mówił dalej

po francusku. - Ponieważ już im powiedziałem, że dziś wieczorem lecisz do Włoch, a ona zajmie twój pokój! Wlepiała w niego wzrok.

- Nie zrobię tego! - zawołała ze złością po francusku. - Nie odstąpię ani na krok, żebyś się nie mógł gzić z tą suką! - Cisnęła w niego kieliszkiem i trzasnąwszy drzwiami, wróciła do sypialni.

Szkoło rozbiło się o komodę na drobne kawałki. Cesare popatrzył na te szczątki, po czym podniósł wzrok na Luke.

- Ileana jest bardzo porywcza - rzekł przechodząc na angielski.

- Najważniejsze jest to, że wyjedzie, prawda? - zapytała najczystsza francuszczyzną.

Spojrzał na nią uważnie i roześmiał się.

- Rozumiałaś?

Luke odpowiedziała mu uśmiechem.

- Co do słowa - potwierdziła. - Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie - rzekła poważniejąc. - Czy ona wyjeżdża?

- Oczywiście że tak - odparł z przekonaniem Cesare, nie przestając się uśmiechać. - Jesteśmy z Ileaną starymi przyjaciółmi. Ona robi dla mnie wszystko.

Tonio odłożył słuchawkę i wrócił do jadalni. Spojrzeli na niego pytająco.

- Dzwonili z biura lotów, Eksceleńco - wyjaśnił. - Potwierdzili rezerwację dla baronessy na dziś wieczór.

- Dziękuję ci, Tonio - odparł Cesare.

Ileana odczekała, aż służący wyjdzie z pokoju, i zwróciła się do Cesarego.

- Nie zrobię tego! - powiedziała ze złością. - Nie obchodzi mnie, co sobie o tym pomyślisz. Nie pojedę!

Cesare patrzył na nią uporczywie. Kątem oka dostrzegął, że Luke spogląda na niego znacząco. Zaczął popadać w irytację.

- Ileano, zrobisz to, o co cię proszę. - Jego głos nabrał ostrych tonów. - A może wolisz, żeby władze imigracyjne dowiedziały się, że tak naprawdę wcale u mnie nie pracujesz?

Ileana rzuciła okiem na Luke, która siedziała ze wzrokiem wbitym w talerz.

- Dlaczego nie wyślesz jej? - zapytała Ileana pełna oburzenia.

Wiesz dobrze, że nie mogę - odwarknął Cesare. - Byłaby wystawiona jak na widelcu. No dobra, kończ jeść i pakuj się. Samolot do Rzymu wylatuje o północy.

Rozzłoszczona Ileana rzuciła łyżkę na stół i jak burza ruszyła od stołu. Usłyszeli jeszcze trzaśnięcie zamykających się za nią drzwi.

Luke oderwała wzrok od talerza. Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech.

- Ileana robi dla mnie wszystko - powtórzyła sarkastycznie jego słowa.

Cesare zerknął na nią spode łba.

- Przymknij się! - burknął wściekły. - Przecież w końcu jedzie!

Ileana zamknęła drzwi swego pokoju, szybko podeszła do telefonu i podała żądany numer. W słuchawce odezwał się jakiś głos.

- Z panem Bakerem proszę - powiedziała. Podeszedł do telefonu.

- Słucham?

- On mnie wysłał na Sycylię, panie Baker - rzuciła pośpiesznie ściszone głosem. - Do swojej rodzinnej wioski. Mam się spotkać z naczelnikiem poczty i przekazać mu wiadomość.

W głosie Bakera pojawiło się zainteresowanie.

- Jaką wiadomość? - zapytał.

- Mam powtórzyć zdanie: „Przełącz mojemu wujowi, że muszę się z nim zobaczyć” - zacytowała. - Potem mam czekać w hotelu na odpowiedź, którą mi przyniesie naczelnik.

- Brawo! - rzekł Baker. - Nareszcie ruszamy z miejsca. Ileana poczuła rosnący lęk.

- Brawo? To wszystko, co ma pan do powiedzenia, panie Baker? Być może pan o tym nie wie, ale wuj Cesarego nie żyje już prawie od dwunastu lat! Nie przesyła się wiadomości nieboszczykowi!

- Proszę się nie obawiać - rzekł uspokajająco. - Wuj, dla którego jest przeznaczona ta wiadomość, ma się doskonale. W Rodzinie każdy nazywa tak swego opiekuna.

Ileana jeszcze bardziej ściszyła głos.

- Jeśli wiadomość, którą mam przekazać, jest przeznaczona dla mafii, to ja się naprawdę boję, panie Baker. Przecież oni mnie mogą zabić bez najmniejszego wahania!

- Mówiłem już, żeby się pani nie martwiła. - Baker wciąż starał się ją uspokoić. - I w samolocie, i wszędzie, gdzie się pani znajdzie, będzie w pobliżu nasz człowiek. Podobno lubi pani bogatych Teksaszczyków? Niech się więc pani za kimś takim rozejrzy na pokładzie samolotu.

Odłożyła powoli słuchawkę na widełki i zapaliła papierosa. Podeszła do oszklonych drzwi, otworzyła je i mimo

chłodu wyszła na taras. Popatrzyła z góry na zimową noc rozmigotaną lodowatymi światłami miasta. Z dołu dobiegły ją czyjeś głosy. Zaciekawiona wyjrzała poza balustradę. Głosy nie pochodziły z ulicy, lecz z piętra niżej, z balkonu, który w stosunku do jej tarasu był wysunięty do przodu. Stało tam dwoje młodych ludzi połączonych gorącym uściskiem.

W mroku nocy Ileana widziała białą, wzniesioną ku górze do pocałunku twarz dziewczyny.

Wyglądało na to, że oboje nie czują zimna. Ileanę przeniknął lekki dreszcz, więc zawróciła do pokoju i dokładnie zamknęła za sobą drzwi.

Od bardzo już dawna nie było jej dane przeżywać czegoś takiego jak to, co ujrzała na dole.

Zastanowiła się przelotnie, czy jeszcze kiedykolwiek dozna podobnego uniesienia, i nagle uświadomiła sobie, że na zawsze utraciła zdolność przeżywania takich stanów. To już minęło -umarło w sypialni jej matki, wtedy, gdy Ileana miała dziewiętnaście lat.

Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślała o swych rodzicach. O nieszczęsnym, zagubionym papie i o Milutkiej, również na swój sposób zagubionej matce. To dziwne, ile czasu musiało upłynąć, zanim potrafiła zrozumieć tych dwoje.

Dopiero teraz, kiedy nie miała do kogo przylgnąć ani kogo pokochać - dopiero teraz odnalazła więź z rodzicami; poczuła się też tak jak oni zagubiona. Z oczu Ileany trysnęły łzy. Łzy żalu za bliskimi, którzy odeszli.

Rozdział 23

Baker przechylił się przez biurko i spojrział na kapitana Stranga.

- Wydaje mi się, Dan, że wreszcie ruszyliśmy z miejsca. Cardinali prosi swego wuja o spotkanie. Jeśli ono się odbędzie i jeśli jego wujem jest ten, o kim myślę, to uchylimy wieka tego kufra!

Policjant uśmiechnął się.

- Już najwyższy czas. Ale co będzie, jeśli gang pierwszy dopadnie Cardinaliego?

Baker pokiwał w zamyśleniu głową.

- Nie możemy do tego dopuścić. Stawka jest zbyt wysoka.

- Nie możesz być przy nim zawsze wtedy, kiedy zaczynają do niego strzelać - powiedział szybko Strang.

- Wiem - przyznał Baker. - Ale mam pewien plan.

- No to go wysłuchajmy - rzekł Strang.

Baker podniósł na niego wzrok, a w jego głosie zabrzmiała nuta konfidencji.

- Niech to pozostanie między nami. Szef tego nie lubi, bo nie jest całkiem zgodne z regulaminem.

Na twarzy Stranga znów pojawił się uśmiech.

- Zaczyna mi się to podobać - stwierdził. - A przecież jeszcze nawet nie wiem, o co chodzi.
- Musimy go zapędzić do jakiejś kryjówki - oznajmił Baker. - Rozpocznemy całą kampanię. Co godzina telefon. Groźby. Polecimy go śledzić agentom o wyglądzie najgorszych zbirów, tak żeby ich mógł łatwo zauważyć. Pomyśli, że to faceci z gangu. Musi pęknąć i gdzieś się zaszyć. Choćby tylko po to, żeby dożyć do tego spotkania.

Strang popatrzył na niego w zamyśleniu.

- To może zadziałać.

- To musi zadziałać! - zawołał Baker. - A kiedy już go wreszcie przyszpilimy, założymy kocioł, który będzie działał na dwa sposoby. Nikt bez naszej wiedzy ani z niego nie wyjdzie, ani do niego nie wejdzie.

Strang popatrzył na niego znacząco.

- Co oznacza, że jeśli to schrzanimy, możemy się pożegnać z naszą robotą.

Baker kiwnął potakująco głową.

- Tak, wiem o tym.

- No to widzę, że mu naprawdę nie popuścisz - rzekł Strang.

- Ani myślę - przyznał Baker. Ogarnęło go tak silne podniecenie, że wstał gwałtownie z fotela i podszedł do okna. Kiedy znów zaczął mówić, głos mu drżał. - Jestem w stanie zrozumieć większość tych facetów. Znam miejsca, z których pochodzą. Wiem, że zaczynali od absolutnego zera, i rozumiem dlaczego i w jaki sposób ulegli złu. Ale tego jednego jedyne gościa nie potrafię rozgryźć. Zaczął mając wszystkiego w bród. Z tego, co wiemy, nie brakowało mu niczego. Może go to rajcuje, a może lubi zabijać. Nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno. Jeśli nie znajdziemy sposobu, żeby go powstrzymać, to zginie

jeszcze wielu innych ludzi. Nie tylko gangsterów, ale także osób niewinnych, jak ta dziewczyna na Florydzie. Trudno przewidzieć, kiedy się taki psychopata zatrzyma!

Strang westchnął lekko. Wyciągnął fajkę, wystukał ją w popielniczkę i tak opróżnioną wetknął do ust. Spojrzał na Bakera. Igrający w jego oczach uśmiech klócił się z pełnym zdecydowania głosem.

- Siedzę już w policji od trzydziestu lat - powiedział - i tak naprawdę nigdy nie zateśniłem do jakiejś spokojnej roboty!

Zadzwoił telefon. Cesare podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

- Słucham, Cardinali.

Głos z tamtej strony był brutalny i chrapliwy. Cesare nigdy go przedtem nie słyszał.

- Cardinali? - zachrypiał złowroźbnie. - Sztylet przestał już być potrzebny. Dostaniemy cię prędzej czy później. Dlaczego nam to utrudniasz?

W słuchawce zapadła cisza. Cesare niecierpliwie po-stukał w widełki.

- Halo! Kto mówi? Kto mówi?

Nie było odpowiedzi. Położył słuchawkę i wrócił do kanapy, na której siedziała Luke. Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Co to było?

- Ostrzeżenie - odpowiedział. - Chyba jakiś podrzędny oprych.

Pokiwała w zamyśleniu głową.

- Oni zawsze tak zaczynają. Już to kiedyś widziałam. Będą próbowali wykończyć cię psychicznie.

Cesare wpadł w złość.

- Jeśli myślą, że zastraszą mnie telefonami, to się przekonają, że nie jestem jedną z tych kanalii, z jakimi mają do czynienia na co dzień. - Zdenerwowany skierował się do drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytała Luke. Odwrócił się.

- Na dół. Muszę dopilnować, żeby Ileana wsiadła do samolotu. Może chcesz pójść ze mną?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, dzięki - odparła. - Jakoś przeżyję bez pożegnania twojej przyjaciółki.

Kiedy Cesare wyszedł, sięgnęła po drinka.

Uśmiechając się do siebie, Cesare wyszedł z budynku włoskich linii lotniczych i ruszył w kierunku parkingu, na którym zostawił samochód. Nie ma powodów do obaw o Ileanę. Wiadomość zostanie przekazana.

Było w niej jednak coś szczególnego. Czy jakakolwiek inna kobieta, znalazłszy się w podobnej sytuacji, myślałaby o szukaniu okazji do podrywu? Roześmiał się prawie w głos na myśl o tym, w jaki sposób wyłowila tego młodego człowieka. Rozpoznała go po białym Stetsonie. Oczywiście okazał się bogatym Teksaszczykiem. Zanim samolot wylądował, młodzieniec będzie o wiele uboższy.

Wszedł na teren parkingu i ruszył wzdłuż rzędu samochodów. Z powodu późnej pory nie było zbyt wielu parkujących. Dobiegł go odgłos kroków zgodnych z rytmem jego marszu. Zatrzymał się na chwilę i obejrzał za siebie.

Nie było nikogo. Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Ponownie usłyszał czyjeś kroki. Przystanął, żeby zapalić papierosa Tamten odgłos również się urwał. Z zapalonym papierosem znów ruszył przed siebie.

W chwilę później wszystko się powtórzyło. Było to powolne, ciężkie stąpanie. Teraz nabrał już pewności, że jest śledzony. Szedł coraz wolniej, chcąc się przekonać, czy tamten uczyni to samo. Tak też się stało.

Był już niemal przy swoim samochodzie. Zwolnił sprężynę i sztylet znalazł się w jego dłoni. Poczul uspokajający chłód metalu. Wszedł między dwa pojazdy i gwałtownie się odrócił trzymając w ręku nóż skierowany ostrzem ku górze.

- Kto tam? - Jego głos odbił się dziwnym echem na pustym parkingu.

Odpowiedziała mu cisza. Poczekał chwilę. Żadnych odgłosów. Musiał zatem słyszeć echo własnych kroków. Sztylet wrócił do pochwy. A więc dał się wyprowadzić z równowagi tym głupim telefonem. Wsiadł do samochodu i zaśmiał się do siebie, czując opuszczające go napięcie.

Włączył silnik. Jak zwykle po przeżyciu niebezpieczeństwa poczul lekkie mrowienie w lędźwiach. Pomyślał o czekającej na niego w hotelu Luke. Cieszył się, że dziewczyna zostanie z nim na noc. Potrzebował kogoś takiego jak ona. Luke pomoże mu się odprężyć.

Włączył bieg i wyjechał z parkingu. Znał ten typ kobiet, ale jednocześnie wiedział, że Luke nie należała do tych, które idą do łóżka z każdym spotkanym mężczyzną. Miała swój własny system motywacyjny. A znalezienie tego, czego pragnęła, działało niczym czarodziejski klucz do jej własnego ciała, tak że traciła zdolność panowania nad targającymi nią namiętnościami.

Potem następował etap walki o zdobycie przewagi nad partnerem. Najpierw seksualnej - poprzez stawianie mu coraz większych, niemożliwych do spełnienia wymagań. Tu uśmiechnął się. Właśnie teraz są w tym stadium. Później pojawią się inne ambicje - żądanie uznania, że swą pracą i osiągnięciami dorównuje mężczyznom, a w końcu oczekiwanie hołdu dla samej kobiecości, która z natury jest czymś lepszym niż męskość.

Tego Luke nie osiągnie nigdy. Ani z nim, ani z nikim innym, gdyż nie miała zwyczaju zadawać się z mięczakami, do których czuła jedynie pogardę. Ostatnim punktem jej programu jest żądanie zerwania. To udawało się jej zawsze.

Pozwalało bowiem oczyścić się wewnętrznie i uspokoić sumienie, tak aby w przyszłości z podniesionym czołem mogła rozpocząć cały cykl od początku. Kiedy więc już będzie po wszystkim, Cesare bez trudności zrobi to, co myśli zrobić. Zresztą w pewnym sensie sama się o to prosiła. Do tego czasu on również osiągnie odpowiedni stan ducha - będzie nią przesycony i znużony.

Wtedy wróci Ileana. Na myśl o niej rozpogodził się. Możliwe, że wezmą ślub. Czas już pomyśleć o przedłużeniu nazwiska. Połączenie tych dwóch rodów byłoby bardzo korzystne, no a poza tym Ileana jest Europejką.

Europejczycy są od Amerykanów o wiele uczciwsi i mają znacznie większe poczucie realizmu. Przy pełnej kompleksów Luke Ileana ze swą prostotą i otwartością przypomina licealistkę.

Rozdział 24

- No to mamy za sobą dwa dni - rzekł Strang. - I jak myślisz, jak nam idzie?

Baker wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Teraz Cardinali po podniesieniu słuchawki rozłącza się, zanim mu powiemy połowę tego, co miał usłyszeć. - Wyjął papierosa i zapalił. - A jak twoi ludzie w terenie?

- Wymieniałem ich już sześć razy - odparł Strang.

- Mówią, że zaczął być nerwowy. Jak zawsze w takich wypadkach. Ogląda się za siebie, sprawdza, czy nic mu nie grozi, kiedy ma zamiar gdzieś wejść czy wyjść.

- A co z dziewczyną? - zapytał Baker.

- Sprawia wrażenie, że jest w lepszej formie - odrzekł Strang. - Nie odstępuje go ani na krok. Może jednak nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje.

- Dostałem raport na jej temat - oznajmił Baker. - Wygląda na zupełnie czystą. Jest kierowcą wyścigowym, i z tego, co wiemy, całkiem niezłym. W zeszłym roku miała pecha i straciła samochód. Teraz zbiera pieniądze na nowy.

- To nam niewiele daje - ocenił Strang. - Nie wyjaśnia gotowości, z jaką dostarczyła mu alibi w sprawie tego wypadku na meksykańskiej pustyni.
- Zdaje się, że ona cholernie chce tego samochodu - rzekł Baker. - A on może go jej dać.
- Teraz akurat nie może - wtrącił Strang. - Dowiedzieliśmy się właśnie, że cofnięto mu koncesje na handel samochodami.
- Wszystkie? - zapytał Baker. Strang kiwnął głową.
- Tak. Zastanawiam się, czy to ma jakieś znaczenie.
- Może mieć - odrzekł Baker. - Będę to musiał sprawdzić. - Zadzwoił telefon, więc podniósł słuchawkę. - To do ciebie - powiedział, oddając ją Strangowi.
- Strang słuchał przez chwilę i odłożył słuchawkę na widełki.
- To jeden z moich ludzi. Cardinali i dziewczyna weszli właśnie na lunch do restauracji w pawilonie przy Pięćdziesiątej Siódmej.
- Baker uśmiechnął się i sięgnął po telefon.
- Pora na następną rozmowę - rzekł do Stranga. - Przywołaj pana Cardinali do telefonu w restauracji i puść mu tę płytę jeszcze raz.
- Mówię ci, że ten człowiek nas śledzi - upierał się Cesare. - To ten sam, którego już raz widziałem.
- Luke spojrzała na niego.
- Jesteś pewien, Cesare? Ja nikogo nie zauważyłam.
- Wyszedł wtedy zza rogu na Park Avenue, jestem tego pewien. - Cesare umilkł, gdyż kelner przyniósł im drinki.

Pili w milczeniu koktajle, czekając na odejście kelnera. Luke położyła dłoń na jego ręce.

- Musisz koniecznie trochę odpocząć - powiedziała łagodnie. - Ostatniej nocy nie zmrużyłeś oka.

- Jak można spać przy ciągle dzwoniącym telefonie? - zirytował się Cesare. - Zanim w końcu zdjęliśmy słuchawkę z widełek, były cztery telefony.

- Ja bym w ogóle wyłączyła telefon - powiedziała Luke.

- Co by oznaczało, że zdołali wyprowadzić mnie z równowagi - stwierdził Cesare. - O to im przecież chodzi.

Do stolika podszedł kelner z aparatem telefonicznym. Skłonił się.

- Do pana, księżę Cardinali. Cesare zerknął na Luke.

- W porządku. Odbiorę - rzekł do kelnera.

Ten pochylił się ponownie i wetknął wtyczkę do gniazka w podłodze tuż za nimi. Cesare wziął od niego aparat.

- Słucham, Cardinali - powiedział do słuchawki. Luke widziała, jak w miarę słuchania twarz Cesarego tężeje. Odłożył słuchawkę bez słowa. Widząc pytanie w jej oczach, kiwnął twierdząco głową.

- To samo - rzekł ponuro, sięgając po kieliszek. - Widzisz teraz, że nas śledzą. Wiedzieli, gdzie dzwonić.

Telefon zadzwieczał, kiedy wchodzili do apartamentu. Tonio wyprzedził ich i podjął słuchawkę.

- Mieszkanie księcia Cardinali - oznajmił. Spojrzał na nich. - Proszę chwilę poczekać, zobaczę, czy jest w domu.

Odłożył słuchawkę i podszedł do nich.

- To do pana, Ekscelencjo. Ten signor nie chce podać swego nazwiska. Mówi tylko, że ma dla pana ważną wiadomość.

- Dobrze, odbiorę - rzekł Cesare i podążył do aparatu. Słuchał w milczeniu; przez ten czas Tonio wybiegł z pokoju. Nagle, z grymasem wściekłości na twarzy, Cesare wyrwał przewód z gniazdka i cisnął aparatem przez długość salonu. - Przeklęte narzędzie tortur! - krzyknął, trafiając w wazon. Rzucił się na kanapę. Do pokoju wpadł z powrotem Tonio z wyrazem przerażenia na swej małej okrągłej twarzy.

- Uprzątnij ten śmietnik! - Cardinali rzucił krótko służącemu.

- Tak, Ekscelencjo, już się robi, Ekscelencjo - powtarzał drobny człowieczek, krzątając się żwawo po pokoju.

Cesare pochylił się do przodu i oparł głowę na rękach. Luke podeszła do niego z tyłu i pełna współczucia zaczęła masować mu kark.

- Uspokój się - powiedziała. - To nic nie pomoże. Przygotuję ci coś do picia.

Podeszła do komody, z której wyjęła dzin i wermut. Zrobiła szybko Martini i naląła. Rozejrzała się za tonikiem. Europejczycy lubią Martini z odrobiną goryczki.

Nie znalazła go na otwartych półkach, więc przekręciła kluczyk tkwiący w niewielkich drzwiczkach z tyłu komody. Stała tam mała ciemna buteleczka. Trzymając ją w ręku, odwróciła się do niego.

- Trochę toniku? - zapytała. Wlepił wzrok w jej rękę.

- Skąd to wzięłaś? - zapytał ostro.

- Stamtąd. - Wskazała za siebie. - Wiem, że lubisz...

- Schowaj to z powrotem - nakazał szorstko. -1 trzymaj się z daleka od zamkniętych drzwi.
- Nie musisz mi od razu urywać głowy - odcięła mu się ze złością, zamykając na powrót butelkę w komodzie.

Cesare lekko się odprężył.

- Wybacz, kochanie - przeprosił ją. - Toniki stoją na półce za barem.
- A co jest właściwie w tamtej butelce? - zapytała, podając mu drinka.

Upił trochę i spojrzał na nią.

- Trucizna. Niestety, nie mogę jej powiesić na ścianie razem z inną bronią - powiedział. - Dostałem ją od pewnego florenckiego chemika. Prowadził badania nad truciznami, które stosowała Lukrecja Borgia. Wystarczy kilka kropli i nie ma już żadnego ratunku. Ten chemik twierdzi, że ich wiedza w tej dziedzinie była jak na tamte czasy niesamowita.

Zaintrygowana spojrzała w kierunku komody.

- Nie czułabym się pewnie, mając coś takiego w pobliżu.

Dokończył drinka.

- Jest wystarczająco zabezpieczona. Nikt nigdy nie otwiera tych drzwiczek, nawet podczas sprzątanania
- Położył głowę na oparciu kanapy i zamknął oczy. - Czuję się bardzo zmęczony - powiedział.

Pogłaskała go po czole.

- Wiem, mój kochanku - rzekła czule. - Gdyby tylko było jakieś miejsce, do którego moglibyśmy pójść, miejsce, w którym nikt by nas nie znalazł aż do powrotu Ileany!

Cesare odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią z dołu. Z jego twarzy zniknęło całe napięcie.

Uśmiechnął się.

- Otóż to! - wykrzyknął. - Dlaczego o tym nie pomyślałem? Znam przecież takie miejsce. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, żeby nas tam szukać!

Odpowiedziała mu uśmiechem. Poczła ogarniające ją uczucie błogości. Pomyślała z dumą, że Cesare właśnie zaczął sobie uświadamiać, jak bardzo mu jest potrzebna, i że to dopiero początek.

Detektyw sierżant McGowan spojrział na zegarek. Była prawie jedenasta. Do pojawienia się zmiennika pozostała jeszcze godzina. Zimna noc zmuszała go do przytupywania. To była jedyna paskudna rzecz w tej całej robocie. Przed hotelem warował od czwartej po południu.

Nie było zresztą tak źle. Przynajmniej nie musieli pozostawać niewidzialni, tak jak to bywało w innych wypadkach. Na tym polegał cały dowcip tego zawodu. W telewizji samotny detektyw śledził podejrzanego do samej jego sypialni, do końca pozostając nie zauważony. W życiu wyglądało to trochę inaczej. Do tego zadania kapitan przydzielił sześciu ludzi. Po jednym na każde wyjście z tego wielkiego hotelu oraz dwóch ustawicznie krążących samochodem wokół całego bloku dla utrzymania stałego kontaktu i służenia pomocą w razie potrzeby.

Samochód ten, oddalając się od niego, skręcał właśnie w Lexington, kiedy McGowan rzucił okiem na wyjście i zobaczył, że tych dwoje opuszcza hotel.

Dziewczyna niosła małą walizkę, a trzymający ją pod ramię mężczyzna rozejrzał się szybko wzdłuż ulicy i ruchem ręki odprawił taksówkę. Ruszyli szybkim krokiem w kierunku Lexington.

McGowan podążył za nimi. Takie jego szczęście,

że właśnie teraz zachciało się im pryskać. W takim układzie z pewnością nie wróci do domu przed szóstą rano.

Na skrzyżowaniu przeszli przez ulicę i ruszyli w górę Pięćdziesiątej Pierwszej. McGowan poszedł za nimi i zobaczył, że mężczyzna obejrzał się. Detektyw nie próbował się kryć. Nie miał takiego polecenia. Tamci skręcili za róg i zeszli w dół do stacji metra.

McGowan puścił się biegiem i dopadł szczytu schodów akurat w chwili, kiedy rozległ się hałas wjeżdżającego na stację pociągu. McGowan zbiegał po dwa stopnie na raz. Kapitan nie byłby zachwycony, gdyby wywiadowca pozwolił im się teraz urwać.

Kiedy zbiegłszy po schodach, już na samym dole, brał na dużej szybkości zakręt, kątem oka uchwycił jakiś cień. Wykonał półobrót i dostrzegł opadającą na niego jak topór płasko ustawioną dłoń. Spróbował się uchylić, ale w tym momencie poczuł w ramieniu rozdzierający ból i osunął się na kolana.

McGowan nie stracił całkowicie przytomności, jednak przed oczami widział błyski światła, a w mózgu huczał mu dzwon. Całkiem jak w telewizji, pomyślał mętnie. Potrząsnął głową, odzyskując nieco zdolność widzenia.

Oparł się rękami o ścianę i dźwignął na nogi. Stał tak przez chwilę lekko zamroczony, wpatrując się uparcie w peron.

Dostrzegłszy ich w chwili, gdy wsiadali do pociągu, ruszył za nimi. Zanim dotarł do kołowrotek, drzwi wagonów zamknęły się i pociąg zaczął nabierać szybkości. McGowan dojrzał za szybą twarz mężczyzny - patrzył na niego z uśmiechem.

Znużony zawrócił i poszedł w kierunku budki telefonicz-

nej. Zabarykadował się w niej i wrzucił do automatu brzęczącego dziesiątaka. Kapitan nie będzie uszczęśliwiony słysząc o ich ucieczce, ale powinien był go jednak uprzedzić, że tamten facet tak bije. Począł wykręcać numer.

Strang odłożył słuchawkę i gapił się na Bakera.

- Wszystko działa zgodnie z planem - rzekł ponuro. - Tyle że aż za dobrze. Cardinali zwałił z nóg McGowana na peronie metra i zwał mu.

- Razem z dziewczyną?

- Tak. - Strang kiwnął głową.

Baker drżącymi palcami sięgnął po papierosa.

- Niech czuwa nad nimi Opatrzność, jeśli gang dopadnie ich przed nami.

- Jeżeli ma się tak stać, to lepiej każ sobie przepisać na maszynie swoją rezygnację - rzekł z ciężkim westchnieniem Strang. - Moja już leży w górnej szufladzie biurka!

Rozdział 25

Niewiele jest w Nowym Jorku miejsc, które ostały się przed naporem taniego budownictwa mieszkań komunalnych w tym samym stopniu co górny odcinek Park Avenue. Przyczynił się do tego między innymi fakt, że był on mekką handlową hiszpańskiego Harlemu. Tu właśnie, poniżej torów głównej linii nowojorskiego metra, które przenosi bezpiecznie swych pasażerów z biletami miesięcznymi do ich skromnego podmiejskiego zacisza, rozciąga się jedno z ostatnich otwartych targowisk tego miasta. Kupujący tu są w większości potomkami Portorykańczyków. Ubrani w wielobarwne stroje kroczą pośród ręcznych wózków i porozkładanych na chodnikach towarów, tak przy tym mimo własnego ubóstwa beztróska i radośnie rozjazgotani, jak gdyby się znajdowali na swej ojczystej tropikalnej wyspie. Również i w tej części Park Avenue nie brakuje hoteli. Nie przypominają one wprawdzie tego rodzaju przybytków usytuowanych przy tej samej arterii bliżej śródmieścia, ale cel ich istnienia jest identyczny. Znużony podróżny może w nich przenocować, pożywić się i odetchnąć. Zasadnicza różnica między tymi

hotelami, poza stylem umeblowania, polega na ich stosunku do kart kredytowych. W hiszpańskim Harlemie honoruje się wyłącznie gotówkę.

Kiedy po przebiegających tuż za oknem torach przemknął pociąg, Cesare odwrócił się do wnętrza pokoju w hotelu „Del Rio”. Spojrzał na Lukę, która siedziała w fotelu, przeglądając poranną prasę. Zapalił papierosa.

- Czy nie masz już nic innego do roboty poza czytaniem przez cały dzień tych cholernych gazet? Lukę podniosła na niego wzrok. Przez ostatni tydzień z trudem nad sobą panował. Był nerwowy i rozdrażniony. Od wyjazdu Ileany upłynęły już ponad dwa tygodnie, a oni większość czasu tkwili zamknięci w tym pokoju.

Początkowo było nawet zabawnie. Śmiali się razem z drobnych niedogodności - ciekącego kranu, skrzypiącego łóżka czy zapadających się foteli. Później jednak ten tandetny pokój zaczął im stopniowo coraz bardziej doskwierać, tak że w końcu nic już ich nie bawiło.

W przeciwieństwie do Cesarego Lukę była świadoma tego, co miało nastąpić. Kobiety wykazują o wiele silniejszą zdolność adaptacji i odznaczają się nieporównanie większą cierpliwością. Są przez naturę lepiej przygotowane do stanu oczekiwania, i to pod każdym względem - psychicznym i fizycznym. Lukę pamiętała, że zbliżanie się miesiączki zazwyczaj sygnalizował jej rwący ból. Tym razem niczego takiego nie czuła. Pomyślała przelotnie, czy przypadkiem nie jest w ciąży. Takie tygodniowe opóźnienie zdarzało się jej bardzo rzadko.

- Może się położysz i trochę odpoczniesz? - zapytała cierpliwie.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Odpocząć? Przecież niczego innego nie robię w tej

śmierdzącej norze! Jem tłuste żarcie i śpię w tym barłogu! Już mi się chce od tego rzygać!

- To lepsze niż być martwym - odparła.

- Chwilami wątpię - odburknął. Odszedł z powrotem do okna i popatrzył na ulicę.

Lukę wróciła do gazet, ale Cesare znów zaczął mówić, więc ich poniechała, spoglądając w jego stronę. Ciągłe wyglądał przez okno.

- Kiedy byłem małym chłopcem, w mojej wiosce we Włoszech widywałem ludzi podobnych do tych tutaj na dole. Popatrz na nich. Jak bardzo są hałaśliwi i weseli, grzebiąc w tym rumowisku w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Wstała z fotela i przyłączyła się do niego.

- Myślę, że wyglądają na niezwykle szczęśliwych - stwierdziła spoglądając w dół.

W głosie Cesarego zabrzmiał podziw.

- Tego właśnie nigdy nie potrafiłem zrozumieć. Co sprawia, że oni są tak nieustannie szczęśliwi? Co mają w sobie takiego, czego brakuje nam? Czy nie wiedzą, że ten świat jest stworzony tylko dla niewielu wybranych? Przecież muszą to rozumieć. A mimo to są na tyle zadowoleni, by się śmiać i płodzić dzieci. Co w nich jest takiego, czego nie ma w nas?

Przyjrzała mu się. Pamiętała czasy, gdy była małą dziewczynką; na przykład to podniecenie związane z wyprawą do miasta na zakupy. Biedny Cesare - jest tyle rzeczy, których nie będzie mu dane nigdy zaznać.

- Może oni po prostu mają nadzieję? - powiedziała. Popatrzył na nią zdziwiony.

- Nadzieję? - roześmiał się. - To jest słowo wymyślone przez marzycieli.

Starła się mu pomóc w dojściu do prawdy.

- Może mają wiarę.

Znow odpowiedział śmiechem.

- To słowo wymyślili księza.

Nie mogła się oprzeć pokusie, by nie położyć ręki na jego nagim ramieniu, licząc, że tym dotknięciem uświadomi mu swe uczucia.

- A może oni mają miłość? - powiedziała cicho. Spojrzał na nią z góry i uwolnił się od jej dotyku.

- To słowo jest szalbierstwem największym ze wszystkich, wymysłem kobiet dla zamaskowania ich własnych biologicznych potrzeb i powinności. Miłość! Dobre sobie!

Wróciła na fotel. Wzięła do ręki gazety, ale nie potrafiła się na nich skupić. Poczula ukłucie dziwnie znajomego bólu.

- No cóż, wobec tego nie wiem.

Odszedł od okna i zaczął się w nią uporczywie wpatrywać. Nie patrząc na niego, wiedziała, że Cesare uśmiecha się w swój okrutny sposób. W ciągu ostatnich kilku dni wystarczająco często widywała ten uśmiech na jego ustach - za każdym razem, kiedy odtrącał rozpaczliwe pożądanie, jakie się w niej rodziło.

- Tak, zgadza się - powiedział. - Po prostu nie wiesz. I tak naprawdę tego nie wie nikt. Ale tylko ja jeden potrafię to przyznać. Dla ludzi liczy się jedynie pożądanie. A dla większości nie ma znaczenia jego forma. Po prostu pożądanie, które im towarzyszy dzień w dzień, rok po roku. Na próżno.

Miała mu właśnie odpowiedzieć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzała na Cesarego i zobaczyła w jego ręku sztylet.

- Słucham? - zawołała.

Zza drzwi usłyszeli głos portiera.

- Przyniosłem popołudniowe gazety, madame.

- Proszę je zostawić pod drzwiami - odparła. - Zabiorę je za chwilę.

- Tak, madame - dobiegł ich głos portiera. Odczekali chwilę, wsłuchując się w jego cichnące w holu kroki. Luke wstała z fotela i podeszła do drzwi. Otworzyła je szybko, zabrała gazety i ponownie zamknęła. Usiadła na fotelu i zaczęła przeglądać jedną z nich. Cesare wściekle wyrwał ją z rąk Luke.

- Czy ty nigdy nie przestaniesz czytać tych przeklętych gazet? - Znów podszedł do okna.

Niewzruszona schyliła się, by ją podnieść z podłogi, kiedy ujrzała to zdjęcie.

- Cesare, Cesare! - krzyknęła, wyciągając ku niemu gazetę. - Spójrz! Ona wróciła!

Na kolumnie zdjęciowej „Journal-American” widniała fotografia Ileany, która z uśmiechem machała ręką do obiektywu, stojąc na schodkach samolotu. Tytuł tego obrazka był prosty: *Baronessa wraca z wakacji za granicą.*

W biurze Bakera grupka mężczyzn pochyliła się w skupieniu nad ustawionym na biurku głośnikiem, z którego zabrzmiał głos Ileany.

- Słucham - powiedziała.

W głosie Cardinalego wyczuwało się napięcie i pośpiech.

- Mówi Cesare. Masz wiadomość?

Jeden z agentów podniósł słuchawkę innego telefonu i zaczął do niej szeptać.

- Gdzie ty teraz jesteś, Cesare? Czy u ciebie wszystko w porządku? - pytała Ileana.

Baker spojrział na agenta przy drugim aparacie.

- Ona próbuje przeciągać możliwie długo, tak jak uzgodniliśmy. Złapałeś trop?

- Szybciej nie możemy, sir - odparł agent.

- Tak, mam tę wiadomość - mówiła Ileana. - Ale jej zupełnie nie rozumiem!

- To nie ma znaczenia - uciał. - Mów!

- Księżyc wszędzie dziś w nocy - powiedziała z wahaniem w głosie.

Usłyszeli trzask odkładanej przez Cesarego słuchawki, potem jeszcze rozległ się głos Ileany.

- Cesare! Cesare! Jesteś tam? Baker zwrócił się do agenta.

- Przygwoździłeś go?

Agent pokręcił przecząco głową.

- Za szybko się rozłączył.

- Cesare? - jeszcze raz zawołała z głośnika Ileana. Baker podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku.

- Już po rozmowie, baronesso. Wydało mu się, że w jej głosie wyczuł lęk.

- Czy było dobrze, panie Baker? - zapytała. - Staralam się go trzymać tak długo, jak tylko mogłam.

- Spisała się pani świetnie - odpowiedział z przekonaniem, którego bynajmniej nie odczuwał. -

Całkowicie panujemy nad sytuacją.

Odłożył słuchawkę na widełki i spojrział na agenta.

- Dziękuję - powiedział do niego. - Jesteś już wolny.

- Na pewno będzie jeszcze można coś zdziałać, jak jutro wyjdzie ze swej kryjówki - rzekł agent.

- A co takiego? - zapytał Baker.

- On przecież wysłał tę kobietę za granicę, żeby mu przywiozła wiadomość - tłumaczył młody agent. Baker uśmiechnął się.

- Na to nie ma paragrafu.

Młodzieniec pokręcił z niedowierzaniem głową i wyszedł z pokoju. Baker odwrócił się do siedzącego naprzeciwko kapitana Stranga. Popatrzyli sobie prosto w oczy.

- To był dobry pomysł, George - powiedział łagodnie policjant.

Baker uśmiechnął się znużony.

- Ale nie wystarczająco dobry.

- Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy - pocieszał go Strang.

Baker wstał z fotela. Smakował gorycz porażki. Spojrzał na Stranga.

- Bądźmy szczerzy, Dan - rzekł. - Jest już po wszystkim. - Podszedł do okna i wyjrzał przez nie. - Jeśli Cardinali się jutro ujawni, będzie to równoznaczne z tym, że Sztyletowi się upiekło; jeśli nie - no cóż, tak czy owak przegraliśmy. Nie jesteśmy bliżej Mattea niż przedtem.

Odwrócił się plecami do policjanta, a w jego głosie zabrzmiała gorycz.

- Pobili nas, Dan. Przegraliśmy pod każdym względem.

Rozdział 26

Hotel opuścili około dziesiątej wieczorem.

- To niedaleko stąd - wyjaśnił jej, kiedy wyruszali pieszo. Skręcili z Park Avenue w Sto Szesnąstą i poszli w kierunku Madison.

Skręcali kilkakrotnie na różnych skrzyżowaniach, aż wreszcie Cesare dotknął jej ramienia.

- Po tamtej stronie ulicy - powiedział.

Popatrzyła we wskazanym kierunku. Był to jeden z tych wybudowanych z piaskowca domów mieszkalnych, które w suterenie mieściły bar i restaurację z rożnem. Nad jej drzwiami zapalał się i gasł niewielki neon tworzący napis *Księżyc w Kwadrze* złożony z białych i zielonych liter.

Cesare poprowadził ją obok drzwi baru, a potem po schodkach wiodących ku wejściu do budynku.

Było otwarte, więc znaleźli się w holu. Naga żarówka pod sufitem rzucała mdłe żółte światło.

Luke podniosła na niego wzrok.

- Z kim zamierzasz się spotkać? - zapytała.

- Oczywiście z Don Emiliem - wyjaśnił rzeczowo, odwzajemniając jej spojrzenie.

- Myślałam, że on ma zakaz wjazdu do tego kraju

- rzekła zaskoczona.

Cesare uśmiechnął się.

- Tak jak i wielu innych. - Wziął ją pod ramię.

- Chodźmy.

Wspięli się na jedną kondygnację schodów i dotarli do pierwszego piętra. Cesare zatrzymał się przed jakimiś drzwiami; zapukał.

- Wejść. Drzwi są otwarte - dobiegł ich z wnętrza głos Mattea.

Cesare nacisnął klamkę i weszli razem do środka. Lukę ze zdziwieniem ujrzała przyjemnie umeblowane biuro. Nie spodziewała się tego w podobnym budynku. Cesare zamknął za sobą drzwi. Matteo spojrzął na nich zza biurka.

- Don Cesare! I panna Nichols! Jestem zaskoczony. Cesare zostawił ją przy drzwiach i podszedł do biurka.

Stanął przed nim i w milczeniu spoglądał na Mattea.

Lukę z ciekawością rozejrzała się po pokoju. Przypominał typowe wnętrze jakiejś firmy. W rogu stało jeszcze drugie biurko z maszyną do pisania, tuż obok regał na dokumenty, a dalej, za zasłoną, znajdowała się niewielka nisza, która zapewne prowadziła do toalety. Jedyne, co w tym pokoju dziwiło, to zupełny brak okien. Usłyszała głos Mattea i skupiła na nim uwagę.

- Prosiłeś o spotkanie, mój siostrzeńcze - zaczął Matteo. Cesare skinął twierdząco głową.

- Przyszedłem pomówić z tobą o nieporozumieniu, jakie między nami wynikło.

- Ach tak? - Emilio przechylił na bok głowę.

- Kiedy widzieliśmy się ostatnio, powiedziałaś, że dobrze wykonałem moje zadanie. I że Rodzina jest zadowolona

- powiedział cichym głosem Cesare. Emilio pokiwał głową.

- To prawda.
 - Dlaczego więc żądają mojej śmierci? - zapytał łagodnie.
- Emilio splótł dłonie na brzuchu i odchylił się w fotelu. Wpatrywał się bacznie w Cesarego.
- Jesteś jeszcze młody, mój siostrzeńcze, i nie rozumiesz wielu rzeczy.
 - Czego mianowicie?
 - Swoje istnienie Rodzina zawdzięcza przestrzeganiu jednej prostej zasady - powiedział dobrotliwie Emilio.
 - Jednej prostej reguły, która pozwoliła jej przetrwać wiele wojen, wiele kryzysów i niesnasek i zbudować swą dzisiejszą potęgę. A tą zasadą jest nasza siła. „Nie ma prawa do życia ten, kto zagraża bezpieczeństwu innych”.
 - Ja nie złamałem tej zasady - odparł szybko Cesare.
 - Z wyjątkiem polecenia, jakie otrzymałem od Rodziny, by chronić pewnych jej członków.
- Głos Emilia był nadal tak spokojny, jak gdyby przemawiał do dziecka.
- To oczywiście godne ubolewania, ale ten właśnie fakt jest teraz niczym nóż przystawiony nam do gardła. Otóż policja zaczęła już ciebie podejrzewać i gdyby to, o czym wiesz, miało w jakiś sposób trafić do jej wiadomości... - nie dokończył.
 - Niczego ze mnie nie wyciągną - zapewnił Cesare.
 - Wierzę - zgodził się Emilio. - Byłaby jednak wielka szkoda, gdybyśmy się obaj mylili. Inni nie są takimi optymistami jak ty i ja.
 - Dlaczego nie? - dociekał Cesare. - Przecież dotrzymałem przysięgi i niczego od nich nie potrzebuję.
 - i o to właśnie chodzi - wtrącił szybko Emilio. - To jest przedmiotem ich troski. Człowiek, który niczego nie

potrzebuje, nie ma czego bronić. Jesteś inny niż Nick Elegant albo Wielki Holender czy Allie, których już sprzątnąłeś. Wszyscy oni mieli powody być lojalni, mieli co ochraniać, wnosili swój wkład w zyski. Podczas gdy ty, mój siostrzeńcze, nie przysparzasz nam niczego, niczego nie wnosisz. Jesteś dyletantem, którego interesuje jedynie emocja i niebezpieczeństwo, czym przypominasz małe dziecko.

- A więc to z obawy o życie Nicka Eleganta żądają mojej głowy? - zapytał Cesare.

Emilio spojrzał na niego i wymownie rozłożył obie ręce w geście wyrażającym bezradność.

- No cóż, musisz pozostać wierny Rodzinie. Lukę dostrzegła jakieś poruszenie za kotarą.

- Cesare! Uważaj! - krzyknęła w nagłym przerażeniu. Cesare tak szybko okręcił się wokół własnej osi, że nie

nadażyła wzrokiem za sztyletem, który wyfrunął z jego ręki. Nóż utkwiał w zasłonie i jednocześnie w ukrytym za nią w niszy mężczyźnie, który uchwycił się rękami kotary, zerwał ją i runął na podłogę; jednocześnie tuż obok Lukę upadł ze stukotem rewolwer.

Cesare natychmiast ukląkł przy mężczyźnie i zsunął zasłonę z jego twarzy. Spojrzał na Emilia.

- To Nick Elegant! - rzekł szorstko. - Teraz zgodnie z prawem Rodziny nikomu już nie zagrażam!

- Jest jeszcze taki jeden, mój siostrzeńcze - rzekł miękko Emilio.

Cesare utkwiał w nim spojrzenie.

- Kto mianowicie, mój wuju?

W ręce Emilia pojawił się rewolwer.

- Ja - wyjaśnił spokojnie i począł naciskać spust. Właściwie szkoda, pomyślał niemal z żalem. Cesare

mógłby zostać jednym z wielkich, znaleźć się w gronie bonzów; czegoś mu jednak brakowało. Tak bardzo pograżył się w tej refleksji, że nie dostrzegł, iż Lukę naciska spust rewolweru, który podniosła z podłogi. Uderzenie pocisku w ramię wyrzuciło go z fotela, wytrącając mu z ręki broń. W jednej chwili Cesare znalazł się przy nim. Uniósł wysoko sztylet.

- Nie! Nie! - wrzasnął przeraźliwie Matteo. - Porozmawiam z radą! Oni mnie wysłuchają!
Cesare zaśmiał się dziko.

- Za późno, wuju! - krzyknął. - To właśnie ich prawo wydaje na ciebie wyrok. Twoja śmierć oznacza dla mnie wyzwolenie!

Zastygła z przerażenia Lukę obserwowała opadający raz za razem nóż.

- Przestań, Cesare! - krzyknęła piskliwie. - Wystarczy! Podniósł się z wolna zza biurka. Odwrócił do niej głowę,

kiedy obłądne błyski w jego oczach zaczynały już gasnąć. Gdy zaś podszedł bliżej, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wziął ją za rękę i otworzył drzwi.

Obejrzał się jeszcze do wnętrza pokoju, a potem spojrzął na Luke.

- Wiesz co? - powiedział śmiejąc się z cicha. - On naprawdę zaczynał wierzyć w to, że jest moim wujem!

Otworzył drzwi apartamentu i weszli do środka. Cesare podążył do biurka i usiadł za nim. Odsunął na bok stos korespondencji, wyjął książeczkę czekową i zaczął w niej pisać.

Luke stanęła za nim i delikatnie masowała mu kark.

- Jak to przyjemnie znów znaleźć się w domu - powiedziała cicho.

Cesare skończył pisać, odwrócił się do niej i podał czek.

- Masz! - powiedział obcesowo.

Przerwała masaż i patrzyła nieruchomym wzrokiem.

- Po co to? - zapytała.

Jego głos stał się bezbarwny, a wzrok obcy.

- Mówiłaś, że chcesz mieć Ferrari. Teraz pakuj manatki i wynoś się!

Wpatrywała się w niego, nie wierząc własnym uszom. Poczula mdłości i rosnące obrzydzenie. A więc znów to samo! Musi to przeżyć jeszcze raz!

- Czy uważasz... - Przez chwilę głos odmówił jej posłuszeństwa; czuła wzbierającą falę goryczy. - Czy ty myślisz, że po to byłam z tobą?

Wstał i hałaśliwie podszedł do komody. Nalał sobie drinka i wypił. Odwrócił się do niej.

- Nieważne, co myślę - rzekł. - Między nami wszystko skończone!

Musi mu to powiedzieć. Może nie odczuwałby tak tego wszystkiego, gdyby się dowiedział o jej ciąży.

To nie jego wina; ostatnio przeszedł zbyt wiele.

- Co ja mam teraz z sobą zrobić, Cesare? Ja jestem... ja nie...

Sięgnął za komodę, otworzył tylne drzwiczki i wyjął ciemny flakonik. Postawił go na komodzie obok whisky.

- Nie obchodzi mnie, co zrobisz - przerwał jej. - Ale masz wybór. Wiesz, co zawiera ta butelka.

Wystarczy kilka kropel i po trzech minutach zapadasz w niebyt! Całkowicie bezboleśnie. Jest twoja!

Wyminął ją i podszedł do drzwi. Podążyła za nim.

- Cesare! - zawołała. - Dokąd idziesz? Do niej?

Uśmiechnął się lekko i odpowiedział z łagodnym okrucieństwem w głosie.

- Tak, do niej. Bo tobą jestem już zmęczony. Mam dosyć tego wylegiwania się w ordynarnej, nakrochmalonej pościeli i twoich prostackich numerów w łóżku! Miałaś rację podczas naszego pierwszego spotkania. Ona w ciągu dziesięciu minut może mi dać więcej niż ty przez dziesięć dni! Właśnie to udowodniłaś!

Chwyciła go za poję marynarki.

- Już mnie nie pragniesz? - spytała tępo. Odsunął jej rękę.

- To niezupełnie tak - rzekł chłodno. - Przestałaś mi już być potrzebna!

Kiedy zatrzęsnęły się za nim drzwi, Lukę jeszcze przez chwilę stała, gapiąc się w nie bezmyślnie.

Wreszcie odwróciła się i podeszła do kanapy. A więc musi to przeżyć jeszcze raz. Rzuciła okiem na stojący na brzegu komody flakonik z trucizną. Cesare miał rację. To jedyne wyjście dla kogoś takiego jak ona.

Wstała, chcąc podejść do komody, kiedy poczuła wzbierające mdłości. Rzuciła się do łazienki i pochylona nad zlewem zaczęła wymiotować. Jej oczy wezbrały piekącymi łzami. Po kolejnych torsjach poczuła pustkę w żołądku. Osunęła się z wolna na kolana i oparła głowę o chłodną porcelanę zlewu. Po jej policzkach toczyły się łzy. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości.

Rozdział 27

Przekręcił klucz w drzwiach pokoju Ileany i wszedł do środka. Wewnątrz paliły się światła i słychać było szum wody lecącej z prysznica. Cesare uśmiechnął się, podszedł do drzwi łazienki i zawołał.

- Ileano!

Najpierw ustał szum wody, a potem usłyszał jej głos.

- To ty, Cesare?

- Tak - odpowiedział wesoło. - Wróciłem.

- Co tam u ciebie? - zapytała.

- Wszystko gra - zawołał. - Pośpiesz się. Mam ci coś ważnego do powiedzenia!

Odsunął się od drzwi. Oto nadszedł ich czas. Dość przygód. Pora zaznać życia rodzinnego. Teraz zrozumiał, co miał na myśli ojciec, mówiąc kiedyś do niego:

- Nie pozwól zginąć nazwisku, mój synu. Nie roztrwoń całego swego nasienia.

Usłyszał, że Ileana woła doń poprzez zamknięte drzwi łazienki.

- Bądź tak miły i podaj mi kosmetyczkę! Średnia przyjemność oglądać mnie nie umalowaną. Leży na nocnym stoliku.

Uśmiechnął się na myśl, ile to razy widział ją bez makijażu. Wkrótce przywyknie do jej drobnych słabostek. Stanie się to przecież częścią ich wspólnego życia.

Podszedł do nocej szafki i wziął do ręki małą kosmetyczkę. Trzymał ją za ucho, zatrzask był jednak otwarty i część zawartości wypadła na podłogę. Wciąż z uśmiechem uklęknął i począł zbierać rozrzucone przedmioty. Wsypał z powrotem szminki i puderniczki i zabrał się do leżących na podłodze kart i listów.

Od niechcenia rzucił na nie okiem. Czego to kobieta ze sobą nie nosi. Karty kredytowe i plakietki identyfikacyjne. Jego uwagę przyciągnął ostatni list. Widniał na nim nadruk *Pismo urzędowe Rządu Federalnego*. Był zaadresowany do Ileany od Wydziału Imigracyjnego. Zaczął odruchowo czytać. *Zgodnie z sugestią pana George'a Bakera z Federalnego Biura Śledczego powiadamy Panią, że Jej podanie o wizę stałego pobytu zostało załatwione pozytywnie. Prosimy o zgłoszenie się wraz z tym listem i paszportem do naszego najbliższego biura, gdzie otrzyma Pani odpowiednie zaświadczenie.* Cesare powoli dźwignął się z klęczek, wciąż trzymając list w ręce. Na podłodze pozostała zapomniana kosmetyczka. Otworzył drzwi łazienki, zanim w pełni pojął znaczenie tego pisma. Ileana przez cały czas pracowała dla Bakera. To mógł być jedyny powód, dla którego agent specjalny przyszedł jej z pomocą.

Stała przed lustrem, zawiązując w pasie płaszcz kąpie-

Iowy. Dojrzała go w odbiciu zwierciadła. Na widok wyrazu jego twarzy odwróciła się błyskawicznie.
- Co się stało, Cesare? - krzyknęła i wtedy dostrzegła trzymany przez niego list. Otworzyła szeroko oczy.

Cesare stał w progu, patrząc na nią zimnym, martwym spojrzeniem.

- Dlaczego? Ileano! Dlaczego? Przecież zwróciłaś się do mnie o pomoc jako do swego przyjaciela i ją otrzymałaś. Więc dlaczego?

Patrzyła na niego jak urzeczona.

- Musiałam to zrobić, Cesare. Oni nie dali mi wyboru!

- Nie wierzę ci, Ileano - odparł zbliżając się do niej. - Mogłaś mi przecież o wszystkim powiedzieć. Razem dalibyśmy sobie z tym radę.

Śledziła jego unoszącą się powoli rękę. O dziwo, nie czuła lęku przed tym, co miało teraz nastąpić. Zastanowiło ją tylko, czy inni czuli to samo.

- Nie rób tego, Cesare - powiedziała spokojnie. - Tym razem się nie wywiniesz. Będą wiedzieli, że to twoja robota.

Spojrzał na nią z góry; jego dłoń zawahała się.

- Nie, Cesare - mówiła szybko, starając się wykorzystać jego niezdecydowanie. - Jesteś chory. Pozwól mi sobie pomóc!

- Już mi wystarczająco pomogłaś - rzekł z goryczą. - A ja byłem na tyle głupi, że zamierzałem się z tobą ożenić!

Spróbowała przemknąć obok niego ku drzwiom i nawet nie zauważyła ciosu, który rzucił ją bez przytomności na podłogę.

Cesare stał ciężko dysząc i patrzył na Ileanę. Jego umysł pracował na przyśpieszonych obrotach. Nie odważył się na użycie sztyletu. Trzeba będzie upozorować wypadek.

Tak jak wtedy z Barbarą. Otworzył drzwi łazienki i rozejrzał się po sypialni. Ujrzał oszklone drzwi wiodące na taras. Już wiedział, co zrobi. Samobójstwo będzie nawet czymś bardziej wiarygodnym. Wziął ją na ręce i zaniósł do drzwi tarasu. Otworzył je i wyrztał na zewnątrz. Noc była cicha, a w powietrzu poczęły szybować białe płatki śniegu. Wyszedł na taras i poniosł Ileanę do balustrady. Przełożył przez nią bezwładne ciało i jeszcze przez chwilę się przyglądał.

Drobna twarz Ileany była blada i spokojna. Gdzieś z dna pamięci doleciał go jej dźwięczny śmiech. Mogłaby być jego cudowną panną młodą. Teraz wystarczyło lekkie pchnięcie, by się przetoczyła przez balustradę i zniknęła w ciemności.

Nie spojrział za nią w dół. Odwrócił się i gnany pośpiechem wybiegł przez pokój na korytarz.

Wrócił do saloniku w swoim apartamencie i skierował się do kanapy. Zatrzymał go widok pojawiającej się w drzwiach sypialni Luke.

- Jeszcze tu jesteś? - zapytał ostro. Luke milczała.

Odwrócił się do niej plecami i utonął w kanapie.

- Na co czekasz? - teraz już niemal krzyczał. - Wynoś się!

Pochylił się do przodu i ścisnął głowę obiema rękami. Znużony roztarł sobie kark. Luke podeszła do komody i naląła whisky do jego szklanki.

Obeszła go dookoła, stanęła przed nim i podała mu drinka.

- Proszę - powiedziała.

Wziął od niej szklanekę i jednym haustem wychylił trunek. Puste szkło odstawił na ławę przed sobą i podniósł na nią wzrok.

- A teraz zbieraj swoje manatki i wynocha - rzekł szorstko.

Lukę odwróciła się bez słowa i weszła do sypialni. Cesare odchylił się do tyłu w pozie wyrażającej znużenie. Był tak bardzo zmęczony. Jutro wyjedzie stąd gdzieś daleko i pogrążony w beczynności będzie się wylegiwał w słońcu. Przymknął powieki. Od niepamiętnych czasów nie zażywał słonecznych kąpieli. Począł się dźwigać z kanapy. Właściwie mógłby teraz pójść do łóżka.

Zamierzając wstać, pochylił do przodu głowę, ale poczuł jakiś opór, jak gdyby zdrętwiały mu stopy. Spróbował odepchnąć się od kanapy, ale i to było niemożliwe, gdyż jego ręce okazały się zupełnie bezsilne.

Z sypialni wyszła milcząca Luke; trzymała w ręku walizkę. Cesare poczuł, że pot zalewa mu czoło.

- Lukę! Pomóż mi! - zawołał. - Dziwnie się czuję. Odwróciła się i popatrzyła na niego uważnie.

- Nie jestem w stanie ci pomóc, Cesare - odpowiedziała cicho.

Wytrzeszczył na nią oczy, po czym przeniósł wzrok na stojącą przed nim pustą szklanekę.

- Ty suko! Otrułaś mnie! - krzyknął. - Powinienem był zabić cię wtedy na pustyni!

- Chyba masz rację - rzekła beznamiętnie. - Powiedziałam ci przecież, że nie zamierzam już więcej przegrywać. - Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Za nimi stał Baker z kilkoma ludźmi. Wchodząc, wepchnęli ją z powrotem do pokoju. Baker obrzucił spojrzeniem Cesarego i zwrócił się do Luke.

- Co się z nim dzieje?

Jakieś mętne wspomnienie przemknęło przez umysł Cesarego. Patrzył na nich w otępieniu; jego rysy stężały.

- On umiera - rzekła Luke.

- Lukrecja! - krzyknął nagle przeraźliwie Cesare. Baker rzucił się do działania.

- Sprowadź doktora! - polecił krótko jednemu ze swych ludzi.

- Na to jest już za późno - roześmiała się Luke.

- Jedyne, czego mu teraz trzeba, to ksiądz!

- A jednak sprowadź lekarza - rzekł szybko Baker.

- I zabierzcie stąd tę kobietę!

Kiedy Luke i agent opuszczali pokój, wszedł Strang.

- Baronessa wyjdzie z tego - oznajmił. - Będzie musiała tylko kilka dni poleżeć. Nie ma żadnych złamań!

Cesare popatrzył na nich zdumiony.

- Przecież Ileana nie żyje!

Baker potrząsnął przecząco głową.

- Tarasy pokojów zbudowane są schodkowo. Spadła z wysokości tylko jednej kondygnacji, a jej upadek dodatkowo złagodziła markiza.

Cesare roześmiał się. Strang spojrział na Bakera.

- Co jest z tym facetem? - zapytał.

- Umiera - wyjaśnił Baker. - Zażył truciznę!

Cesare podniósł głowę. To było najlepsze ze wszystkiego. Ci głupcy powinni wiedzieć, że Borgiowie nigdy sami nie zażywali trucizny. Przez chwilę był bliski wyjaśnienia im tego, co się tu naprawdę stało, ale zrezygnował. Niech to pozostanie jeszcze jedną sprawą, której ci tępi *carabinieri* nigdy nie rozwikłają. Znowu targnął nim śmiech.

Baker pochylił się nad Cesarem.

- Gdzie są Matteo i Nick Elegant? - zapytał.

Cesare uniósł głowę. Z jego twarzy nie zniknął uśmiech.

- Nie żyją. Wszyscy nie żyją.

- Dlaczego to zrobiłeś, Cardinali? - zapytał Baker. - Przecież w przeciwieństwie do nich tobie nigdy na niczym nie zbywało. Wszystko szło ci jak z płatka.

Cesare usiłował skupić spojrzenie na twarzy Bakera. Miał mgłę przed oczami.

- To samo mawiał mój ojciec, panie Baker, ale jedynym powodem, dla którego przyjął mnie do swego domu, była chęć podtrzymania nazwiska. Wątpię, czy i to potrafi pan zrozumieć. Tylko dwie rzeczy mają w życiu człowieka jakiegokolwiek znaczenie. Narodziny i śmierć. To, co je oddziela, cała egzystencja, jest niczym, jest pustką.

Przerwał, by zaczerpnąć powietrza.

- Człowiek żyje naprawdę tylko wówczas, kiedy się zanurza w narodziny i śmierć. Każdy pragnie wejść w kobietę, bo chce się ponownie narodzić. A wy stoicie tutaj, przyglądając się mojej agonii, gdyż podnieca was widok czyjejs śmierci. Odczuwacie teraz smak życia o wiele silniej niż kiedykolwiek przedtem!

Znów rzucił się do tyłu na oparcie kanapy; po jego twarzy spływały strugi potu.

- Ten człowiek jest szalony! - zawołał ochryple poblady Strang.

Cesare dźwignął głowę, by spojrzeć na policjanta. Musiał zebrać wszystkie siły, żeby cokolwiek dostrzec spoza opadającego nań całunu. Gdzieś z daleka doleciał go płacz noworodka. Może ten człowiek ma rzeczywiście rację mówiąc, że on jest szalony. Co ma oznaczać krzyk nowo

narodzonego dziecka w takim miejscu jak to? Nagle doznał olśnienia. To zapłakało jego własne dziecko. Bo właśnie o tym Luke próbowała mu powiedzieć. Ona nosi je w swoim łonie. Z najwyższym trudem dobył z siebie głos, choć poruszanie ustami okazało się dlań śmiertelną udawką. - A czy... czy cały świat... nie jest... trochę... szalony? - wykrztusił i ów całun spowił go bez reszty, niweczając obraz stojących przed nim mężczyzn.